Rodzice straszą nauczycieli — 20

Pięć milionów Polaków bez toalet — 10

Szokująca spowiedź egzekutora z AK — 32

PRZEKRÓJ

NR 41 (3407) / 12 PAŹDZIERNIKA 2010 / CENA 4,95 ZŁ
w tym 7% VAT
WWW.PRZEKROJ.PL

Janusz Głowacki w nowej powieści:

Piekło, raj, patataj... — 62



ISSN 0033-2488

Tusze i tonery

tb print

Nieprzyzwoicie Ostre Wydruki



SAFETY FIRST
QUALITY MANAGEMENT SYSTEM ISO 9001:2009
ENVIRONMENTAL MANAGEMENT SYSTEM ISO 14001:2005

www.tbprint.eu

W TYM TYGODNIU

PRZEKRÓJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Eile

„Przekrój" w sieci:

Czytaj, komentuj. Nie specjalizujemy się w nowościach, choć gdy dzieje się coś ważnego, trzymamy rękę na pulsie. Strona **www.przekroj.pl** to przede wszystkim skarbnica dobrych tekstów i miarodajnych recenzji. No i te komentarze – nasi czytelnicy potrafią dyskutować!

Odwiedź nasz profil na Facebooku. Już ponad 20 tysięcy osób śledzi nasz profil – to najlepszy wynik spośród tygodników opinii. Może i ty zechcesz dołączyć do tego grona, bo można tu zobaczyć przedpremierowe odsłony rysunków Marka Raczkowskiego, porozmawiać o nowych tekstach, ale też wytknąć nam błędy i zasugerować zmiany.

Twitter, czyli życie na szybko. Krótkie informacje, ciekawostki, zapowiedzi. Tu nie ma miejsca na rozpisywanie się – krótko i treściwie relacjonujemy to, co dzieje się u nas. **twitter.com/przekroj_pl**

Blip to miejsce, które pozwala szybko zauważyć nowości na naszej stronie. Jeśli chcesz być na bieżąco, zajrzyj pod adres **przekroj.blip.pl**.

I pamiętaj – zawsze możesz do nas napisać. Na wasze e-maile czekamy pod adresem **redakcja@przekroj.pl**.

W OLŚNIENIU NIE PISZEMY...

...że gdyby finał „Essential Killing" Jerzego Skolimowskiego (taki film, co to go większość z państwa dopiero zobaczy, a my już widzieliśmy) – i tak wstrząsający do głębi (na polskim białym śniegu polski biały koń ociekający krwią afgańskiego mudżahedina) – jeszcze trochę podkręcić – gdyby na przykład afgański Rambo dotarł aż do Warszawy i z pylonu mostu Świętokrzyskiego jak King Kong opędzał się od złowieszczo warczących F-16 i black hawków okrutnych i bezbożnych amerykańskich faszystów oraz ich polskich sługusów – to i Oscar byłby pewniejszy, i kampania wizerunkowa Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, jaką się w „Essential Killing" przeprowadza, daleko bardziej udana.

...że „prezydent Boliwii Evo Morales doznał kontuzji mięśnia łydki po faulu polityka partii opozycyjnej podczas meczu w La Paz. Zrewanżował się przeciwnikowi kopniakiem w krocze. Daniel Gustavo Cartagena, który sfaulował Moralesa, został powalony na murawę przez prezydenckiego ochroniarza", co skłania nas do refleksji, że gdyby wszyscy mężowie stanu, którym piłka w głowie, mogli solidnie wyżyć się sportowo i zaznać tak ekscytujących emocji, to nie w głowie by im były narzekania, że nie mają z kim przegrać, przeprowadzki, pohukiwania oraz raczej nieoczekiwane – jak kpi niekonstruktywna opozycja – schodzenie na Ziobry.

...że Mikołaj Lizut, publicysta „The Red Bulletin", odkrył w tymże periodyku głębię gadżeciarskiej duszy i zrelacjonował okołozakupowe dialogi ze swą połowicą: „[Żona] Po co ci to? Czwarty komputer do kolekcji? [Lizut] Zobacz, jak on jest ładny, jaki ma styl i design. To tak jak z twoimi butami, a właściwie ich setną parą. Słowem – gdy masz fajne buty, iść przyjemność. A na takim klawym kompie nowy »Ulisses« aż sam chce się napisać" – i że przyszło nam do głowy, iż u Joyce'a, okrutnika co się zowie, tak bezlitosnej wiwisekcji życia rodzinnego to szukać ze świecą. Musi klawy ten komp że hej.

...że gdyby ciocia miała włosy, toby była wujkiem.

...i że znów okazało się, że nie stanęliśmy na wysokości zadania i z nosem na kwintę idziemy na most.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Co zwiększy polski PKB? Według Eurostatu nierząd, a nie rząd

SPIS TREŚĆ

W TYM TYGODNIU

6 **Świat według „Przekroju"** Marka Zająca i **Orbita „Przekroju"** Piotra Mareckiego
8 Tydzień z „Przekrojem"

PRZEDE WSZYSTKIM

10 **Problem jest śmierdzący.** Ale nie można dłużej zatykać nosa i obchodzić go dookoła: bez toalet żyje około pięciu milionów Polaków. Na pytanie, co to za życie, odpowiada Małgorzata Święchowicz
14 **Król dopalaczy**, książątko gigantycznego interesu, wróg publiczny numer jeden. Donat Szyller i Igor Ryciak rozmawiali w Łodzi z Dawidem B. tuż przed jego zatrzymaniem
18 **Ukraina już nie jest pomarańczowa.** Analitycy przekonują Rafała Kostrzyńskiego, że nie ma czym się martwić. Można im wierzyć?
20 **W szkole rządzą...** Nie, nie nauczyciele, ale dzieci i ich rodzice. Marcelina Szumer o dniu strachu nauczyciela
26 **Krótko**

ROZMOWA PRZEKROJU

28 **O niezwykłe zwroty w sprawie Olewnika**, walkę z dopalaczami i upadły autorytet państwa Grzegorz Miecugow pyta ministra sprawiedliwości Krzysztofa Kwiatkowskiego

HISTORIA NA CZASIE

32 **Bohater czy morderca?** Oddany sprawie żołnierz czy sadysta? Marek Zając wczytuje się w spowiedź Stefana Dąmbskiego, egzekutora z AK. Wstrząsające

FUNDUSZE Z KULTURĄ

35 **Rozwiązanie wakacyjnego konkursu** i wywiad z wiceminister kultury **Moniką Smoleń**

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

44 **Piotr Stanisławski o alternatywnej rzeczywistości.** I dotykowym kluczu do niej
47 **Też pytanie!** Oraz felieton Olafa Szewczyka
48 **Będą niskie, krępe i dzieciate.** Irena Cieślińska o kobietach przyszłości
50 **Korzystaj** w kuchni za duże pieniądze

KONIEC Z KULTURĄ

52 **We Wrocławiu Ameryka**, jakiej nie znacie. Małgorzata Sadowska zaprasza na American Film Festival
55 **Od życia oczekuję niespodzianek – Kamili Sławińskiej** opowiada twórca „Ocean's Eleven" Steven Soderbergh
58 **DJ Spooky wystąpi we Wrocławiu.** Mariusz Herma wyjaśnia, dlaczego nazywają go inteligentem hip-hopu
59 **Jarek Szubrycht pyta**, Alan Howarth żądli
60 i 61 **Słobodzianek dostał Nike**, Llosa – Nobla
62 **Lektura**: Katarzyna Janowska rozmawia z Januszem Głowackim

OTWÓRZ OCZY

66 **Alberta – piekło na ziemi.** Oprowadza Maciej Jarkowiec

RECENZJE

73 **Film**: Wakar miażdży „Śluby panieńskie"
74 **Teatr**: Drewniak zachwyca się trabantem
75 **Muzyka**: Herma rozdaje pochwały. Dostało się Sufjanowi Stevensowi i Antony'emu Hegarty'emu

OD AUTORÓW



Małgorzata Święchowicz
Byłam w Ohio. Nie, nie w Stanach Zjednoczonych, a w Toruniu. Na rondzie, które z nieznanych szerzej przyczyn otrzymało nazwę tego amerykańskiego stanu, nie wymijają się samochody, ale piesi z kupami w wiadrach. W Łodzi z kolei nosi się je w reklamówkach. W Bydgoszczy albo się donasza do najbliższego hipermarketu, albo porzuca pod drzewkiem. Wiem, to śmierdząca sprawa. Ale trzeba ją załatwić. Zatkaj nos i zerknij na s. **10**.



Maciej Jarkowiec
W kanadyjskiej prowincji Alberta od środka oglądałem naftowy boom. Zobaczyłem, co kryje się za milionami baryłek ropy wyprodukowanej z bitumicznych piasków, za wzrostem PKB i spadkiem bezrobocia. Widok jest przygnębiający. Opowieść o największym przedsięwzięciu przemysłowym współczesnego świata (s. **66**) polecam czytać jak korespondencję z linii frontu.



Piotr Stanisławski
Opisywanie rozszerzonej rzeczywistości to coś na kształt opowiadania filmu. Niby wszystko można opisać, ale słowa to nie to samo co obraz. Magda Gędziorowska, sekretarz redakcji, po przeczytaniu mojego tekstu miała dość chłodną minę. Dopiero odpalenie na moim telefonie programu Layar wywołało u niej ożywienie: „Pokaż!". Proszę przeczytać, co ją zainteresowało (s. **44**), a potem samemu się bawić.

ZAWSZE W PRZEKROJU

9 **Kroniki popkultury** Orbitowskiego
76 **Rozmaitości z krzyżówką**, jolką, Obyczajówką Witkowskiego, Lewoskrętnie Kurkiewicza i Ładnymi rzeczami Oli Salwy
80 **Dziennik** Jerzego Pilcha
81 **Stopklatka**
3, 27, 82 **Raczkowski**



Ilustracja na okładce: Mateusz Kołek mateuszkolek.com na podstawie zdjęć Hanny Prus /Świat Książki i Czesława Czaplińskiego /Fotonova

PRENUMERATA

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 a, 00–695 Warszawa, **Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792** i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – **202,80 zł**, półrocznej – **101,40 zł**. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

PRZEKRÓJ

ADRES REDAKCJI:
ul. Nowogrodzka 47a,
00–695 Warszawa,
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88
www.przekroj.pl.
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:
Katarzyna Janowska
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:
Marek Zając
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
Kasper Skirgajłło-Krajewski
SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Piotr Witek
SEKRETARIAT:
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33
PRZEDE WSZYSTKIM:
wydarzenia@przekroj.pl,
Paweł Wieczorek (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz,
Maciej Jarkowiec, Rafał Kostrzyński,
Igor Ryciak, Anna Szulc, Donat Szyller,
Małgorzata Święchowicz,
Joanna Woźniczko-Czeczott;
stale współpracuje Agata Jankowska
CYWILIZACJA OD ŚRODKA:
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid Chehab;
stale współpracują: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki
KONIEC Z KULTURĄ:
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;
stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Ola Salwa, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;
stale współpracuje Kaliber 45
PRACOWNIA GRAFICZNA:
Władysław Buchner (wicedyr. art.), Agnieszka Kwiatkowska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
FOTOEDYCJA:
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Marek Szczepański; stale współpracuje Anna Bajorek
PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajłło-Krajewski
STRONA INTERNETOWA:
Marcin Cichoński
KOREKTA:
Dorota Dul, Tatiana Hardej
ARCHIWUM: Dominika Bok
OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

GREMI GRUPA

Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47a,
00–695 Warszawa,
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:
Grzegorz Hajdarowicz
PREZES WYDAWNICTWA:
Jan Godłowski
DYREKTOR WYDAWNICTWA:
Sławomir Mokrzycki
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:
Artur Rumianek
PROMOCJA I MARKETING:
promocja@przekroj.pl,
Agata Stremecka (szef),
Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY:
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17,
Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 16,
Agnieszka Pawelec tel. 525 99 15,
Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18.
DYREKTOR DYSTRYBUCJI:
Elżbieta Maciążek
DRUK: RR Donnelley

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

www.denicler.eu

DENI CLER
MILANO



ŚWIAT PRZEKROJU

MAREK ZAJĄC
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ

W zakrzywieniu

Wpadliśmy w zakrzywienie czasoprzestrzeni. My, Polacy, a nie my, ludzkość. Jak to możliwe? Otóż ostatnie dni przyniosły różnorakie głośne wydarzenia, pozornie od siebie odległe, a jednak tak bliskie.

1. Komisja Majątkowa nadal w ogniu krytyki. To błąd, że od jej decyzji nie można się było odwołać. Zgoda. Ale chcę przypomnieć, że sprawa znana jest od 1989 roku, czyli od czasu powołania tego gremium. Pierwszy artykuł o budzących wątpliwości działaniach aresztowanego ostatnio Marka P. pojawił się siedem lat temu.
2. Mamy przełom w sprawie Krzysztofa Olewnika. A wszystko dzięki temu, że po dziewięciu latach prokuratura postanowiła serio zająć się śladami w domu, z którego zniknął syn biznesmena.
3. Rząd na wojnie z dopalaczami, Sejm w trybie ekspresowym nowelizuje ustawę o przeciwdziałaniu narkomanii. Hasła „dopalacze" szukam na stronie www.przekroj.pl. Pojawia się artykuł Mileny Rachid Chehab i Agnieszki Fiedorowicz dokładnie sprzed dwóch lat. Oto fragment: „Producenci zachwalają, że to bezpieczna gwarancja dobrej zabawy, rzut oka na składniki większości specyfików pozwala mieć nadzieję, że ich legalność nie potrwa długo. Najczęstszym składnikiem dopalaczy jest bowiem BZP (N-benzylpiperazyna), czyli pochodna piperazyny stosowanej w leczeniu schizofrenii i psychoz. Uznawana jest za legalny substytut amfetaminy i ecstasy, powoduje podobne skutki uboczne, takie jak zaburzenia łaknienia, snu, rozchwianie emocjonalne czy psychozy".
4. Janusz Palikot, od jesieni 2005 roku poseł PO, zakłada nową partię. Oświadczył, że inne ugrupowania są zramolałe i nie służą ludziom. Arytmetyka nie kłamie – oświecenie trwało cztery lata.

●●●

Wyjaśnienie tych opóźnień jest proste: Polska wpadła w zakrzywienie czasoprzestrzeni. Nasza godzina nie trwa godzinę, miesiące nad Wisłą to jedna doba nad Tamizą czy Potomakiem. Na tym zresztą nie koniec. Nasz metr nie mierzy już tyle, ile wzorzec z Sèvres. Dowodu dostarczył sam premier. By pilnować ofensywy ustaw Platformy, chwilowo przenosi się z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów do biura w Sejmie. Na szczęście żyjemy nie tylko w erze automobili i telefonów, ale nawet komputerów i satelitów. Proponuję więc wpisać do nawigacji dwa dresy: Aleje Ujazdowskie 1/3 oraz Wiejska 4/6/8. Odległość: 1400 metrów. Ale dla premiera, na dodatek ponoć żelazną ręką trzymającego parlamentarną większość, to przestrzeń uniemożliwiająca sprawne rządzenie.

●●●

Słynny naukowiec, badacz czarnych dziur i czasoprzestrzeni Stephen Hawking powiada: „Jeżeli chcemy podróżować w przyszłość, musimy po prostu szybko się poruszać". Ot, motto w sam raz nie tylko dla fizyków i kosmologów. ●



ORBITA PRZEKROJU

PIOTR MARECKI

Etap I: słownik

Ruszyła śnieżna kula zmian" – słyszę ze strony reżyserów i reżyserek, pisarzy i pisarek, producentów i producentek kreatywnych obecnych na dwóch spotkaniach: warszawskim wrześniowym Restarcie polskiego kina i październikowym Okrągłym Stole Filmowców i Literatów w Zegrzu. Na razie wszystko odbywa się na poziomie wypracowania słownika, który – co czas pokaże – może przemieni się we wspólne działania. Pewne jest, że najważniejsze zwroty, które należy do tego słownika wprowadzić, to nieobecne przez 20 lat „myślenie zespołowe" i „funkcja kierownika literackiego". Pojawia się pytanie, czy powrócić do metod już sprawdzonych – w latach 30. XX wieku polscy filmowcy testowali działanie zespołowe w spółdzielni Start w kontrze do myślenia przez pryzmat zysku i ówczesnego „podłego gustu", co po odwilży w 1956 roku doprowadziło do powstania prawdziwych zespołów filmowych – oraz demokratyzacji w państwie zarządzanym centralnie. Z różnymi skutkami i efektami zespoły przetrwały do czasów transformacji, przynosząc międzynarodowy sukces kina polskiego oraz jego niezaprzeczalną jakość. Stały się znakiem rozpoznawczym, patentem polskiej kinematografii. Rok 1989 zanegował działania zespołowe na rzecz myślenia indywidualnego w kategoriach zysku, rynku oraz na rzecz epoki producenckiej, która trwa już od dwóch dekad, przynosząc międzynarodową absencję kina polskiego oraz jego niezaprzeczalną – z niewielkimi wyjątkami – nijakość. Pytanie: „Co robić?", w tych warunkach przekształca się w pytanie o powrót do sprawdzonych zespołów, a przynajmniej do myślenia w jego kategoriach. To pytanie odnosi się także do funkcji kierownika literackiego – osoby, która otwierała kino na inne dziedziny sztuki i wiedzy. Kierownik literacki w PRL przywiązany był do tworu stałego, instytucji zespołu. Czy dzisiaj mógłby być kimś do wzięcia do konkretnego projektu, pojedynczego filmu – trochę jak dramaturg w teatrze? Funkcję kierownika literackiego w zespołach pełnili pisarze, krytycy, publicyści – między innymi Stawiński, Konwicki, Bratny, Andrzejewski, Krall, Michałek – którzy, używając dzisiejszej terminologii, byli sparingpartnerami dla twórców filmowych, ich głos bardzo się liczył. Nierzadko twórca filmowy trafiał na nich jako na pierwsze osoby w zespole, słuchał ich od etapu prac literackich, poprzez plan filmowy, do momentu montażu. Z tej funkcji zrezygnowano po 1989 roku, likwidując zespoły i przekształcając je w firmy produkcyjne, w których – jak mówił Jerzy Stefan Stawiński – zostali tylko szef i sekretarka. Kinematografia dzisiaj jest tak zorganizowana, że by „kula śniegowa zmian", która ruszyła, odniosła skutek, właśnie do nich i do paru władnych ten słownik powinien trafić.

Autor jest redaktorem naczelnym „Ha!art", członkiem think tanku Resta



Kulturalnie polecamy



FOT. Library of Congress

Stacia Napierkowska, francuska aktorka i tancerka, jedna z bohaterek **ŚWIĘTA NIEMEGO KINA**

WTOREK
12 PAŹDZIERNIKA

Lorca na ukulele

Po przygodzie z poezją Emily Dickinson (album „Graphic as a Star") i eksperymentach z pieśniami Schuberta, Schumanna i Brahmsa na płycie „A Wolf in Sheep's Clothing" Josephine Foster wzięła na warsztat twórczość Federica Garcíi Lorki. Album „Anda Jaleo" to mieszanka psychodelicznego folku, bluesa i flamenco – Paco de Lucía i Antony and the Johnsons w jednym. Niemożliwe? Nie zdziwcie się zatem, jeśli na scenie zobaczycie artystkę tańczącą z kastanietami, a zaraz potem zmagającą się z ukulele i harfą.

Poznań, Dragon, **12 października**, godzina 20, **Warszawa**, Laboratorium CSW, **13 października**, godzina 20

ŚRODA
13 PAŹDZIERNIKA

Fala dźwięku

Na Wunder Wave przypłyną tym razem do Łodzi: kanadyjski przedstawiciel sceny electro-industrial Front Line Assembly (na jedynym polskim koncercie będzie promować najnowszą płytę „Improvised Electronic Device") oraz austriacka grupa Mind.In.A.Box (future pop, industrial, progresywny trance). Dzień później kolejna fala Wunder Wave przyniesie ciężkie brzmienia: nowojorski Sick of It All i równie hardcore'owy Madball zadbają o to, by w Łodzi było naprawdę głośno!

Łódź, Dekompresja, **13–14 października**, godzina 19

CZWARTEK
14 PAŹDZIERNIKA

Wcale nie po cichu...

...bo przy akompaniamencie muzyki na żywo będziemy obchodzić Święto Niemego Kina. Tym razem przyjrzymy się związkom kina i literatury: w programie między innymi francuski 15-minutowy film „Zabójstwo księcia Gwizjusza" z 1908 roku oraz „Gdy zmysły grają" Mauritza Stillera z 1924 roku z Gretą Garbo. Skoro o gwiazdach niemego kina mowa: czy poza Polą Negri znacie jakąś diwę o polskich korzeniach? Jeśli nie, poznajcie Stację (czyli Stanisławę) Napierkowską – aktorka zagrała w 86 filmach i wciąż głośniej o niej w źródłach zagranicznych niż w polskich! Imprezę zainaugurują polskie filmy związane z 90. rocznicą Bitwy Warszawskiej: „Dla Ciebie, Polsko" (1920) i „Cud nad Wisłą" (1921).

Warszawa, kino Iluzjon, **do 17 października**, więcej na **www.fn.org.pl**

Kotojeleń projektuje

Pasiasty kot z porożem to znak rozpoznawczy czwartej edycji Łódź Design Festival. Organizatorzy przekonują, że warto mieć fantazję – „Amazing Life" to hasło przewodnie festiwalu. Zadziwiające dmuchane przedmioty z wystawy „Under Pressure" Agnieszki Jacobson-Cieleckiej czy rachityczne, zdeformowane obiekty Oskara Zięty to zapowiedź designerskich niezwykłości, które zobaczymy w Łodzi.

Łódź, różne miejsca, **do 30 października**, więcej na **www.lodzdesign.com**

PIĄTEK
15 PAŹDZIERNIKA

Muzyka w formie

Goldfrapp, Robyn i DJ Krush to główne gwiazdy tegorocznego Free Form Festival. Ale podczas szóstej edycji stołecznej imprezy będziemy także świętować 20. urodziny słynnej brytyjskiej wytwórni Ninja Tune. Festiwal uświetni duet Coldcut (który tę firmę założył) oraz ich podopieczni: King Cannibal i zdobywczyni ubiegłorocznej nagrody Mercury Speech Debelle.

Warszawa, Centrum Kultury Koneser, **do 16 października**, więcej na **www.freeformfestival.pl**

Sztuka na (nie)właściwym miejscu

Twórcy festiwalu Ostrale w Dreźnie przekonują, że współczesna sztuka najlepiej czuje się w miejscach nietypowych. W tym roku na przestrzeń wystawienniczą wybrali Erlwein-Schlachthof – dawną rzeźnię o powierzchni 15 tysięcy metrów kwadratowych. Katowicka ekspozycja „Out of Ostrale" (pokonkursowa wystawa dzieł z „Ostrale'010", która z Niemiec zawędruje do Polski, Belgii i Węgier) odbędzie się natomiast w postindustrialnej Galerii Szyb Wilson, na terenie nieczynnego szybu kopalnianego KWK Wieczorek. Prezentowane tam (pod hasłem „Rites of Passage") instalacje, performance'y, rzeźba i malarstwo mierzą się z tematem transformacji miejsc, obiektów, materiałów.

Katowice, Galeria Szyb Wilson, **do 14 listopada**

SOBOTA
16 PAŹDZIERNIKA

Festiwal Iwony

W pierwszym dramacie Witolda Gombrowicza małomówna i nieatrakcyjna Iwona po zaręczynach z księciem Filipem zaczyna skupiać na sobie uwagę całego dworu. Podczas Festiwalu Gombrowiczowskiego uwaga również skupi się na tej „rozlazłej", „plazmowatej" dziewczynie: spośród ośmiu festiwalowych spektakli pięć to inscenizacje „Iwony, księżniczki Burgunda" (między innymi ze Szwecji, z Rumunii i ze Słowacji). Wszystkie spektakle wyreżyserowane zostaną przez zagranicznych twórców, liczymy zatem na świeże spojrzenie na Gombrowicza i jego Iwonę.

Radom, Teatr Powszechny imienia Kochanowskiego, **do 21 października**, więcej na **www.teatr.radom.pl**

Sztuka konfrontacji

Jednym z wydarzeń 15. edycji festiwalu teatralnego Konfrontacje będzie wystawienie „Naszej klasy" w reżyserii Ondreja Spišáka, który to dramat Tadeusza Słobodzianka – piszemy o nim na s. 60 – został niedawno laureatem Nagrody Nike. Zobaczymy też „(A)pollonię" Krzysztofa Warlikowskiego oraz spektakle zagraniczne: „Remis trwa tylko chwilę" wystawiany przez doceniony podczas tegorocznej moskiewskiej Złotej Maski Teatr RAMT i „Krawca z Inverness" Teatru Dogstar Theatre Company, triumfatora edynburskiego Fringe Festival.

Lublin, Centrum Kultury, **do 23 października**, więcej na **www.konfrontacje.pl**

NIEDZIELA
17 PAŹDZIERNIKA

Unsound dla odważnych

Bez obaw, „Horror – przyjemność strachu i niepokoju" to tylko motto ósmej edycji festiwalu Unsound. Koszmarnej muzyki w Krakowie nie uświadczycie. Można za to hurtem nadrobić zaległości z najnowszej elektroniki (wystąpią Actress, Emeralds, Oneohtrix Point Never, James Blake czy Mount Kimbie), awangardy (Moritz von Oswald Trio) i zobaczyć drugi w ciągu ostatnich 29 lat koncert Lustmord. Własną muzykę do „Solaris" Andrieja Tarkowskiego wykona islandzkie duo Daníel Bjarnason–Ben Frost wespół z Sinfoniettą Cracovią. Nasza rozmowa z jedną z gwiazd festiwalu, amerykańskim kompozytorem Alanem Howarthem, na s. 59.

Kraków, różne miejsca, **do 24 października**, więcej na **www.unsound.pl**

PONIEDZIAŁEK
18 PAŹDZIERNIKA

Seryjni poeci

Prowadzona przez Mariusza Grzebalskiego seria poetycka ukazująca się w wydawnictwie o trudnej nazwie (WBPiCAK), ale z coraz bardziej potężniejącym portfolio, wzbogaca się o kolejne tytuły. Aż cztery: Agnieszki Wolny-Hamkało „Nikona i Leicę", Krzysztofa Siwczyka „Koncentrat", Marka K.E. Baczewskiego „Fortepian i jego cień" oraz „Ucieczkę z Elei" Macieja Woźniaka. Wierszy będzie można posłuchać na wspólnym wieczorze promocyjnym, na którym autorów na okoliczność nowych książek przesłucha Piotr Śliwiński.

Poznań, Centrum Kultury Zamek, godzina 19

Na kanapie

Dostać się z własnym utworem na soundtrack amerykańskiego serialu to dziś nie sztuka, ale zdobyć w takim serialu główne role – to już inna historia. Nowozelandzcy muzycy folkowi Bret McKenzie i Jemaine Clement podbili serca producentów „Flight of the Conchords" (HBO) poczuciem humoru. W serialu grają niby siebie – muzyków usiłujących zrobić karierę w Nowym Jorku. Ale o ile w rzeczywistości sukcesy już mają (między innymi nagrodę Grammy), o tyle na ekranie dopiero po nie sięgają. Z komicznymi efektami, których jakość gwarantuje nazwisko Jamesa Bobina, jednego z producentów serialu (produkował show Sashy Barona Cohena, zanim ten, niestety, zmienił się w Borata).

„Flight of the Conchords", sezon 1., USA 2007, reż. James Bobin, Troy Miller, Galapagos, 65 zł

Patent na szajbę



Mówi się o największym przekręcie w dziejach kina, słusznie, nie każdy umiałby tak długo udawać żywego trupa

ŁUKASZ ORBITOWSKI

Szajba – jej wpływ na kulturę masową jest stanowczo niedoceniany. Dwa lata temu palma odbiła Joaquinowi Phoeniksowi. Przynajmniej tak to wyglądało. Phoeniksa nieco wcześniej obwołano przyszłością aktorstwa, jego role – jak popisowy Kommodus w „Gladiatorze" – zdawały się to potwierdzać, a tu klops. Aktor orzekł, że dosyć tego, rzuca robotę i będzie raperem. Sprzedał piękny dom, zapuścił brodę, zaczął śmierdzieć, nagranie jego występu u Lattermana stało się przebojem Internetu. Phoenix naćpany po uszy mamrocze dyrdymały, śmieje się głupio i najwyraźniej ma trudności z pojęciem, gdzie przyszedł i po co. Potem z górki: kariera muzyczna nie wypaliła, wyzywanie ludzi oraz narkomania wręcz przeciwnie i niedawny celebryta przeistoczył się w obłąkanego kloszarda; ludzie pytali, czy jeszcze żyje.

Szalejący aktor czy też celebryta nie jest niczym nowym, ale zrozumiałym – i owszem. W końcu każdy pragnie czasem cisnąć w bliźniego czymś ciężkim, ganiać nago po mieście i wywracać się w telewizji. Wybitność na artystycznym poletku daje tę szansę, ludzie patrzą łaskawiej. Przecież samemu Brando też biło na dekiel. Bela Lugosi, sławetny Drakula, spędził jesień życia, chodząc w wampirzym płaszczu, sypiał w trumnie, a szajbę leczył morfiną: obłęd opuścił go wraz z życiem. Najcudniej jednak wariował wielki Klaus Kinski. Godzinami umiał wyć na ekipę i Herzog zatrzymywał go na planie za pomocą spluwy. Rzucał ludziom w twarz gorące ziemniaki, uznał za słuszne zamknąć się na dwa dni w łazience i tam pohukiwać, dokonywał też radykalnego utożsamienia się z postaciami, które grywał. Uważał się odpowiednio za Jezusa, Paganiniego, strach myśleć kogo jeszcze, skoro wystąpił w ponad 130 filmach.

Ale Phoenix nie oszalał, właśnie wybuchła bomba – jego zachowanie było tylko happeningiem na potrzeby nowego filmu. Kręcił młody Affleck. Teraz Phoenix, czysty i ogolony, przeprasza wszystkich naiwnych, mało brakuje, a zacznie klaskać stopami, tak zachwyca go własny spryt. Media mówią o największym przekręcie w historii Hollywood, trudno nie przytaknąć, nie każdy znalazłby siłę, by tak długo ubierać się głównie we własne wydzieliny. Phoenix błyskawicznie wrócił na szczyt, ma już miejsce w historii kina, a ja myślę o kosztach takiej operacji. Poza Affleckiem, w numer ten wtajemniczonym, Phoenix zapewne okłamał wszystkich, łącznie z najbliższymi, by ci zaraz nie polecieli do gazet. Taki klimat w tej Kalifornii. Rodzina i przyjaciele musieli jednak patrzeć, jak aktor popełnia samobójstwo na raty, co nie mogło być przyjemne, zwłaszcza że już jego brat oddał ducha przez dragi. Fajne numery dokonują się więc kosztem najbliższego otoczenia. Popyt na szaleństwo jest tak wielki, że czasem trzeba wariata wymyślić.

A Polacy? Jesteśmy postrzeleni, więc aktorów i celebrytów mamy w miarę normalnych – jeden Misiek Koterski nie zaspokoi społecznego głodu obłędu. W zamian ujawnia się nadreprezentacja szaleńców bożych, którzy dotknięci palcem Stwórcy wyczyniają rzeczy najróżniejsze – taki z kapeli metalowej przeskoczy w buty herszta zespołu dziecięcego, założy stowarzyszenie patriotyczne i dostanie program w telewizji, co nie jest znowu takie złe. Bóg wariatów umiłował, ale po swojemu. ●

RYS. Katarzyna Leszczyc-Sumińska na podstawie zdjęcia Marka Szczepańskiego

Jak to się robi bez toalet

Problem jest śmierdzący. Ale nie można dłużej zatykać nosa i obchodzić go dookoła: w Polsce prawie co dziewiąte mieszkanie nie ma ubikacji, a co ósme – łazienki

TEKST **MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ** ILUSTRACJA **ADA BUCHHOLC**

Jeśli ktoś nie może spokojnie posiedzieć we własnej toalecie, to gdzie siedzi? Teresa Górzyńska robi to w kącie, do wiadra. Ma 93 lata i niewielki domek parterowy przy ulicy Batorego w Toruniu. Gdy była młodsza i zdrowsza, wychodziła z domu, szła ulicą jakieś 80 metrów i już mogła posiedzieć w miejskiej wygódce. Teraz nie pokona takich dystansów. Zresztą i tak nie ma co ćwiczyć nóg, bo administracja zamurowała większość ulicznych wychodków. Wysłużyły się, poza tym zaczęły być groźne – jakieś dziecko by weszło, wpadło do szamba, co wtedy? Zostaje wiaderko. Tu w okolicy wiele osób tak sobie radzi. Przy czym u Teresy Górzyńskiej czeka się na należyte zapełnienie naczynia, żeby bratowa – Kazimiera Went, lat 74 – nie musiała fatygować się zbyt wiele razy. Bo to, co wpadnie do wiadra, trzeba przecież jakoś wynieść z domu – idzie się więc między domami aż do ronda Ohio (w zasadzie nie wiadomo, skąd się wzięła ta nazwa. Można jedynie zgadywać, że ktoś zapatrzył się na USA – tylko że tam Ohio to jednak rozwinięty stan, a tu nie rozwinęła się nawet kanalizacja).

Samo rondo to niewielki placyk, na którym jest sześć wybetonowanych dziur. Wszystkie okratowane dla bezpieczeństwa, żeby przypadkiem nikt nie wpadł, nogi nie złamał, życia nie stracił. Więc w te okratowane dziury wylewa się to, co się komu wysiedziało w domowym kącie. Przy czym papier toaletowy, niestety, zawiesza się na kratkach i tańczy na wietrze, nie wspominając o tym, że często zawieszają się tam też inne, grubsze rzeczy.

– Pewnie pomrzemy, nie poznawszy, jak to jest mieć ubikację – zgaduje Kazimiera Went. Odchody na ulicę wynosi za siebie i za bratową, ale stara się nie przyzwyczajać, bo marzy, żeby kiedyś pomieszkać lepiej. Na razie jedynie może dbać o czystość wiaderka. Latem wygrabić przed domem, żeby było ładnie. Ostatnio też pomalowała elewację domu na seledynowo, żeby było jak u ludzi przystało. Tu przecież, gdzie mieszkają pani Went z panią Górzyńską, to nie żaden koniec świata – nawet nie obrzeża miasta, raptem cztery kilometry od centrum Torunia, którym zachwycają się turyści krajowi i zagraniczni.

Drzewa i inne takie

Według Głównego Urzędu Statystycznego w Polsce mamy około 13 milionów mieszkań – z tego 1,7 miliona bez łazienki. A w 1,6 miliona nie ma nawet prostego ustępu ze spłuczką. Koszmar pod tytułem „Jak pozbyć się kupy?" może codziennie przeżywać nawet pięć milionów Polaków.

Nadarzyn pod Warszawą – dobrze, że tutejsza świetlica ma toaletę. To jedyny sanitarny ratunek dla matki z trójką dzieci (mieszkają w 12-metrowej klitce bez kuchni, bez łazienki). Świetlicowa toaleta niestety zamykana jest o godzinie 17 i męcz się dalej, człowieku. Przynajmniej do pierwszego kwartału przyszłego roku – wtedy gmina ma oddać do użytku nowe lokale socjalne, z wygodami. – Ta pani dostanie mieszkanie – zapewnia „Przekrój" Agnieszka Maria Kuźmińska, zastępczyni nadarzyńskiego wójta, i stwierdza z przykrością, że wiele osób ma jeszcze gorzej niż matka z trójką dzieci. Najtrudniejsza sytuacja, jeśli chodzi o brak ubikacji w mieszkaniach, jest w centrum miasta, tuż przy rynku.

– Drzewko – mówi Henryk Zielecki. Pod drzewkiem robi to najchętniej. Mieszka z synem w Bydgoszczy, zajmują dwa pokoje z kuchnią przy ulicy Planu 6-letniego. Do załatwiania pilnych potrzeb mają co prawda jeden z 20 wychodków, które stoją 100 metrów od ich domu, ale nie lubią tam chodzić, bo po pierwsze śmierdzi, po drugie daleko. Syn – jeśli to możliwe – załatwia wszystko w pracy, podobnie jak kiedyś ojciec – dopóki nie przeszedł na emeryturę. Teraz Zielecki, emerytowany stolarz, wyprawia się na miasto. Albo zdąży dojść do hipermarketu, albo zostaje drzewko.

– Z jednej strony mamy tak zwane elity – krąg ludzi, którzy mają się świetnie, zmieniają samochody, chodzą do teatru, na wystawy, czytają trudniejszą literaturę. A na drugim krańcu jest grupa ludzi, która – mówiąc dosadnie – nie ma co zrobić ze swoją kupą – tłumaczy doktor Grzegorz Kaczmarek, socjolog kultury. I zaraz stawia pytanie: – Czy dla wszystkich ludzi ważne jest to, żeby mieć gdzie się załatwić? Może niektórzy nie mają ubikacji, bo po prostu nie chcą?



ILUSTRACJA Ada Buchholc/artmanufaktura.eu

Jerzy Zakwerski (jest sąsiadem Zieleckiego), gdy tylko temat schodzi na to, co kto by chciał mieć, a czego nie, biegnie szukać ostatniego odcinka renty. – O, proszę. Z tego muszę opłacić czynsz, światło. Zostaje mi 400 złotych – wylicza. – A nie, właściwie mniej. Obciąża mnie przecież jeszcze 30-złotowa rata na trumnę.

Zakwerski stary nie jest, ale schorowany, samotny, więc woli zawczasu zadbać o sprawę pochówku. W sumie po opłaceniu wszystkiego zostaje mu na życie 12 złotych dziennie. Tyle ma. A czego nie ma? – Ogrzewania nie mam, ciepłej wody nie mam, ubikacji nie mam – wymienia jednym tchem. Nawet gdyby wygrał na loterii i miał za co urządzić ubikację albo od razu nawet całą łazienkę, to miałby dylemat: gdzie? W kuchni się nie da, więc w pokoju. Musiałby tylko zdecydować, czy wstawić muszlę klozetową zamiast tapczanu, czy zamiast szafy.

Z danych GUS, który w ubiegłym roku podał, jakie mamy zasoby mieszkaniowe, wynika, że największy kłopot z ustawieniem muszli, umywalek czy wanien mają ludzie na wsiach – w co czwartym wiejskim domu po prostu niczego z tego nie uświadczysz: nie ma ubikacji, równie często nie ma łazienki z bieżącą wodą. Przy czym na przykład na Mazowszu takie braki są nawet w co trzecim gospodarstwie. Na Lubelszczyźnie czy Podlasiu podstawowych cywilizacyjnych wynalazków nie ma 40 procent budynków.

– Gdyby każdy mógł się załatwiać w domu, byłoby naprawdę pięknie – wyobraża sobie Jolanta Nobis, która jest sąsiadką Jerzego Zakwerskiego i ma przynajmniej trzy powody, dla których wolałaby, żeby wychodki zniknęły – na razie choćby tylko te z jej ulicy. Po pierwsze, miałaby ładniejszy widok – teraz akurat z okna widzi 20 wygódek, każda z drzwiami w innym kolorze (żeby się nie myliło, która jest czyja). Po drugie, gdyby zniknęły, to i smrodu by nie było. Po trzecie, nie byłoby much. Teraz trudno okno otworzyć. – Pchają się, spasione jak nie wiem co.

Zresztą co tam muchy, o ludzi chodzi – za potrzebą wybiegają z domu dzień czy noc, deszcz czy śnieg. – Zimą potwornie podwiewa – mówi Jolanta Nobis. – Kobiety chorują na zapalenie pęcherza i przydatków. No niech ktoś tak spróbuje codziennie ściągać majtki, gdy na dworze minus 30 stopni.

A i zanim człowiek dojdzie tam, gdzie podwiewa, to może się przecież przewrócić. Kiedyś Zielecki przewrócił się, pękła mu miednica – trzeba było jechać do szpitala. – Dwa miesiące leżałem – wspomina. To był czas, gdy doświadczył wygód, jakich nigdy nie miał w domu – ciepła woda, prysznic, ubikacja ze spłuczką. Właśnie minęły trzy lata, odkąd pławił się w szpitalnych luksusach.

Szmat czasu. Trzy lata to tyle, ile całe życie Amelki Szewczyk ze wsi Straszów, gmina Rozprza, powiat piotrkowski, województwo łódzkie. Amelkę pokazywali nawet w telewizji – ma rozszczepienie kręgosłupa, wodogłowie, chory pęcherz. Mama myje ją, cewnikuje i narzeka, że jest coraz trudniej – dom się sypie, spod podłogi wychodzą robaki, z kątów myszy, szczury. Bieżącej wody – brak. Ogrzewania – brak. Ubikacji – brak. Spodziewa się mieszkania socjalnego, w którym w końcu by to wszystko było. – Nie ona jedna – wzdycha wójt Rozprzy Ryszard →

→ Witek. – Mamy w sumie 20 kalekich dzieci. I dużo rodzin w domach bez wody, bez kanalizacji. W zasadzie gmina skanalizowana jest w 20 procentach.

Ludzie muszą sobie radzić, kopiąc szamba. Na wsiach to wciąż niemal norma. Czasami celowo zakłada się szamba dziurawe, żeby nie trzeba było zbyt często ich opróżniać (bo wezwanie wozu asenizacyjnego kosztuje od 50 do 200 złotych), czasami ciągnie się z domu rurę z nieczystościami wprost do rowu melioracyjnego albo do rzeki. A często w ogóle macha się ręką i rezygnuje ze spłukiwania wodą czegokolwiek, włącznie ze swym ciałem.

W całej Polsce do połowy mieszkań nie jest dostarczana ciepła woda (jak ktoś chce mieć luksus, musi sobie zagrzać sam). W miastach oczywiście jest lepiej niż na wsiach, ale też nie idealnie. Na przykład w Łódzkiem czy na Dolnym Śląsku co dziesiąte miejskie mieszkanie nie ma toalety, tyle samo jest bez łazienki.

W czasie ostatniego spisu powszechnego w 2002 roku okazało się, że w samej Warszawie jest zajmowanych 10 tysięcy mieszkań bez ubikacji (33 tysiące pozostawało bez podłączenia do sieci kanalizacyjnej). W przyszłym roku, gdy znów zacznie się spis powszechny, będzie można sprawdzić, czy jest poprawa. Ale nie ma co się łudzić, że poprawiło się u wszystkich. Nawet na pewno się nie poprawiło. Gdy oddajemy ten numer do druku, Kuba Grzegorczyk z Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów zapowiada lokatorskie protesty na wzór strajku czynszowego w Barcelonie, który w 1931 roku podjęło ponad sto tysięcy ludzi udręczonych trudnymi warunkami życia. 2 października już przeszedł ulicami warszawskiej Pragi marsz z czarną flagą, co miało symbolizować czarny lokatorski los w mieszkaniach z grzybem, ale bez gazu, wody, ubikacji.

Idą i grzmią

– Jest szansa na pierwszy od czasów powojennych zryw lokatorski w Polsce – mówi Grzegorczyk. Liczy na to, że ludzie w końcu przestaną cicho siedzieć w beznadziejnych mieszkaniach, że wyjdą, zaprotestują. – Chcemy, żeby o problemie stało się głośno. Nie można czekać, aż samo się coś zmieni, czas, by ci, którzy muszą żyć w warunkach urągających godności, przestali być niewidzialni.

Stąd ten pomysł przemarszu ulicami – od kamienicy do kamienicy – z przystankami tam, gdzie żyje się szczególnie źle. Każdy, stając pod domem, w którym mieszka, ma się otworzyć, opowiedzieć, co go gnębi. A najczęściej – jak zauważają w Stowarzyszeniu – gnębi ludzi czynsz, który w Warszawie potrafi być niebotycznie wysoki (rekord to sto złotych za metr kwadratowy – podaje Grzegorczyk). No i standard mieszkań, który – choć to stolica – potrafi być jednak niewyobrażalnie niski.

– Część kamienic tkwi w XIX wieku – przyznaje Ryszard Bill, który w praskim Zakładzie Gospodarowania Nieruchomościami pełni obowiązki zastępcy dyrektora do spraw technicznych. Średni wiek budynków to 80 lat. I raczej wiele kurczowo trzyma się metryki, czyli trzyma się ledwie, ledwie. Do tego na samej Pradze-Południe jest 140 kamienic z tak zwanymi roszczeniami. Ponieważ nieuregulowane są sprawy własnościowe, nie robi się generalnych remontów, tylko czeka i nie wiadomo, jak długo to czekanie potrwa. – W ten sposób nie da się dobić technologicznie do nowych czasów – mówi wicedyrektor Bill.

Smuci go, że wielu ludzi musi żyć, jakby miało rozdwojenie jaźni – wychodzą z domu i widzą, że świat wokół przyspieszył – wszędzie fotokomórki, kafelki, podświetlane lustra. Wracają do domu, a tam brak ciepłej wody, toaleta na piętrze, wspólna z sąsiadami. Smród, goła żarówka, ściany upaćkane, czasami lepiej nawet nie dochodzić czym.

Profesor Wielisława Warzywoda-Kruszyńska, która kieruje Instytutem Socjologii na Uniwersytecie Łódzkim, cyklicznie bada, jak żyje się w łódzkich enklawach biedy. 10 lat temu zdarzały się kamienice, w których ludzie nie mogli się załatwić ani w domu, ani na korytarzu, ani nawet skorzystać z wychodka na podwórku – po prostu nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było dostępnej ubikacji. W tegorocznej edycji badań spodziewała się, że takich miejsc już nie będzie. Ale skąd, są. – Ludzie załatwiają się do reklamówki i idą z tym do śmietnika – mówi profesor.

W jednym gramie ludzkiego kału jest 10 milionów wirusów, milion bakterii, do tego jaja pasożytów.

Ryszard Fikier z Częstochowy, pozbawiony możliwości korzystania z kanalizacji, mając świadomość, jak duże zagrożenie epidemiologiczne stanowi wylewanie własnych fekaliów na podwórko kamienicy, w ubiegłym roku sam na siebie złożył donos w częstochowskim sanepidzie. Jeżeli spodziewał się kontroli i tego, że inspektorzy natychmiast zrobią coś w sprawie kanalizacji, to grubo się pomylił. Zawiadomił policję – też nic. Strażnicy miejscy wpadli, zobaczyli jego kupy w krzakach, wyrazili współczucie i poszli.

W Lublinie mieszkańcy starego miasta, mając dość życia jak w średniowieczu, już w ubiegłym roku natarli na prezydenta, wykrzyczeli, że kto to widział, aby w dzisiejszych czasach nie mieć w domu łazienki. – Staramy się, remontujemy, jest poprawa – zapewnia „Przekrój" Artur Cichoń z lubelskiego Zarządu Nieruchomości Komunalnych. Czasami – jak przyznaje – mimo dobrej woli nie da się zbyt wiele zrobić. Po prostu przeprowadzenie rur kanalizacyjnych przez wszystkie mieszkania okazuje się technicznie niemożliwe. Wciąż więc są budynki z ubikacjami na korytarzu. Są też ekstremalne przypadki – ubikacja na podwórku, woda noszona w wiadrze z tak zwanego zdroju ulicznego. Tak jest jeszcze przynajmniej w dziesięciu lubelskich budynkach podległych ZNK.

Ale nic to, w Augustowie na przykład bez rur kanalizacyjnych jest główna ulica, samo centrum miasta. Był tu ambitny plan, żeby sytuację poprawić, ogłoszono już nawet przetarg, ale go odwołano – teraz nawet trudno ustalić, kiedy zostanie wbita pierwsza łopata i dlaczego dotąd nikt tam nic nie robi. W urzędzie miasta, gdy słyszą, że ktoś z prasy dobija się w sprawie kanalizacji, odpowiadają, że burmistrza nie ma, a wiceburmistrz stale zajęty. – Sytuacja byłaby wyłącznie groteskowa, gdyby nie była tak męcząca – mówi „Przekrojowi" augustowska radna Ewa Perkowska.

Od 12 lat walczy o skanalizowanie ulicy 3 Maja, przy której zresztą sama mieszka. To reprezentacyjna część miasta, tu mieści się i starostwo, i urząd miejski. Trwa spór kompetencyjny, kto ma w sprawie tej ulicy najwięcej do powiedzenia, a kto najwięcej do zrobienia – starosta czy burmistrz, burmistrz czy starosta. – Spierają się, a kanalizacji jak nie było, tak nie ma – wyjaśnia radna Perkowska. Choć czasem bywa, bo – choć może niektórych to nie zdziwi – urzędy już jakoś sobie poradziły, podpięły się do sieci (wykorzystując infrastrukturę sąsiednich ulic). W urzędach są więc wykafelkowane toalety. Tylko mieszkańcy zostali – chciałoby się powiedzieć – z kupą w nocniku.

Są tu domy, które nie mają ani wygód, ani nawet wygódek. – Wodę to sobie pociągnęliśmy od znajomych z sąsiedniej ulicy – opowiada Halina Stankiewicz, która mieszka przy ulicy 3 Maja, więc ma bardzo blisko do augustowskich urzędów, ale wciąż bardzo daleko do własnej, wymarzonej łazienki. Na razie musi jej wystarczyć kranik z zimną wodą, który wystaje ze ściany w przedpokoju, tuż pod półeczką przykrytą koronkową serwetą (Lubię, żeby było ładnie – wyjaśnia pani Halina). Tak więc wodę sobie z mężem załatwili. Gorzej, gdy sami mają się załatwić. Wtedy zostaje wiadro i szybki marsz do zbiorowego szamba na podwórku.

– Wstyd, że tak musimy żyć – wzdycha mąż pani Haliny, Mieczysław.

– Wstyd – przyznaje żona. – Szczególnie przed turystami. I szczególnie zagranicznymi. Przyjeżdżają jak do uzdrowiska, idą na spacer, a tu my – z wiadrami.

Wielka ziemska kupa

Oczywiście polskie problemy to nic w porównaniu z problemami światowymi – na kuli ziemskiej 2,5 miliarda ludzi nie ma dostępu do urządzeń sanitarnych. Z tego powodu 200 milionów ton ludzkich wydzielin zalega na ziemi lub pływa w wodach. Można się oczywiście pocieszać, że polski smród jest częścią światowego urobku. Albo że to nic przy globalnych rozmiarach zjawiska. Ale jednak mamy problem. Który na dodatek może nas uderzyć po kieszeni. Według założeń traktatu o akcesji Polski do Unii Europejskiej do końca 2015 roku wszystkie miejscowości powyżej dwóch tysięcy mieszkańców muszą być wyposażone w systemy kanalizacji zbiorczej i oczyszczalnie ścieków. Jeśli nie zdążymy, będziemy płacić kary.

Osiem lat temu, gdy robiono spis powszechny, ponad jedna trzecia mieszkań w Polsce nie była podpięta do sieci kanalizacyjnej. Wtedy mieliśmy trzy miliony szamb, teraz prawdopodobnie mamy około 2,4 miliona, wygląda więc na to, że jest postęp. Ale nie w imponującym tempie. Czy przyspieszymy i w najbliższej pięciolatce uporamy się z problemem kanalizacji? A jeśli nie, to jak wysokie kary nam grożą? Ministerstwo Środowiska pytania szybko odbija (jakby były śmierdzącymi kulkami) do Krajowego Zarządu Gospodarki Wodnej, a Zarząd przechwytuje i milczy.

Tymczasem diagnoza społeczna, którą cyklicznie przygotowuje zespół profesora Janusza Czapińskiego, wskazuje na to, że Polskę z dużo większym impetem oplata sieć internetowa niż kanalizacyjna. W ostatnich dwóch latach mieliśmy błyskawiczny przyrost liczby komputerów w domach – samych laptopów mamy już dwa razy więcej, niż mieliśmy dwa lata wcześniej. Tak szybko, jak rośnie liczba komputerów, nie rośnie liczba łazienek – pod tym względem Polska poprawia się w tempie pół procent rocznie. – Internet stał się wyznacznikiem standardu cywilizacyjnego. Chcemy, żeby każde dziecko koniecznie miało komputer czy buty Adidasa, a nikt jakoś się nie zastanawia, ile w tych adidasach jest nóżek, które nigdy nie myły się pod ciepłą, bieżącą wodą – mówi doktor Kaczmarek.

– Najbardziej żal mi dzieci. One powinny mieć szansę wyrwać się do cywilizowanego świata. Tymczasem zbliżają się wybory – czy ktoś mówi o wyrównywaniu szans? Kiedyś, jak tylko ruszała akcja wyborcza, zaraz zaczynały się zapewnienia o trosce, poprawie. Teraz żaden polityk nawet tego nie obiecuje – dodaje profesor Krystyna Marzec-Holka. Jest kierownikiem Katedry Pedagogiki Społecznej bydgoskiego Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, bada konsekwencje ubóstwa w środowiskach lokalnych i zauważa, że co prawda obszar polskiej biedy nie poszerza się, ale za to pogłębia. I nie chodzi tylko o to, że ludzie muszą chodzić do wychodków – mają też nierówny dostęp do edukacji, opieki zdrowotnej.

Biedni stają się coraz biedniejsi, rośnie dystans dzielący ich od tych, którzy prą do przodu. Zacofanie utrwala się, koncentruje – co widać doskonale też w badaniach, które prowadzi profesor Wielisława Warzywoda-Kruszyńska. W 1998 roku było w Łodzi 17 enklaw biedy – z tego większość w samym centrum miasta, po obu stronach Piotrkowskiej. Po 10 latach – mimo że przecież jest postęp, dorosło nowe pokolenie, wprowadzono nowe technologie, świadczenia i ulgi – aż w 12 z tamtych enklaw nic się na lepsze nie zmieniło.

W czasie ostatniego spisu powszechnego okazało się, że w samej Warszawie jest 10 tysięcy mieszkań bez ubikacji, a 33 tysiące pozostawało bez kanalizacji

– W każdym mieście są takie miejsca – mówi profesor Kruszyńska. Życie w zacofaniu stygmatyzuje. Skoro ktoś mieszka w sypiącej się kamienicy, bez toalety, to widocznie nie dość się postarał w życiu. – Człowiek, czując, że jest gorszy od innych, wycofuje się – wyjaśnia doktor Kaczmarek. – Nie wychodzi z domu, nie walczy o swoje, skoro może usłyszeć, że śmierdzi.

Wyniki badań profesor Kruszyńskiej pokazują to wycofanie oraz ludzi, którzy mają coraz niższą samoocenę, są mniej aktywni, za to bardziej agresywni, a także mają poczucie, że coś im dolega. Brak higieny podkopuje stan zdrowia. Jeśli nawet – jak to się jeszcze mawia w Polsce – od brudu nikt nie umarł, to też od brudu nikt nie wyzdrowiał. – Jedno dziecko ma wrzodziejące jelito grube, drugie ma słabe serduszko. Mnie też siada serce, kręgosłup – skarżyli się ludzie łódzkim socjologom.

Kucnij solidarnie

– Skoro większość społeczeństwa ma wygody, to mniejszości, która wygód nie ma, nie bierze się pod uwagę – profesor Wielisława Warzywoda-Kruszyńska tak wyjaśnia to, że w Polsce prawie w ogóle nie mówi się o braku łazienek w domach.

Temat czasami odżywa, mniej więcej w okolicach 19 listopada – wtedy obchodzony jest Światowy Dzień Toalety wymyślony przez World Toilet Organization – niekomercyjną organizację, która powstała głównie po to, żeby podtrzymywać temat braku sanitariatów. Uznano w końcu, że trzeba ten problem ogarnąć, zacząć go rozwiązywać. WTO skupia już 235 organizacji z 58 krajów – wśród nich nie ma Polski, choć są Japonia, USA, Kanada, Belgia, Bułgaria, Francja, Norwegia. W ubiegłym roku ludzie w wielu nowocześniejszych od Polski państwach dali się wciągnąć w akcję „The Big Squat". W jednej chwili na ulicach, przystankach, w urzędach, w szkole każdy kucał tak, jak w miejscach publicznych kucać muszą ci, którzy w domu nie mają toalety. Wcześniej w Berlinie pod Bramą Brandenburską powstała wielka instalacja z muszli klozetowych, a na trawniku pod Kapitolem w Waszyngtonie rozstawione zostały sylwetki ludzi, którzy ze spuszczonymi majtkami chowają się za krzaczkiem, murkiem, torbą, parasolem. Gdy ktoś nie ma ubikacji, musi mieć pomysł, jak to ukryć. Na ogół też nie lubi jesieni ani zimy. Choć akurat w Polsce zdania w sprawie najgorszych pór roku są podzielone.

W okolicach toruńskiego Ohio jedni nie lubią zimy, drudzy nie cierpią lata. Wszystko zależy od tego, jak daleko mają do ronda, na którym wyrzuca się nieczystości.

– Najpodlej jest latem – upierają się ci, którzy mieszkają blisko. – Smród aż kipi, gotuje się, nie można wytrzymać – narzekają.

– Najgorzej jednak jest zimą – mówią ci, którzy mieszkają daleko. Gdy zasypie uliczki, to nie dojdą do ronda i zostaną z kupą w wiadrze. Tak więc tu, w Ohio, w zasadzie żadna pora nie jest dobra. Lato okropne, no bo weź, człowieku, wytrzymaj ten fetor, a zima nieznośna, no bo weź, idź, człowieku, gdy ulica skuta lodem – wiadomo, orła wywiniesz, wiadro wypuścisz, będzie kupa śmiechu. •



fot. Mateusz Trzuskowski/Cyfrasport/newspix.pl

Dawid B. to **twarz polskiego rynku dopalaczy.** Zachowuje pewność siebie, a kajdanki traktuje jak zabawny gadżet

Ustrzelony z dopalacza

Premier boksuje się z 23-latkiem. Wygrywa Donald Tusk, ale o nokaucie nie ma mowy. Dawid B., właściciel największej sieci sklepów z dopalaczami, raz za razem lądował na przesłuchaniach i w areszcie, niezmiennie przekonany o legalności swojego interesu

DONAT SZYLLER, IGOR RYCIAK

Obok dwóch mundurowych policjantów, którzy cały dzień obserwują zaplombowany magazyn z dopalaczami, zatrzymuje się czarne lśniące porsche 911 turbo. Dawid B., 23-letni właściciel firmy Special Highs, gasi silnik i pewnym krokiem podchodzi do drzwi. Policjanci wskazują na plomby i ostrzegają. Jest wtorek, 5 października. Cztery dni wcześniej plomby założył na drzwi sanepid. B. wzrusza ramionami i otwiera boczne drzwi, które ktoś zapomniał zapieczętować. Po chwili podjeżdżają dwa wozy prewencji z funkcjonariuszami wyposażonymi jak na akcję rozpędzania tłumu. Wysiadają i zapełniają podwórko przy ulicy Rewolucji 1905 roku w Łodzi.

Kłębią się też dziennikarze, a B. ironicznie uśmiecha się do kamer. Na oczach dziennikarza „Przekroju" kłóci się z inspektor sanitarną, która ponownie przyszła zaplombować pomieszczenia z dopalaczami. Drwi z niej, bo wyglądająca na około 50 lat kobieta nie wie, co to bletki (w slangu to bibułki do skrętów).

Przed kamerami mężczyzna opowiada, że jest ofiarą systemu i represjonowanym biznesmenem. Informuje, że urząd skarbowy już go upomniał, bo jako właściciel sieci sklepów z dopalaczami nie mógł zapłacić podatku VAT. A nie mógł, bo firmowe komputery ma zaplombowane. Zapomina dodać, że sanepid zamknął jego firmę 2 października, a termin płatności VAT upłynął 25 września. W ferworze wydarzeń nikt o to nie pyta, informacja idzie w świat.

Po chwili Dawid B. – patrząc policjantom w oczy – zapowiada, że następnego dnia znów zacznie sprzedawać dopalacze. Potem jedzie do komisariatu na przesłuchanie. Jest godzina 18, policja będzie zadawać mu pytania do godziny 21. Po przesłuchaniu B. schodzi po schodach komendy. Rozpina guzik pod szyją. Wymięta koszula rozchełstała się na brzuchu. Jest zmęczony, już się nie uśmiecha, na bladej twarzy maluje się raczej troska. Mimo to twardo zapowiada „Przekrojowi" to, co wcześniej powiedział policjantom: – Otworzę sklep i będę sprzedawał. Mam do tego prawo, działam legalnie.

Cynik chcący zarobić na czymkolwiek, nawet na toksycznych dopalaczach? A może człowiek z misją – jak chciałby, by o nim myślano?

W marcu tego roku to samo czarne porsche 911 przywiozło Dawida B. na spotkanie z członkami inicjatywy Wolne Konopie, która walczy o legalizację marihuany w Polsce. – Nie chcę być postrzegany jako morderca dzieci i diler z szarej strefy. Chcę edukować i mówić klientom, co szkodzi, a co nie – powiedział im B. I na piśmie zobowiązał się, że w dniu, w którym rząd zalegalizuje trawkę, on zrezygnuje ze sprzedaży dopalaczy. Obiecał, że będzie wspierał działania na rzecz legalizacji, by potem w swoich sklepach zamiast dopalaczy sprzedawać wyłącznie nieszkodliwą – zdaniem B. – trawkę.

Małolat z pomysłami

Na podwórku kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej 28 w Łodzi panuje cisza. Gołębie i kot wylegują się zgodnie na parapecie. Jest tu zakład przyklejania tipsów, opustoszała pracownia futer, punkt skupu starych telefonów komórkowych, studio tatuażu.

Dawida B. pamiętają wszyscy. Pojawił się w kamienicy na początku 2008 roku. – Jedno można powiedzieć na pewno: imponował energią – słyszymy w jednym ze sklepów. – Grzeczny był, ukłonił się zawsze, wyglądał jak uczniak – mówi sprzedawczyni futer. Powtórzą to potem wszyscy nasi rozmówcy: Dawid ma urodę młodego chłopca, niewinne błękitne oczy, pyzatą buzię i bujną blond czuprynę. – Będę tu robił poważne interesy – oświadczył na wstępie biznesmenom z podwórka.

– Małolat z głową pełną pomysłów – opowiada Tomasz Obara, lider inicjatywy Wolne Konopie, który z racji branżowych zainteresowań poznał B., gdy ten zaczął rozkręcać biznes.

– Ubrany byle jak, mówiący byle co – wspomina jeden z dawnych znajomych.

Zanim B. trafił na Piotrkowską 28, dzielił los tysięcy młodych Polaków bez pomysłu na życie. W Łodzi nie było pracy, ze studiami było mu nie po drodze. W 2006 roku trafił za chlebem do Wielkiej Brytanii. Przez dwa następne lata jego życiorys układał się stereotypowo: Londyn i Edynburg, smażenie hamburgerów i obsługiwanie nalewaka do piwa. 5-6 funtów za godzinę pracy.

W końcu wrócił do Łodzi. Za odłożone kilka tysięcy złotych wynajął sklepik na parterze kamienicy przy Piotrkowskiej – czterdzieści parę metrów kwadratowych. Golden Union – dumnie brzmiała nazwa jego pierwszego biznesu, agencji reklamowej. Bez kontaktów, bez wykształcenia, bez znajomości rynku nie miał szans. Przez pół roku w Golden Union nie działo się nic. Jedyna aktywność – druk i dystrybucja na Piotrkowskiej kart rabatowych do łódzkich dyskotek.

Interes w cieniu

Wrzesień 2008 roku. Na podwórku przy Piotrkowskiej 28 ruch jak w ulu. Agencja Golden Union to już historia. W tym samym zapyziałym lokalu powstaje teraz pierwszy w Łodzi sklep z dopalaczami. Większości to słowo kojarzy się z napojem energetyzującym. Mniejszość wie, że nowy sklep oferuje narkotyki niezakazane przez prawo: ziółka do palenia, napary, grzybki, pigułki i sole do wciągania nosem. To efekt nauki, którą Dawid wyniósł z Wysp: dzieciaki lubią narkotyki, a wobec dopalaczy prawo jest bezradne. Wystarczy adnotacja „produkt kolekcjonerski, nie do spożycia przez ludzi". I można dilować legalnie.

Pomysł przeszczepiony na polski grunt chwyta. – Naszą propozycję kierujemy do ludzi młodych, lubiących się bawić i korzystać z życia. Łódzki rynek jest pojemny – tak w 2008 roku zachwala swoje produkty Dawid B. Dotąd twierdzi, że na rozwinięcie interesu pozwoliło mu kilkanaście tysięcy złotych, które pożyczył od kolegi. I nie był pierwszym, który wszedł na ten rynek. Pionierem była sieć Dopalacze.com, na której skupiła się pierwsza fala krytyki i szczegółowych kontroli. B. przycupnął w cieniu i bez rozgłosu rozwijał swoją działalność.

Zapewniał, że sam dopalaczy nie zażywa, bo dilerzy nie biorą własnego towaru. Zaprzeczają temu ludzie z branży. – B. osiągnął sukces, bo zna się na rzeczy. O ile Dopalacze.com sprzedawały importowane produkty, bazując na teoretycznej wiedzy o ich działaniu, o tyle Dawid z grupą zaufanych pracowników całymi miesiącami tworzył własne dopalacze, testując je na sobie – mówi jeden ze znajomych B.

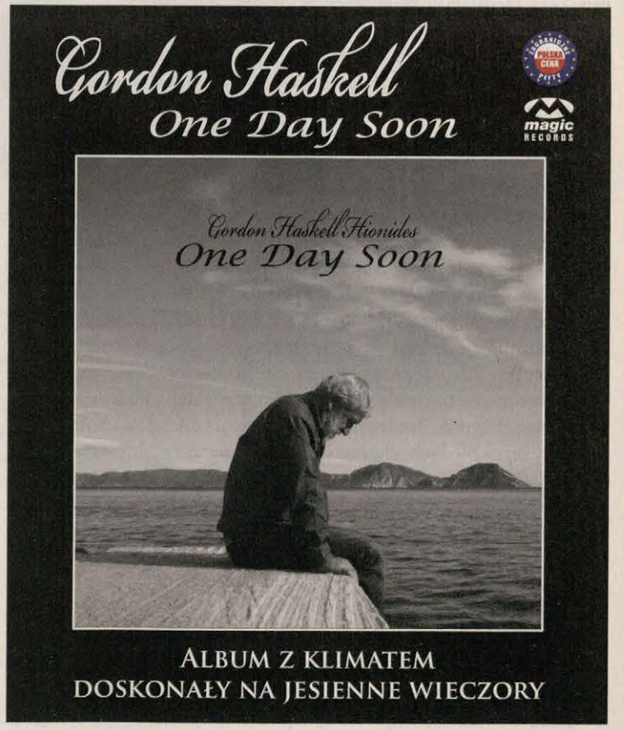
Brutalna reakcja

Druga połowa 2010 roku. Po pierwszym sklepie z dopalaczami przy Piotrkowskiej nie ma śladu. – Właściciel kamienicy nie chciał w swoim domu takiej działalności – tłumaczą sąsiedzi. Historyczny sklepik zamknięty na głucho. O Dawidzie i jego sieci sklepów jest za to głośno. B. zapomniał chyba, że w cieniu pracowało mu się efektywniej. Chłopak pozuje na „króla dopalaczy", a prasa rozpisuje się o fali zatruć i zgonów, za które mogą być odpowiedzialni sprzedawcy specyfików.

Czy faktycznie dopalacze zabijają? Samych podejrzanych zgonów policzyć się nie da. Ani lekarze, ani policja nie prowadzą takich →

REKLAMA

NOWY ALBUM



→ statystyk. Wiadomo tylko, że było ich kilka w ciągu ostatnich miesięcy, lecz ani razu sekcja zwłok nie wskazała dopalaczy jako bezpośredniej przyczyny śmierci. A zatrucia? Każdego tygodnia do szpitali trafia kilka lub kilkanaście osób, które przedawkowały specyfiki lub u których wywołały one niepokojące reakcje. W wielu przypadkach lekarze uznają, że to wina dopalaczy, w których może znaleźć się dosłownie wszystko – każdą chemię. Kłopot w tym, że „produkt kolekcjonerski" nie musi mieć na opakowaniu dokładnej informacji o składzie.

Bogaty i demoniczny B. staje się wrogiem publicznym numer jeden. Zwłaszcza wtedy, gdy w TVN na początku września swoich klientów nazywa „debilami".

Rozmowa z ministrem sprawiedliwości **Krzysztofem Kwiatkowskim** na s. 28

2 października na polecenie rządu służby sanitarne plombują prawie tysiąc sklepów z dopalaczami, w tym 127 należących do B. Pretekstem jest decyzja sanepidu, który uznał dopalacze za groźne dla zdrowia. 23-latek odgraża się, że pozwie Skarb Państwa i będzie się domagał odszkodowania za nękanie legalnego, bądź co bądź, biznesmena. Reakcja państwa jest stanowcza, by nie powiedzieć: brutalna. – Nie ma litości dla tych, którzy życie młodych, obiecujących ludzi chcą zamienić w piekło uzależnienia – odpowiada B. premier Donald Tusk.

Biznes klimatyzowany

Budynek, w którym urzędowo zarejestrowane jest piekło (o którym mówił szef rządu), wygląda dość obskurnie. Ulica Wólczańska, kilka kroków od Piotrkowskiej. Przy bramie śmierdzący alkoholem pokoik ochroniarza. – Wyprowadzili się ze trzy miesiące temu. Tam byli, na pierwszym piętrze – strażnik pokazuje palcem. Między hurtownią psiej karmy, biurem brokera ubezpieczeniowego i szkołą nauki jazdy B. zarejestrował swoje dopalaczowe imperium. Dziś za szklanymi drzwiami z wyrwanym domofonem nie ma żywego ducha (jeśli nie liczyć kilku biegających po starej wykładzinie karaluchów).

Latem było tam tłoczno od kurierów, pakowaczy i chemików, którzy mieszali dostarczane przez B. odczynniki rodem z Chin i Ameryki Południowej. Samochody dostawcze rozwoziły produkty nawet w środku nocy. Ruch zwiększał się z każdym miesiącem, bo też każdego miesiąca B. otwierał nowe sklepy. Flagowy sklep, w Łodzi przy ulicy 6 Sierpnia, miał kilkaset metrów powierzchni, a wystrojem przypominał luksusowy butik. Zainteresowanie klientów było tak wielkie, że tuż obok powstał sklep nocny, w którym dopalacze były osiągalne od północy do godziny 10. – Przyszedłem kiedyś do pracy o 7 rano, a tam już stała kolejka – opowiada pracownik sąsiedniej firmy.

W wytwórni przy Wólczańskiej życie toczyło się niemal całą dobę. Nocą, gdy produkcja zamierała, pracownicy organizowali huczne imprezy. Tak huczne, że sąsiedzi z kamienicy obok skarżyli się na zbyt głośną muzykę. – Ale najgorszy był ten smród chemikaliów – wspomina listonosz roznoszący pocztę na ulicy Wólczańskiej. – Jakby apteka pomieszana z drogerią. Bardzo intensywny zapach. Aż głowa bolała.

B. uczy się na błędach, dlatego ścianę kolejnej mieszalni – tej obecnej, przy ulicy Rewolucji 1905 roku – zdobi siedem ogromnych klimatyzatorów. A okolica w pewnym sensie znajoma: znów odrapane ściany, popękany chodnik, przepełnione śmietniki. Serce imperium B. bije teraz między szwalnią a zakładem szklarskim.

Ulubiony przedrostek

Pieniądze B. kłuły ludzi w oczy. Plotki mówią o 5,5 miliona złotych, które co roku zostają w jego kieszeni. On plotek nie dementuje, raczej otwarcie je potwierdza. Krąży po Łodzi nie tylko wartym 500 tysięcy złotych porsche 911, ale też tańszym porsche cayenne (około 300 tysięcy). Chwali się wakacjami w Dubaju. Imponuje apartamentem kupionym za blisko milion złotych w koszmarze architektonicznym – w budynku łódzkiej Mariny w kształcie, nomen omen, łodzi, położonym zresztą naprzeciwko kliniki toksykologii Instytutu Medycyny Pracy.

– To górniarz, któremu woda sodowa strzeliła do głowy – mówi jeden ze współpracowników B., potargany dwudziestokilkulatek w hip-hopowej bluzie z kapturem. – Jego hobby to kolekcjonowanie przedrostków „naj": najdroższy zegarek, najbardziej ekskluzywny hotel, najlepszy samochód, największy apartament. Z zahukanego małolata pracującego na zmywaku zmienił się w nadzianego buca. Życzliwy i uczciwy niby jest, ale z tygodnia na tydzień głupieje od kasy. Jak pójdzie na dno, może się nie pozbierać. Zeświruje albo strzeli sobie w łeb.

– Nieprawda – oponuje Obara z Wolnych Konopii. – Mimo drogiego zegarka i milionowych zarobków nie zadziera nosa. Rozmawiamy jak równy z równym, chociaż ja jestem ubogi i bezrobotny. Czy to grzech wydawać samodzielnie zarobione pieniądze? Ludzie mu zazdroszczą, dlatego śmieją się z jego porsche i lakierowanych butów. Mnie nie przysłaniają one prawdziwego Dawida, chłopaka, który po prostu miał szczęście do interesów.



fot. Marek Szyska/newspix.pl

Kontrole sanepidu w firmie B. **miały uprzykrzyć mu życie** i sprowokować do złamania prawa. Udało się, król dopalaczy trafił za kraty

To nieustające (do czasu) szczęście jest źródłem kolejnych plotek – o związkach Dawida z mafią. Wielu wierzy, że jest on tylko słupem w narkotykowym biznesie. Jaka jest prawda? Tego nie wiedzą nawet policjanci. – Nie miał wcześniej kłopotów z prawem, dotąd się nim nie interesowaliśmy – mówi nam jeden z łódzkich funkcjonariuszy. – Nie słyszałem, żeby jego nazwisko przewijało się w jakiejkolwiek sprawie – dodaje oficer z Komendy Głównej Policji.

Sam B. nie zachowuje się jak słup. Codziennie pojawia się w magazynie i osobiście, od rana do wieczora, nadzoruje pracę całej firmy. – Szef na luzie. Zero zwolnień, zero pretensji – mówi nam młoda, ładna szatynka w modnie skrojonym płaszczu, która pracuje w jednym ze sklepów B. – Pensja na koncie co do dnia, paczka z kosmetykami w prezencie na święta. Źle?

Abonent niedostępny

Środa, 6 października, godzina 13.30, główny sklep B. na ulicy 6 Sierpnia w Łodzi. Obok radiowozu znów parkuje porsche. Znów kłębią się dziennikarze. – Mamy wolność gospodarczą, decyzja o zakazie sprzedaży jest nieprawomocna, zamierzam normalnie otworzyć sklep – mówi B. kilkanaście godzin po wyjściu z policyjnego przesłuchania. Dzień wcześniej wchodził do magazynu, teraz zrywa plomby ze sklepu i sam staje za ladą. Jest po naradzie z prawnikami, sprzedaje. Mundurowi biorą go pod ręce, prowadzą do radiowozu. Kamery po raz kolejny rejestrują jego szeroki uśmiech.

Nie uśmiecha się Donald Tusk, który ogłasza: – Weszliśmy, zamknęliśmy. Będzie siedział. Na pewno będzie odpowiadał na drodze karnej.

Premier przyznaje, że rząd zastawił na B. pułapkę: – Myśmy tę akcję [sanepidu – przyp. red.] wymyślili, by ich sprowokować do złamania jakiegokolwiek przepisu.

Gdy B. stanął za ladą, nie złamał jednak przepisów kodeksu karnego, bo ten wciąż nie zakazuje handlu dopalaczami. Pułapka premiera Tuska była sprytna – B. sprzedając dopalacz, złamał przepisy ustawy o inspekcji sanitarnej, a dokładnie artykuł 37b. Mówi on, że za sprzeciwienie się decyzji inspektora sanitarnego grożą nawet dwa lata więzienia. A sanepid zdecydował o „zaprzestaniu działalności" sklepów i hurtowni oferujących dopalacze. Pretekstem był środek o nazwie Tajfun, którym zatruło się kilka osób, w tym 12- i 17-latek. Inspektorzy zamknęli również te sklepy, w których Tajfunu nie sprzedawano. – Bo nawet jeśli nie było w nich środka o tej nazwie, mieliśmy podstawę, by przypuszczać, że znajduje się w nim inny o podobnym składzie – wyjaśnia Jan Bondar, rzecznik prasowy Głównego Inspektoratu Sanitarnego. W praktyce więc decyzja sanepidu oznaczała, że sprzedaż każdego dopalacza jest nielegalna, bo każdy z nich może być mutacją Tajfunu. I właśnie to był bat na B., który twierdzi, że z Tajfunem nie miał nic wspólnego. – Ten człowiek w sposób lekceważący łamał prawo – mówi rzecznik komendanta głównego policji Mariusz Sokołowski.

Takiego samego zdania była prokuratura, która oprócz łamania ustawy o inspekcji sanitarnej zarzuciła mu lekceważenie ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii (co oznacza, że w jego hurtowni policja mogła znaleźć też „klasyczne" narkotyki. A za to grozi już 10 lat więzienia). Gdy zamykaliśmy ten numer „Przekroju", łódzki sąd wciąż się zastanawiał, czy na proces B. poczeka w areszcie. – Naszym zdaniem jest taka konieczność, bo podejrzanemu grozi surowa kara, jest też ryzyko, że będzie matacz ył – mówi Krzysztof Kopania, rzecznik prokuratury. Kariera Dawida B. jako króla dopalaczy wyraźnie dobiegła końca. W miniony piątek Sejm w ekspresowym tempie przyjął nowelizację ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii. Jeśli ustawa równie szybko przemknie przez Senat i zostanie podpisana przez prezydenta, to za kilka dni dopalacze staną się „substancjami zastępczymi" wobec narkotyków, a handel nimi i ich posiadanie będą nielegalne.

Sam Dawid B. był w ostatnich dniach „abonentem chwilowo niedostępnym" – najczęściej siedział za kratami łódzkiej izby zatrzymań.

WSPÓŁPRACA AGATA JANKOWSKA

REKLAMA



Rozmowy o mądrzejszym świecie

Potrzeba zmian wymaga inteligentnych rozwiązań

Możemy uczynić nasz świat mądrzejszym. Dzięki zdobytej wiedzy wzrośnie produkcja, sprzedaż oraz obrót dobrami. Podróże staną się łatwiejsze, a operacje finansowe szybsze i bezpieczniejsze. Sprawniejsze stanie się również zarządzanie przedsiębiorstwami i miastami.
Razem zbudujmy mądrzejszy świat.
Jak zacząć, dowiesz się na **ibm.com**/swiat/pl/razem

IBM, logo IBM, ibm.com i ikona planety są zarejestrowanymi znakami towarowymi lub znakami towarowymi International Business Machines Corporation w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach. Aktualna lista znaków towarowych IBM dostępna jest na www.ibm.com/legal/copytrade.shtml.
© Copyright IBM Corporation 2010. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Niebieska kontrrewolucja

Nie ma już śladu po zmianach, dzięki którym sześć lat temu pomarańczowi doszli do władzy na Ukrainie. Ich klęskę przypieczętował właśnie Trybunał Konstytucyjny, orzekając, że przeprowadzone przez nich reformy były niezgodne z ustawą zasadniczą. Wróciło stare i prędko nie odejdzie. Ale może nie ma co płakać

RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Był 8 grudnia 2004 roku, kulminacyjny punkt pomarańczowej rewolucji. Na kijowskim placu Niepodległości Wiktor Juszczenko – kandydat opozycji w wyborach prezydenckich, najpierw wielki oszukany, a potem jeszcze większy wygrany – ogłosił ostateczny triumf demokracji. Parlament niemal jednogłośnie przyjął tego dnia nowelizację konstytucji. Nowelizację radykalną, bo zmieniającą ustrój państwa. Ukraina kończyła z silnym prezydentem, zostawiając w jego rękach funkcje w zasadzie tylko reprezentacyjne. Władza przechodziła w ręce parlamentu i rządu. W historii kraju otwierał się nowy rozdział. Ukraina, do 1991 roku radziecka republika, była na najlepszej drodze do ostatecznego uniezależnienia się od Moskwy i – jak wcześniej Litwa, Łotwa i Estonia – obrania kursu proeuropejskiego. Trzy tygodnie później sen demokratów się ziścił – Juszczenko ostatecznie pokonał kandydata prorosyjskich niebieskich Wiktora Janukowycza i został prezydentem. Pomarańczowi doszli do władzy. Tak się przynajmniej wtedy wydawało.

Bomba atomowa

Dziś, prawie sześć lat po tamtych wydarzeniach, z pomarańczowej rewolucji nie pozostał kamień na kamieniu. Juszczenko tkwi w politycznym niebycie, a jego niegdysiejsi sojusznicy (jak była premier Julia Tymoszenko) przeszli do rozpaczliwej opozycji. Świetnie ma się za to Janukowycz. Został prezydentem, ma wierny sobie parlament i rząd. I będzie się cieszył prawdziwą pełnią władzy, bo 1 października Trybunał Konstytucyjny orzekł, że wszystkie zmiany, które Juszczenko z taką radością obwieszczał tłumowi na placu Niepodległości, zostały wprowadzone niezgodnie z prawem. Okazało się tym samym, że pomarańczowa rewolucja była nielegalna.

Ukraińska opozycja przyjęła ten werdykt z oburzeniem, nie zostawiając suchej nitki ani na Trybunale, ani na prezydencie Janukowyczu. – Nasz kraj właśnie przestał być częścią wspólnoty demokratycznej – oświadczyła Julia Tymoszenko. – To antykonstytucyjne szaleństwo ze strony władz, które zdecydowały, że prawo nic nie znaczy. To bomba atomowa, której uosobieniem jest przywódca o dyktatorskich zapędach.

Była premier niekoniecznie jednak ma rację. Anna Górska, ekspertka do spraw Ukrainy z Ośrodka Studiów Wschodnich, uważa, że zmiany pospiesznie przeprowadzone w grudniu 2004 roku przez pomarańczowych były – po pierwsze – „bez wątpienia" sprzeczne z ustawą zasadniczą, a po drugie – niekorzystne z punktu widzenia funkcjonowania państwa. Nowe prawo pomarańczowi przyjęli z naruszeniem procedur. Poprzednia konstytucja była spójna, nie budziła zastrzeżeń nawet na Zachodzie. Miała wady – koncentrując władzę w rękach prezydenta, nie stwarzała żadnych mechanizmów zapobiegających nadużywaniu kompetencji. Ale i tak była lepsza niż jej nowelizacja. – Ta nie regulowała na przykład dostatecznie precyzyjnie procedury rozwiązywania parlamentu. Przez to pat polityczny w 2007 roku można było rozwiązać tylko dzięki zgodzie opozycyjnej Partii Regionów na rozpisanie przedterminowych wyborów – wylicza Górska.

Najnowszy wyrok Trybunału Konstytucyjnego spowodował jednak jeszcze większy chaos. Opozycja zaczęła się domagać powtórzenia wyborów prezydenckich, argumentując, że obywatele Ukrainy nie udzielili prezydentowi takich pełnomocnictw, jakie zyskał dzięki orzeczeniu Trybunału. Z taką interpretacją werdyktu Janukowycz jednak się nie zgadza. Jego zdaniem nowelizacja z 2004 roku była nielegalna, ale wybory przeprowadzone na jej podstawie są jak najbardziej wiążące. Nic dziwnego, że tak uważa. Od 7 lutego 2010 roku udało mu się skupić w swoich rękach całą władzę. W parlamencie dominuje jego Partia Regionów, a rządem kieruje wierny mu premier Mykoła Azarow. Najważniejsze osoby w wywiadzie, finansach, we władzach samorządowych czy wreszcie w sektorze energetycznym to też ludzie prezydenta.

Cień Rosji

Nastawiona proeuropejsko opozycja boi się, że tak zmonopolizowana Ukraina skończy w objęciach Rosji. I nie są to obawy bezpodstawne. Janukowyczowi zawsze było bliżej do Moskwy niż do Brukseli. Jako prezydent zdążył już utwierdzić krytyków w przekonaniu, że nie zamierza zmieniać tego nastawienia. W kwietniu zgodził się, by rosyjska flota czarnomorska stacjonowała w Sewastopolu do 2042 roku. Potem obwieścił, że członkostwo w NATO nie leży w sferze zainteresowań Ukrainy. Dzięki temu udało mu się uzyskać 30-procentową zniżkę na rosyjski gaz. Co prawda zaraz po zaprzysiężeniu wybrał się do Brukseli, żeby zapewnić, że dobre relacje z Europą nadal są jego priorytetem, ale nikt nie potraktował tej deklaracji poważnie.

Według Wołodymyra Horbacha, analityka z kijowskiego Instytutu Współpracy Euroatlantyckiej, Janukowycz zapewne wkrótce oficjalnie ogłosi rezygnację z aspiracji do NATO i zgodzi się na przyznanie językowi rosyjskiemu statusu języka oficjalnego. – To będzie katastrofa. Ukraina stanie się teraz dla Rosji takim państwem jak Uzbekistan czy Białoruś – wieszczy Horbach.

Nie Rosja jest jednak największym zmartwieniem opozycji, ale powrót rządów, które Julia Tymoszenko określa mianem dyktatury. – System władzy na Ukrainie zaczyna być podobny do tego, który panuje w Moskwie – mówi Michaił Pogrebinski z kijowskiego Centrum Studiów o Polityce i Konfliktach.



Fot. PAP/East News

Prezydent Wiktor Janukowycz **może już dziś samotnie rządzić Ukrainą**. Opozycji brak

Teoretycznie rządzenie jest łatwiejsze, gdy władza jest skupiona w jednej ręce, pod warunkiem jednak, że władca wie, jak rządzić.

Groźba dyktatury

Zdaniem przeciwników Janukowycza ten warunek tu nie zachodzi. Prezydent nie tylko zbliża się do Moskwy politycznie i ekonomicznie, ale też reprezentuje podobną mentalność w kwestii sprawowania władzy. Tymoszenko i jej sojusznicy nie są zresztą w tych obawach osamotnieni. We wrześniu Stany Zjednoczone i Unia Europejska wyraziły poważne zaniepokojenie kolejnym przypadkiem tajemniczego zaginięcia przedstawiciela niezależnych mediów – Wasyla Klementiewa, redaktora naczelnego niewielkiej gazety „Nowy Styl" – i wezwały władze w Kijowie do zapewnienia bezpieczeństwa dziennikarzom. Z kolei Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy po werdykcie Trybunału Konstytucyjnego ostrzegło Janukowycza, by nie uległ pokusie zmonopolizowania władzy. A działacze Batkiwszczyny – partii wchodzącej w skład Bloku Julii Tymoszenko – ogłosili strajk głodowy w związku z usunięciem najważniejszych działaczy tego ugrupowania z wyborów lokalnych, które odbędą się 31 października.

Anna Górska: – Od marginalizacji opozycji jest tylko krok do ograniczania swobód demokratycznych. Ograniczanie wolności słowa może budzić niepokój. Tak samo jak praktyki stosowane przez ukraińską Służbę Bezpieczeństwa (SBU) – rozmowy prewencyjne z dziennikarzami czy działaczami organizacji pozarządowych. Natomiast postępowania wszczęte przez SBU przeciwko byłym urzędnikom rządu Tymoszenko, choć uzasadnione, mają znamiona nękania opozycji. Boję się, że Janukowycz pójdzie drogą Kuczmy.

Dmytro Wydrin, dyrektor Instytutu Integracji i Rozwoju w Kijowie, przekonuje, że nawet jeśli tak się stanie, nie będzie to wina systemu, ale człowieka, w którego rękach skupiła się cała władza. – Konstytucja przyjęta w 1996 roku była okrzyczana na całym świecie jako najbardziej demokratyczna we wszystkich krajach byłego ZSRR. Jeśli dochodziło do nadużyć, to dlatego, że Kuczma łamał prawo, a nie dlatego, że było ono złe – przekonuje Wydrin.

A Polska swoje

Zachód ostrożnie komentuje koniec pomarańczowej rewolucji, bo boi się, że gwałtowne reakcje mogą tylko bardziej oddalić Ukrainę od Europy, wzmacniając tym samym pozycję Rosji. Jeszcze większą ostrożność zachowuje Polska, która w ostatnich latach zainwestowała ogromny kapitał polityczny we wsparcie europejskich dążeń Ukrainy i obawia się, że zostanie on teraz bezpowrotnie roztrwoniony. W pomarańczową rewolucję angażowali się i Lech Wałęsa, i Aleksander Kwaśniewski, i Lech Kaczyński, i Bronisław Komorowski. Ukraina była i nadal jest ważnym elementem lansowanego przez nas Partnerstwa Wschodniego. Prezydent Komorowski, który 1 października (a więc w dniu, gdy Trybunał Konstytucyjny ogłaszał niezgodność konstytucji z Konstytucją) spotkał się w Jałcie z Janukowyczem, nie ostrzegał go przed dryfowaniem w stronę dyktatury, lecz zapewniał, że Polska nadal będzie wspierać europejskie aspiracje Ukrainy. – Nie będziemy zmieniać naszej polityki wobec tego kraju – tłumaczy doradca prezydenta Tomasz Nałęcz. – Jako historyk nie mam wątpliwości, że proces wiązania się Ukrainy z Europą będzie postępował. Obrażanie się na Kijów za rezygnację z osiągnięć pomarańczowej rewolucji byłoby najgorszym wyjściem. Zresztą wcale nie uważam, że cały nasz wysiłek wspierania reform na Ukrainie poszedł na marne.

Również Anna Górska postrzega jako przedwczesne obawy, że niebieska Ukraina uzależni się od Rosji. – To prawda, że Janukowyczowi jest tam mentalnie bliżej niż do Brukseli, ale wpływ na rolę Ukrainy mają nie tylko politycy, ale także biznes – a ten częściej lansuje się na Zachodzie i bardziej zależy mu na europejskich rynkach. Zresztą Janukowyczowi wcale nie uśmiecha się rola politycznego banity w Europie. On wie, że jeśli za bardzo uzależni się od Rosji, skończy jak prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenko.

Rewolucja dobiegła końca. Pomarańczowych zastąpili niebiescy. Zamiast wiecznych waśni między prezydentem a parlamentem i rządem mamy idealną harmonię. Ale Ukraińcy przyzwyczaili się już do demokracji. Jeśli Janukowycz będzie chciał łamać jej zasady, płazem mu to nie ujdzie. Opozycja to nie tylko Tymoszenko, to cała zachodnia Ukraina. Trudno mu będzie nią rządzić zgodnie z własnymi zachciankami. ●

Dzień strachu nauczyciela

W szkole rządzą dzieci i rodzice. Tylko czasem nauczyciele. I to pod warunkiem, że uda im się stawić czoła ojcom, którzy chcą rozjechać belfra samochodem, i mamom, które w najlepszym razie zwyzywają nauczycielkę od idiotek

TEKST **MARCELINA SZUMER** ILUSTRACJA **PATRYK MOGILNICKI**

Po ośmiu godzinach lekcyjnych (w tym jednej spędzonej na pilnowaniu w świetlicy rozwrzeszczanych pierwszoklasistów) zbieram z biurka swoje rzeczy. Mam ochotę powiedzieć Goździkowej, że jej cudowne proszki guzik dają, gdy przez pół dnia siedzi się w takim hałasie. Ulgę przynosi mi myśl, że zaraz pójdę do domu. Wychodzę z klasy.

– Jakiś skandal! – tuż za drzwiami krzyczy do mnie mama jednej z uczennic. – Żenujące, jak w tej podrzędnej szkółce traktuje się zdolne dzieci! Co pani sobie w ogóle wyobraża? Czy wy sobie dyplomy kupiliście na bazarze?!

– Ale... – próbuję zapytać, o co chodzi.

– Nic mnie nie obchodzi twoje „ale"! Znam takich ludzi w kuratorium, że ci się wszystkiego odechce. Ja im powiem, co się w tej szkole wyrabia, ja cię zniszczę! – piekli się matka.

Czuję się mała, bezradna, nieszczęśliwa i wściekła na siebie, bo nie umiem zareagować. Nie mogę przecież, choć bardzo chcę, babie przyłożyć. Myślę sobie, że naprawdę nienawidzę rodziców.

Papierowa współpraca

Tę scenę przerywa doktor Marta Kotarba-Kańczugowska z Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. To podczas jej autorskich warsztatów wczuwałam się w rolę zakrzyczanej nauczycielki. Zdaniem Kotarby-Kańczugowskiej nauczyciele często czują się właśnie tak – zapędzeni w kozi róg, wściekli, bo nikt ich nie uczy, jak rozmawiać z rodzicami. – W programie studiów nauczycielskich jest metodyka zajęć z uczniem, przygotowywanie scenariuszy lekcji. Wszystko, co dotyczy dziecka. O tym, że istnieją rodzice, zupełnie się zapomina – tłumaczy.

Uczestnicy warsztatów (odbywały się na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Warszawskiego) sypali przykładami rodziców wściekłych, agresywnych, z przerostem ambicji. W tej sytuacji przestają dziwić wyniki ankiety, którą tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego przeprowadził „Głos Nauczycielski". Na myśl o powrocie do pracy 32 procent pytanych czuło strach lub zmęczenie, 18 procent było zmartwionych, tyle samo wolało nawet o tym nie myśleć. Radość odczuwało zaledwie 11 procent nauczycieli.

– A z czego tu się cieszyć? – pyta Magda, wychowawczyni w łódzkiej szkole podstawowej. Choć jej V klasa uchodzi za pełną najgorszych w szkole łobuzów, ma dobry kontakt z dziećmi. Nawet po lekcjach – przez Gadu-Gadu. Ale po pierwszym wrześniowym zebraniu z rodzicami ma dość. Na myśl o październikowym dostaje drgawek. – Rodzice traktują nasze spotkania jak pole bitwy. Gdy proszę o pomoc lub rozmowę wychowawczą z dzieckiem, twierdzą, że takie rzeczy powinna załatwiać szkoła. Gdy sama podejmuję jakieś kroki, usiłują podważać mój autorytet, powołując się na supernianię! – złości się nauczycielka i opowiada o tacie, który po każdym zebraniu przesyła jej w e-mailach długie epistoły o jej błędach. I to niekoniecznie dotyczących jego syna. Nic nie denerwuje Magdy tak jak to, że wszyscy wiedzą lepiej niż nauczyciel. – Czasem żałuję, że podałam im adres i numer komórki – narzeka. Choć oczywiście woli czytać krytykę, niż przyjmować ją osobiście, wprost.

– Tuż przed wakacjami kilku chłopców pokłóciło się w szatni z Bartkiem. On ich wyzywał, oni zaczęli okładać go kurtkami. Wyjaśniłam sytuację na godzinie wychowawczej. Byłam zadowolona, bo dzieci same doszły do konstruktywnych wniosków i się przeprosiły. Do dzienniczków wpisałam im jednak uwagi: Bartkowi za przezywanie, reszcie za lanie – opowiada Magda. Następnego dnia tata Bartka wpadł do szkoły i wykrzyczał nauczycielce w twarz, że źle przeprowadziła dochodzenie, a uwagę jego synowi wpisała niesprawiedliwie. – Zapytałam, jak w takim razie powinno wyglądać dobrze przeprowadzone dochodzenie: lampa w oczy i wiadro wody na głowę? – ironizuje Magda. Tata ucznia poinformował ją więc, że „da jej popalić", bo ma znajomości w kuratorium, a poza tym zastanowi się, czy nie poinformować policji, że w podstawówce dochodzi do aktów przemocy.

– Oni zawsze mogą nas postraszyć kuratorium. Marzę o miejscu, w którym to ja mogłabym złożyć skargę na rodzica – mówi Magda. Jej zdaniem najgorsza jest bezradność: – Awanturującego się rodzica nic nie uspokoi, on i tak już postanowił potraktować mnie jak worek do bicia. Coraz częściej myślę o zmianie zawodu.

Pisk opon za plecami

Pani Małgorzata, była dyrektorka liceum w małej miejscowości w województwie warmińsko-mazurskim, zawodu nie zmieniła. Przeszła na wcześniejszą emeryturę, przedtem przez 20 lat słuchała rodzicielskich awantur. Dobrze wie, do czego zdolni są wściekli rodzice, dlatego prosi, by nie podawać nazwy miasta, w którym uczyła. – Rodzice wiedzieli, że moje drzwi są dla nich zawsze otwarte, i skwapliwie z tego korzystali – opowiada. – Kilka razy w tygodniu ktoś wpadał do mnie z pretensjami. Na początek proponowałam herbatę i znikałam z czajnikiem na zapleczu. Oni trochę się uspokajali, a ja miałam chwilę, żeby przygotować się psychicznie na awanturę.

Do dziś jednak gwałtownie odwraca się za siebie, gdy słyszy ruszający z piskiem opon samochód. – Tatuś ucznia poradził mi kiedyś, żebym uważała, chodząc po mieście, bo wypadki drogowe często się zdarzają – mówi i tłumaczy, skąd pomysł ojca na taką radę: – Mieliśmy remont,



część lekcji odbywała się w sąsiedniej podstawówce. Kilku chłopców z liceum rozebrało się na korytarzu przed piątoklasistkami, zrobiła się straszna afera. Tłumaczyli się, że gówniary ich zaczepiały, więc postanowili im pokazać. No i pokazali... – wspomina dyrektorka.

Ani chłopcy, ani ich rodzice nie byli zbyt przejęci, do czasu gdy rada pedagogiczna uznała, że ściąganie majtek na korytarzu zasługuje na usunięcie ze szkoły. – Wtedy nagle zaczęli przychodzić, kierować pisma do nas i urzędu gminy; poskarżyli się w kuratorium, ściągając wizytatorów – opowiada dyrektorka. Gdy tata jednego z młodocianych ekshibicjonistów usłyszał od pani Małgorzaty, że nie cofnie decyzji rady pedagogicznej (dyrektorka, nawet jeśli ma ochotę, nie może tego zrobić), poradził jej, by uważała na samochody.

Jeśli potem czatował w ciemnych uliczkach, dyrektorki się nie doczekał. Pani Małgorzata wpadła w depresję i poszła na dwumiesięczne zwolnienie lekarskie. Jak poszła, tak została – w tym czasie nie wychodziła z domu.

Jestem OK, oni są źli

– Wszelkie groźby są karalne i o tym należy informować rozwścieczonego rodzica – tłumaczy doktor Marta Kotarba-Kańczugowska. Magdzie i innym nauczycielom, których autorytet rodzice próbują podważać, radzi rozmawiać stanowczo, a dyskusje doprowadzać do końca. – Trzeba docenić ich starania, ale podkreślać, że nam też zależy na dobru dziecka. Takim perfekcjonistom trudno przyjąć do wiadomości, że ich dziecko mogło się źle zachować. Dlatego twierdzą, że nauczyciel „źle przeprowadził →

śledztwo" – tłumaczy Kotarba-Kańczugowska i dodaje, że w rozmowie warto unikać wszystkiego, co może zagrozić poczuciu własnej wartości awanturnika.

Zajęć, na których nauczyciele mogliby trenować komunikację z rodzicami, jest mało. Niektórzy korzystają z tych prowadzonych w ramach międzynarodowego programu „Golden five" – w Polsce koordynuje go MEN-owski Ośrodek Rozwoju Edukacji. Przeszkoleni przez ORE instruktorzy uczą nauczycieli (najczęściej w poradniach psychologiczno-pedagogicznych), jak za pomocą prostych gestów i komunikatów dogadać się z rodzicem. – Jasne, że zdarzają się rodzice agresywni albo zwykli buce. Ale z odpowiednim podejściem nawet z nimi da się współpracować – uważa Joanna Szymańska, psycholog z ORE i współautorka programu. Powołuje się na badania przeprowadzone w 2008 roku przez Najwyższą Izbę Kontroli. Aż 65 procent nauczycieli stwierdziło wtedy, że współpraca z rodziną ucznia przebiega źle, ale winiło za to rodziców. Tymczasem to nie jest takie oczywiste.

Partner źle widziany

– Jednym z zadań uczestniczących w programie nauczycieli jest dzwonienie co jakiś czas do rodziców, by pochwalić dziecko. Okazało się, że dla pedagogów to problem. Krępowali się albo w ogóle nie rozumieli, po co mają to robić – mówi Szymańska. – Gdy w końcu się przemogli, byli zdziwieni, bo nawet „trudni" rodzice zmieniali się, słuchając pochwał. Zaczynali się zwierzać, opowiadać o kłopotach z dziećmi, wspólnie z nauczycielem szukali rozwiązania problemów – opowiada. Jej zdaniem do szkolnych dramatów prowadzi właśnie wzajemny brak zaufania: – Nauczyciele sądzą, że wiedzą lepiej, rodzice uważają, że nauczyciele chcą skrzywdzić ich dzieci.

– Tylko w ciągu jednego miesiąca dostajemy kilkadziesiąt rozmaitych skarg – mówi Bożena Skomorowska z biura prasowego MEN. Na naszą prośbę przejrzała najnowsze zażalenia. Do ministerstwa trafił między innymi list taty, który uważa, że szkoła nie docenia wybitnych zdolności humanistycznych jego córki (nalegał, by MEN zwolniło dziewczynę z matury z matematyki), a także donos na nauczyciela, który (podobno złośliwie) przeprowadził egzamin komisyjny w formie ustnej, a nie – jak chciał rodzic – pisemnej. Zdaniem Skomorowskiej większość spraw to właśnie drobiazgi. Podkreśla, że resort nie ma kompetencji do rozstrzygania takich sporów: – Rodzice mylnie sądzą, że wszystkim kieruje się w Warszawie. A przecież nikt z ministerstwa nie zadzwoni do szkoły i nie powie dyrektorowi, co ma robić. Organami założycielskimi szkół są samorządy.

Ojciec przyszedł do nauczycielki i rzucił 200 złotych na biurko. „Córka ma zdać" – zażądał. „Zda, jak będzie umieć" – rzekła nauczycielka. Dziewczyna nie zdała, rodzice przenieśli ją do innej szkoły

Dlatego MEN odsyła rodziców do lokalnych wydziałów oświaty, kuratoriów lub dyrektora szkoły. – Naprawdę wystarczyłaby rozmowa między rodzicami a nauczycielem, żeby rozwiązać problemy – zapewnia przedstawicielka ministerstwa. – Przecież w ubiegłorocznym rozporządzeniu dotyczącym nadzoru pedagogicznego zapisano, że rodzic jest partnerem szkoły – dodaje.

– Co to za partner, z którym nikt nie rozmawia? – pyta Ewa Jurkiewicz z Warszawy, była nauczycielka, mama czterech uczennic, założycielka i redaktorka „Niezbędnika Rodziców", internetowej gazety o edukacji. – W szkole jesteśmy potrzebni tylko do pieczenia ciasta i pilnowania pociech na dyskotekach. Gdy mamy uwagi, nagle zaczynamy przeszkadzać – uważa Jurkiewicz, która od kilku miesięcy zabiega o stworzenie czegoś w rodzaju ogólnopolskiej rady rodziców. – Ministerstwo odpisało, że to bardzo trudne. A przecież za granicą współpraca szkoły z instytucjami rodzicielskimi jest bardzo rozbudowana i nikomu to nie przeszkadza – denerwuje się i wymienia Holandię, w której szkoła nie podejmuje decyzji finansowych bez konsultacji z organizacją rodziców, Szkocję, w której powstała specjalna ustawa regulująca wzajemne obowiązki rodziców i szkoły, oraz USA, gdzie dla rodziców, którzy chcą się zaangażować w życie szkoły, są wydzielane klasy na spotkania.

Jej zdaniem nie można się dziwić, że rodzicom puszczają nerwy: – Córka przychodzi do domu zmartwiona, więc pytam, co się stało i idę do szkoły, by wyjaśnić sytuację. Pierwszego dnia jestem miła, ale gdy podobna sytuacja powtarza się trzeci raz, to cierpliwość mi się kończy.

Nasze dzieci, nasza sprawa

Co z nimbem szanowanego nauczyciela, który w trudzie i znoju (oraz w piekielnym hałasie) niesie kaganek oświaty? Z czasem zniknął (a może raczej zgasł). – Jak mam nie zrobić awantury katechetce, która postawiła synowi jedynkę, bo podczas kartkówki pomylił jeden wyraz w „Ojcze nasz"? – pyta pani Iza, mama trójki uczniów jednej z podwarszawskich podstawówek. Ostatnio kością niezgody stały się zęby jej syna. A konkretnie jeden wybity ząb. – Któregoś dnia po szkole syn zaprezentował mi szczękę bez górnej jedynki. Stałej! – opowiada pani Iza. Matczyne śledztwo wykazało, że sprawcą był kolega – jeszcze przed lekcjami uderzył drzwiami w twarz jej syna. – Na lekcje poszedł bez zęba i z opuchniętą buzią, a nauczycielka uznała, że nic się nie stało. A po lekcjach jeszcze go wypuściła samego do domu. Po takim urazie! – denerwuje się mama, która od razu zadzwoniła do nauczycielki i usłyszała, że nie ma powodu, by robić taki cyrk. – Zażądałam więc spotkania z dyrektorką, dopiero ona uświadomiła nauczycielce, że jej być albo nie być w tym zawodzie zależy ode mnie, bo jeśli zgłoszę sprawę w kuratorium, komisja dyscyplinarna bez wątpienia dopatrzy się złamania procedur – mówi pani Iza i tłumaczy, że chodzi o to, że nauczycielka nie poinformowała rodzica o wypadku. – Ja tylko chciałam, żeby kobieta, która co dzień przejmuje opiekę nad moim dzieckiem, była choć trochę odpowiedzialna – wyjaśnia kobieta. Bo dla dzisiejszych rodziców nauczyciel ma być przede wszystkim profesjonalistą.

Cena oceny

Nikt nie będzie współczuł nauczycielowi tylko dlatego, że mało zarabia i ma ciężką pracę. Rodzice widywali przecież szkoły w Niemczech, Holandii czy Irlandii i potrafią się poskarżyć, jeśli szkoła nie spełnia ich wymagań. – Nauczyciel przestał być tym, który wie najlepiej – uważa profesor Kazimierz Krzysztofek, socjolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Swoje robi też dostęp do literatury fachowej – półki w księgarniach uginają się od poradników, jak zrobić z dziecka geniusza, jak rozwijać jego zdolności i tym podobne. Ale zdaniem nauczycieli rodzice powinni raczej poczytać o tym, jak radzić sobie z własną agresją i chorymi ambicjami.

Pani Honorata, nauczycielka ze świdnickiego liceum (województwo lubelskie), uważa, że rodzice nie interesują się dziećmi, dopóki te dostają dobre oceny. A gdy nauczyciel ich nie stawia, wpadają we wściekłość. – A przecież stawianie uczniowi dobrych ocen ze strachu albo dla świętego spokoju to patologia – irytuje się nauczycielka. Wciąż czuje niesmak po tym, jak potraktował ją ojciec jednej uczennicy. Dziewczynie groziła ocena niedostateczna z fizyki, tata biznesmen chciał, by jednak zdała do następnej klasy. – Przyszedł tuż przed klasyfikacją. Na kartkówki, które akurat sprawdzałam, rzucił 200 złotych i powiedział, że córka ma zdać – opowiada. – „Zda, jeśli będzie umieć" – odpowiedziała mu pani Honorata. – Nie zdała egzaminu komisyjnego, rodzice przenieśli ją do innej szkoły – dodaje nauczycielka i wspomina inną historię: – Kilka lat temu po ogłoszeniu ocen z ustnej matury tata ucznia wpadł do szkoły z awanturą, bo jego zdaniem ocena dziecka była zaniżona. Oświecił mnie, że jest dyrektorem hotelu i jego dziecka nikt nie będzie tak znieważał. Uspokoił się, dopiero gdy dyrektorka, która też była w komisji egzaminacyjnej, pokazała mu formularze. Punkt po punkcie było tam napisane, na które pytania uczeń nie odpowiedział, co umiał, a czego nie.

Pani Honorata od tamtej pory przechowuje wszystkie sprawdziany, kartkówki, prace domowe. – Rodzice nie wierzą na słowo. Dopiero gdy pokażę sprawdzian z samymi głupotami albo pustą kartkę, którą na klasówce oddał mi uczeń, spuszczają z tonu – mówi nauczycielka. Do rodziców ma żal: – Głupio wierzyłam, że im też zależy, żeby dzieci coś umiały. Tymczasem mają to w nosie. Ono po prostu ma zdać, a oni mają mieć spokój.

Zawieszenie broni

– Nauczyciele często burzą wyobrażenia rodziców. Nic dziwnego, że ci, którzy wierzą, że mają genialnego potomka, krytykują wszystko, co temu przeczy – twierdzi Kotarba-Kańczugowska. Jej zdaniem trudno liczyć na pełną zgodę między rodzicami a nauczycielami: – W szkole ścierają się różne światy i poglądy. Różnice zdań i oczekiwań stawiają nauczycieli i rodziców na dwóch biegunach – mówi i przywołuje przykład nauczyciela, który sam ma dziecko w wieku szkolnym. Na zebraniach u kolegi po fachu zazwyczaj to właśnie on jest najgorszym, najbardziej czepialskim rodzicem. – Ale nauczyciel musi dążyć do porozumienia, jeśli chce coś konstruktywnego ustalić i jednocześnie chronić swoje nerwy – podkreśla doktor Kotarba-Kańczugowska.

A to rzeczywiście by się przydało. Instytut Medycyny Pracy przyjrzał się samopoczuciu nauczycieli i odkrył, że 44 procent w ogóle nie widzi sensu swojej pracy, a 40 procent stale czuje w szkole stres. •

REKLAMA



Polacy inspirują świat

Konkurs „Polacy inspirują świat" dobiegł końca.

Wspólnie z Tyskim **odkryliście dziesiątki miejsc na całym świecie,** w których Polacy stali się inspiracją do rozwoju i zmian na lepsze. Bez wątpienia możemy być z siebie dumni!

Dziękujemy za udział w konkursie i gratulujemy zwycięzcom!



TYSKIE
Tyskie. Z Polski

Nowy Piękny Swift

Rewolucja? Nie, nie o to nam chodziło. Nowy Suzuki Swift nie potrzebuje innego wyglądu, by przyciągnąć nowych klientów. Choć wprowadzono w jego konstrukcji zmiany czyniące z niego zupełnie **nowy samochód**, to jednocześnie pozostawiono to, co klienci tak bardzo polubili – dynamiczną, agresywną linię wzorniczą znaną z poprzedniego modelu. Zmieniło się jednak **wnętrze**, deska rozdzielcza i środkowa konsola nabrały nowego, wyrafinowanego stylu. Jazdę nowym Swiftem może umilać radio z CD i mp3, gniazdem USB i sześcioma głośnikami. Komfortu dopełni opcjonalny tempomat i system elektronicznego kluczyka.
Teraz nowy Swift rwie się do jazdy dzięki zupełnie **nowemu silnikowi** benzynowemu z podwójnym systemem zmiennych faz rozrządu, który przy



pojemności 1242 ccm osiąga moc 94 KM. Dzięki systemowi Engine Auto Stop Start i nowej konstrukcji napędu udało się znacząco obniżyć zużycie paliwa i emisję dwutlenku węgla. Rozbudowane **systemy bezpieczeństwa** dostępne w wyposażeniu standardowym czynią nowego Swifta jednym z najbezpieczniejszych samochodów w swojej klasie, co potwierdza 5 gwiazdek uzyskanych w testach zderzeniowych Euro NCAP. Kierowcę i pasażerów chroni siedem poduszek powietrznych, system stabilizacji toru jazdy ESP z kontrolą trakcji TC, system antypoślizgowy ABS z EBD oraz wspomaganie hamowania awaryjnego BAS. Zestaw ten sprawia, że w krytycznych sytuacjach decyzje człowieka uzupełniane są reakcjami zaawansowanej elektroniki.









SWIFT

Bezpieczniejszy, wygodniejszy i bardziej przyjazny środowisku, a jednocześnie równie piękny, jak dotąd – nowy Suzuki Swift

Dwie płaskie klawiatury dla dwóch równych chłopaków

Jeden ruch różnych grup

Janusz Palikot nie ma jeszcze partii, ale czeka na niego 36 tysięcy jej potencjalnych członków. Na razie to poparcie wirtualne, ale już czają się realne struktury

Wycieczka jednoosobowa w jednym kierunku – tak odejście Janusza Palikota z PO skwitował marszałek Sejmu Grzegorz Schetyna. Wiadomo, jaki kierunek miał na myśli – niebyt. Choć nie wiadomo nawet, kiedy Ruch Poparcia Palikota (nie jest nawet zarejestrowany jako stowarzyszenie) zamieni się w partię (ma się nazywać Ruch Poparcia), to chętnych przybywa lawinowo. Pod koniec ubiegłego tygodnia ten realnie nieistniejący byt popierało w Internecie już więcej ludzi, niż (na przykład) wynosi liczba członków PiS. Gdyby wszyscy, którzy deklarują wstąpienie do ruchu Palikota, rzeczywiście to zrobili, ugrupowanie byłoby tylko o jedną czwartą mniejsze niż PO. – Politycy ignorują Palikota, a to błąd – mówi „Przekrojowi" Piotr Batura z Poznania. Jest właścicielem gabinetu medycyny naturalnej, dotąd głosował na Platformę, ale do żadnej partii nie należał. Teraz zbuduje Palikotowi poznańskie struktury. – W jeden dzień zgłosiło się 40 osób chętnych do pomocy. W mieście powstają inne grupy – opowiada Batura. Poznańskie grupy zintegrują się 18 października. Jeszcze nie wiadomo, jak dużą salę trzeba będzie wynająć. – Na razie mamy 50 chętnych – mówi Jan Dzikowski, którego program Palikota tak porwał, że chce pomóc zbudować partię w Szczecinie. Nie wyklucza, że do grupy szczecińskiej dojdą kołobrzeska i koszalińska. – Lepiej, żeby Koszalin działał odrębnie, do Szczecina mamy 175 kilometrów – uważa jednak Izabela Piecuch, studentka, która organizuje grupę koszalińską. Od tego tygodnia przez miesiąc Palikot będzie jeździć po Polsce – do 15 listopada chce odwiedzić wszystkie województwa, spotkać się ze zwolennikami, a nawet prowadzić debaty programowe. ICZ

POZWY

W pechu po pachy

Za dziewięć lat w Guantánamo za tortury i za niesłuszne oskarżenia o terroryzm 32-letni Syryjczyk Abdul al Janko chce postawić przed sądem sekretarza obrony USA Roberta Gatesa i całą plejadę innych urzędników Białego Domu. Pozew trafił już do departamentu sprawiedliwości USA. Jeśli wierzyć Al Janko, miał on wyjątkowego pecha. W 1999 roku wyjechał do Afganistanu, licząc, że stamtąd łatwiej dotrze do Europy. Ale wpadł w ręce talibów, którzy torturowali go, oskarżając o szpiegostwo na rzecz USA. Gdy Amerykanie weszli do Afganistanu w 2001 roku, uwolnili Al Janko, by po kilku tygodniach uwięzić go jako szpiega Al-Kaidy. Trzymali Syryjczyka w Guantánamo do października 2009 roku. Przez ten czas Al Janko 17 razy próbował popełnić samobójstwo. Mimo licznych zapowiedzi Baracka Obamy, że dni Guantánamo są policzone, w obozie nadal siedzi ponad 150 więźniów. RAF

ODWAGA

Kalendarz kadzi lub pyta



Wszystkiego najlepszego, panie Putin. Kochamy pana! – oświadczają na okładce studentki dziennikarstwa z Moskwy. Na kolejnych stronach kalendarza, który trafił do sklepów 6 października, przyszłe żurnalistki zasłaniają wdzięki tylko bielizną. Nie potrafią natomiast ukryć uwielbienia dla premiera. – Chciałabym zostać pana drugim pilotem – mówi w dymku jedna ze sfotografowanych.
Dzień później w sieci pojawił się kontrkalendarz. Studentki z tego samego wydziału, ubrane na czarno i z ustami zaklejonymi taśmą, anonsują na okładce „Władimirze Władymirowiczu, mamy kilka pytań..." (na zdjęciu). Wewnątrz pytają konkretnie, na przykład: „Kto zabił Annę Politkowską?" (wciąż nie wykryto sprawców zabójstwa opozycyjnej dziennikarki), „Kiedy Chodorkowski będzie wolny?" (oligarcha, który sprzeciwił się Kremlowi). Rosyjski premier podobno zainteresował się tylko pierwszym kalendarzem. LUC

PRASA

Panika z gadania

W indyjskich gazetach „Times of India" i „The Hindu" pojawiły się „mówiące reklamy" jednej z marek samochodów. Gdy czytelnik otwierał stronę, włączał się światłoczuły chip i ruszało nagranie z głosem lektora. Lot z Delhi do Mangalore wstrzymano, bo pasażerowie skarżyli się na hałas powodowany przez „gadające gazety". W Bombaju wzywano saperów, bo przechodnie bali się, że gadające kosze na śmieci to jakieś bomby. – 15 minut zajęło mi uciszenie tej rzeczy! – skarżył się czytelnik. – Wspaniale, że zainteresowaliśmy cały świat! – cieszył się Divya Gururaj z agencji, która zrobiła reklamę. WOJ

CO MÓWIĄ LICZBY

31 godzin

– TYLE PRZEWAGI NAD SĄSIADAMI

z gniazda ma wykluwające się z podrzuconego jajka pisklę kukułki. Naukowcy z brytyjskiego University of Sheffield wyjaśnili, że kukułka gotowe do złożenia jajka przechowuje w sobie o dobę dłużej (co podejrzewali naukowcy już w XIX wieku). Dzięki tej inkubacji pisklę po wykluciu jest silniejsze i ma większe szanse na wyrzucenie z gniazda jajek z przybranym rodzeństwem. FIEDA



Alexander Ufkin/AFP/East News, Dawid Matloch/Fotorzepa, Bazar Kulundzic/Reuters/Forum

KAMPANIA

Nie każdy Kaczyński jest prezesem

Kilka kroków od domu prezesa PiS na warszawskim Żoliborzu pojawił się billboard z biało-czerwoną flagą ze słowami: „Jarosław Kaczyński: Popieram Katarzynę Munio". Zdanie jest jak najbardziej prawdziwe, z tym że niezależną kandydatkę na prezydenta popiera były pułkownik BOR (oboje na zdjęciu). W Biurze Ochrony Rządu służył ponad 20 lat. Kariera Jarosława Kaczyńskiego skończyła się w chwili, gdy Jarosław Kaczyński objął w 2006 roku tekę premiera. Pułkownika odwołano ze stanowiska zastępcy szefa BOR i zwolniono. – A jeszcze kilka tygodni wcześniej, kiedy premierem był Kazimierz Marcinkiewicz, otrzymałem nagrodę i awans – mówi pułkownik „Przekrojowi". Według kuluarowych plotek zwolniono go, bo prezes Kaczyński nie chciał mieć obok siebie Kaczyńskiego spoza rodziny. – Słyszałem o tym, choć niedawno mówiono mi, że premier nie miał z tym nic wspólnego. To zamknięty temat – ucina pułkownik. Czy billboard pod domem prezesa PiS to zemsta? Były BOR-owiec zapewnia, że nie. – Jarosław Kaczyński ma swoją karierę, a ja swoją. Ja popieram Katarzynę Munio, jestem jej doradcą do spraw bezpieczeństwa. Kandyduję też do Rady Warszawy. Czy dlatego, że mam na nazwisko Kaczyński, mam je zmienić? Wyjechać z kraju? Nie realizować swoich planów, bo prezes PiS nazywa się tak samo jak ja? – pyta pułkownik. DOT

SPORY

Gromy z Grammy

Radiowy festiwal pod hasłem „Gramy" Amerykanom kojarzy się z Grammy. Dlatego przyznająca słynne muzyczne nagrody amerykańska akademia podała do sądu Radio Szczecin. Od trzech lat organizuje ono Szczeciński Festiwal Młodych Talentów Gramy. Wniosek o unieważnienie znaku Narodowa Akademia Sztuki i Techniki Rejestracji przysłała do organizatora imprezy w ubiegłym roku. Radio uznało, że nie ma podstaw, by zmieniać nazwę. Sprawa trafiła do Urzędu Patentowego. Pierwszą rozprawę, która miała się odbyć w ubiegłym tygodniu, przełożono z powodów formalnych. – Formalnie zarzut jest tak absurdalny, że aż nie wypada się tłumaczyć – zapewnia nas Wojciech Hawryszuk, twórca festiwalu, animator działań społecznych i publicysta. – W języku polskim słowo „gramy" to czasownik i nie ma nic wspólnego z angielskim *grammy*, które jest skrótem od słowa „gramofon". Równie dobrze mógłby nas podać do sądu operator sieci Play, bo jakkolwiek by było, i on gra, i my gramy – mówi. Według Hawryszuka w całej sprawie coś nie gra: – Założę się, że za wszystkim stoją jacyś poszukujący sensacji prawnicy. Dziwię się jedynie Amerykanom, bo dali się wpuścić w maliny. ANA

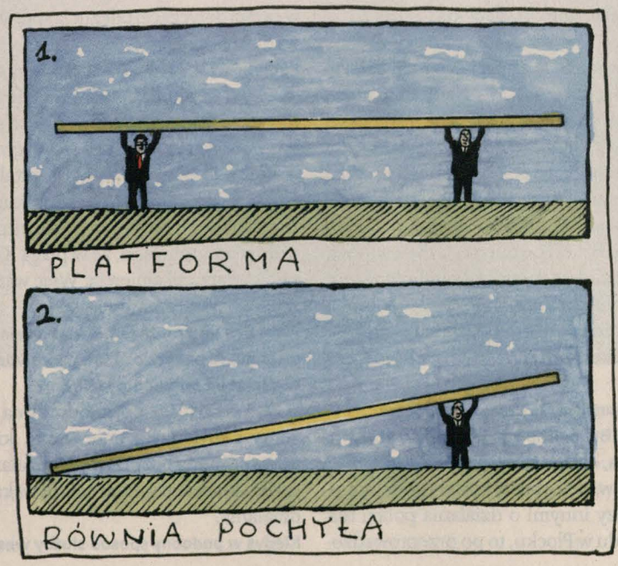


POKOJOWA NAGRODA NOBLA

Liu, czyli najważniejszy symbol

Chiński dysydent Liu Xiaobo nie odbierze osobiście przyznanej mu Pokojowej Nagrody Nobla – niecały rok temu chiński sąd skazał go na 11 lat więzienia za „próbę siłowego obalenia systemu". Zastąpi go prawdopodobnie żona Liu Xia, która włączyła się w kampanię na rzecz uwolnienia męża. 54-letni laureat rozpoczął życie polityczne na placu Tienanmen. Gdy w 1989 roku zaczęły się tam demonstracje studenckie, porzucił pracę na uniwersytecie w USA i przyjechał do Pekinu.
W 1996 roku, po kolejnym apelu o wprowadzenie w Chinach wielopartyjnej demokracji, trafił na kilkanaście miesięcy do obozu reedukacyjnego.
Liu wciąż bardziej znany jest za granicą niż w swoim kraju. Pekin kilkakrotnie sugerował, że ewentualne przyznanie mu nagrody popsuje relacje Chin z Norwegią. Przewodniczący Thorbjoern Jagland, ogłaszając decyzję norweskiego Komitetu Noblowskiego, podkreślił, że zna stanowisko Pekinu. Komitet uznał jednak, że „Liu Xiaobo jest najważniejszym symbolem szeroko pojętej walki o prawa człowieka w Chinach". LUC

RACZKOWSKI PONOWNIE



NAGRODY

Wysokie loty muszki

Gratulujemy Oldze Woźniak zwycięstwa w konkursie imienia Karola Sabatha na najlepszy tekst popularnonaukowy w polskiej prasie. Konkurs organizuje Polskie Stowarzyszenie Dziennikarzy Naukowych. Olga wygrała artykułem „Bardzo ludzka muszka" („Przekrój" 19/2010). To kolejna wiktoria wieloletniej szefowej działu naukowego „Przekroju". Olga Woźniak zdobyła też nagrodę Corpus Hippocrateum za najlepszy tekst opisujący osiągnięcia medycyny („Serca w naprawie", „Przekrój" 9/2010). Piotr Kossobudzki, inny nasz autor, otrzymał wyróżnienie za artykuł „Polecz się na próbę" („Przekrój" 24/2010). Nagrodzone teksty przeczytasz na www.przekroj.pl. OSZ

ŚLEDZTWA

Więcej wątków do opłacenia

Prokuratura dostanie 300 tysięcy złotych na ekspertyzy, które pozwolą wyjaśnić nowe wątki w sprawie śmierci Krzysztofa Olewnika w 2003 roku. W domu Olewnika w Drobinie pod Płockiem znaleziono ślady krwi, które należą do dwóch mężczyzn – z pewnością jednak nie do uczestników imprezy, która odbywała się tam w nocy, a po której zniknął Krzysztof. Nie była to też krew żadnego z gangsterów skazanych za jego porwanie. Prokuratura Apelacyjna w Gdańsku rozbiła też w pył spekulacje, jakoby u Olewnika ktoś krwawo rozprawił się z ukraińską prostytutką. Co dalej? 300 dodatkowych tysięcy złotych prokuratura wyda na ekspertyzy identyfikujące ślady krwi, badania fonoskopijne i balistyczne. ICZ

TROPEM FENOMENU

Prapragad jak kot

Polski paleobiolog Grzegorz Niedźwiedzki – jeden z laureatów nagrody Fenomen „Przekroju" za odnalezienie w Górach Świętokrzyskich śladów pierwszych czworonożnych zwierząt lądowych – znów dokonał tam fenomenalnego odkrycia. Z paleontologami Stephenem Brusattem i Richardem Butlerem zidentyfikował najstarsze na świecie, dwucentymetrowe odciski czteropalczastych łap dinozaura. Przodek gadzich gigantów nie był większy od dzisiejszych kotów. OSZ

SKRZYNKA KONTAKTOWA

Informacja dla agentek

Agentki Mossadu mogą uprawiać seks z wrogiem bez obaw o religijne potępienie – stwierdził rabin Ari Szwat w periodyku „Tehumin", który wydaje instytut Zomet. Organizacja zajmuje się łączeniem halachy (prawa żydowskiego) z nowoczesnym życiem. Rabin stawia warunki: seks musi być usprawiedliwiony zdobyciem ważnych informacji, które przyczynią się do bezpieczeństwa Izraela. Kobieta zamężna powinna wcześniej się rozwieść, by nie zdradzać partnera. Po akcji znów mogą się pobrać. – Wątpliwe, by wywiad zastosował się do rad Szwata, ale ja się z nim zgadzam – powiedział rabin Israel Rosen, dyrektor instytutu Zomet.
O męskich agentach obaj nie wspominają. WOJ



MIECUGOW BEZ SZKŁA

Drogowskaz

O niezwykłych zwrotach w sprawie Olewnika, walce z dopalaczami, upadłym autorytecie państwa i o tym, co dzieje się w duszy prawnika, opowiada minister sprawiedliwości **KRZYSZTOF KWIATKOWSKI**

Jak pan sądzi, czy gdybym napisał scenariusz pokrywający się z tym wszystkim, co działo się w związku ze sprawą Krzysztofa Olewnika, i zaniósł go do jakiegoś producenta, to co pana zdaniem bym usłyszał?

– Prawdopodobnie, że nawet fabuła filmowa musi mieć elementy, które mają przynajmniej hipotetyczną szansę zdarzenia się w rzeczywistości, a ta jest zbyt wydumana.

Też tak sądzę. I o czym to świadczy, panie ministrze?

– Kiedy byłem jeszcze ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym jednocześnie, były dwie sprawy, które uważałem za symboliczne. Świadczyły bowiem o pewnej porażce państwa i szeroko rozumianego wymiaru sprawiedliwości. Była to sprawa zabójstwa generała Papały oraz właśnie sprawa uprowadzenia i zamordowania Krzysztofa Olewnika. W obu popełniono tyle błędów i przeoczeń, że trzeba było sobie zadać pytanie, czy możemy mówić tylko i wyłącznie o niedopatrzeniach, czy też jakaś część tych „pomyłek" nie jest działaniem celowym. I obie te sprawy trafiły w nowe ręce. Sprawę generała Papały przeniosłem z Warszawy do Łodzi, a sprawa Krzysztofa Olewnika wcześniej trafiła do Prokuratury Apelacyjnej w Gdańsku.

I to coś zmieni?

– Jestem głęboko przekonany, że w sprawie Papały poznamy nowe fakty i dowody, a w sprawie Olewnika już pojawiły się zupełnie nowe elementy. Dlaczego tak zależy mi na wyjaśnieniu tych spraw? Po pierwsze, chodzi mi o wymiar czysto ludzki, o prawo do poznania prawdy przez najbliższych. Po drugie, uważam, że trzeba dać wyraźny sygnał wszystkim funkcjonariuszom publicznym: zastanówcie się, jak postępujecie, bo nawet po latach możemy was złapać za rękę za popełniony błąd, a tym bardziej za świadome działanie. I po trzecie, te dwie sprawy, a może nawet bardziej sprawa Olewnika, są sprawami symbolicznymi dla ogółu społeczeństwa, bo są synonimem porażki państwa. Jeżeli możemy, nawet po latach, pokazać, że przynajmniej część tej prawdy ujawniamy, to w jakimś sensie odbudowuje to autorytet państwa w oczach obywateli.

To proszę mi powiedzieć, jak to było możliwe, że przez dziewięć lat sprawą zajmują się trzy prokuratury, CBŚ, policja i na końcu sąd, który musi widzieć, że historia jest niespójna, ale mu to nie przeszkadza.

– Zacząłbym od innej kolejności. Największe błędy zostały popełnione na samym początku. Chodzi między innymi o działania policji tuż po uprowadzeniu. Co do wyroku sądu w Płocku, to po przeprowadzonej na mój wniosek kontroli wiem, że na podstawie tego materiału, którym dysponował sąd, wyrok był prawidłowy. W wyniku pracy prokuratorów z Gdańska możemy dowiedzieć się czegoś nowego, ale dla mnie nie ulega wątpliwości, że najmocniej uwikłani w działania, które bezpośrednio doprowadziły do śmierci Krzysztofa Olewnika, byli skazani Franiewski, Kościuk i Pazik.

To zatrzymajmy się na chwilę przy tym pana zdaniu, że trudno sobie wyobrazić, żeby to się działo tylko na zasadzie uchybień czy pomyłek, i że może to wyglądać na działania celowe.

– Jeżeli zastanawiały mnie pewne okoliczności, ciąg zdarzeń i faktów, to kładę szczególny nacisk na pierwszy etap postępowania, na czynności prowadzone przez policjantów. I na tym muszę poprzestać, ponieważ w sensie formalnoprawnym to prokuratorzy, a później sąd, są uprawnieni do oceny zachowań poszczególnych osób.

To kiedy pana zdaniem autorytet naszego państwa się podniesie i poznamy prawdę o śmierci Krzysztofa Olewnika?

– Data nie jest najważniejsza. Tak naprawdę autorytet naszego państwa w części dotyczącej poczucia sprawiedliwości i stabilności prawa budowany jest każdego dnia.

I podniósł się, kiedy pozamykaliśmy sklepy z dopalaczami?

– Sklepy zamknięto na podstawie artykułu 27. ustawy o państwowej inspekcji sanitarnej. Mówi on, że można zamknąć placówkę, gdy jej działalność doprowadza do zagrożenia zdrowia i życia obywateli. A w miniony weekend do szpitali trafiło ponad 60 młodych ludzi z objawami zatrucia środkami kupionymi w tych właśnie sklepach. Dopalaczy zapewne nie da się zupełnie wyeliminować, ale nie mam żadnych wątpliwości, że są plagą XXI wieku i ci, którzy nimi handlują, są handlarzami śmiercią. Więc wszelkie ograniczenia handlu nimi są krokiem w dobrą stronę.

A nie boi się pan, że jeżeli właściciele sklepów zaskarżą tę decyzję do sądu, to państwo, a tak naprawdę my, podatnicy, będzie musiało wypłacić im odszkodowania?

– O możliwości odszkodowania ze strony Skarbu Państwa możemy mówić wyłącznie wtedy, kiedy na drodze sądowej zostanie udowodniona bezprawność działania służb państwowych, w tym wypadku inspekcji sanitarnej. Ta wskazuje ustawową podstawę swojego działania.

Kiedyś w podobny sposób służby weszły w interesy pana Kluski? →



FOT. Anna Bedyńska/Agencja Gazeta, RYS. Katarzyna Leszczyc-Sumińska na podstawie zdjęcia Marka Szczepańskiego

Dlaczego tak zależy mi na wyjaśnieniu spraw Olewnika i Papały? Trzeba dać wyraźny sygnał funkcjonariuszom publicznym: zastanówcie się, jak postępujecie, bo nawet po latach możemy was złapać za rękę za popełniony błąd

KRZYSZTOF KWIATKOWSKI

→ – Zdecydowanie zaprzeczam. Wtedy podstawą czynności państwa nie były przepisy dotyczące zagrożenia zdrowia i życia.

Ja nie bronię sprzedawców dopalaczy, ale jako obywatel czuję się zaniepokojony chaotycznością i pewną nerwowością działań władzy. Sklepy sprzedające te substancje istnieją w Polsce przecież od dosyć dawna.

– Pierwszy sklep z dopalaczami powstał w Polsce w 2008 roku.

I działał legalnie. Aż do początku października. Co zatem się stało?

– Często słyszę zarzut mówiący o akcyjności działań państwa, które nagle przeprowadza działania na taką skalę. Nie mogę się z nim zgodzić z kilku względów. Już w zeszłym roku stworzyliśmy listę prawie 20 substancji, których nie wolno wprowadzać na rynek. Zanim ją ułożyliśmy, musieliśmy te substancje zbadać, a to trwa dosyć długo. Więc to nie jest nagła akcja, tylko efekt prawie dwuletniej pracy.

Ale sklepy zostały zamknięte teraz, a nie w zeszłym roku.

– W tym roku lista zakazanych środków została uzupełniona między innymi o ten najbardziej w ostatnim czasie znany – mefedron. W Ministerstwie Sprawiedliwości powstał też projekt zakazujący reklamy tych środków, który jest już w Sejmie. Dzięki temu, że został dołączony do przygotowanego w Ministerstwie Zdrowia projektu zakazującego obrotu dopalaczami, liczę na szybkie wejście w życie naszej inicjatywy.

Nadal nie rozumiem, dlaczego dzieje się to teraz, a nie na przykład przed miesiącem. Panie ministrze, tydzień temu oni tak samo się reklamowali...

– Teraz dostaliśmy formalne zgłoszenie poszkodowanego, a właściwie rodziców poszkodowanego, że po zażyciu środka o nazwie Tajfun dziecko trafiło do szpitala na oddział detoksykologiczny.

W projekcie ustawy zmiany prawa karnego jest takie zdanie, że każdemu, kto udostępnia nieletniemu środek, który może być szkodliwy, grozi kara. Ktoś, kto sprzeda dziecku środek do czyszczenia wanny, też teoretycznie szkodliwy i nienadający się do spożycia, powinien bać się więzienia?

– W projekcie zmian przepisów karnych, nad którymi zresztą będziemy jeszcze pracować, wyraźnie mówimy, że karany jest ten, kto sprzedaje takie substancje, chociaż z okoliczności wynika, że małoletni zamierza ich użyć w sposób zagrażający zdrowiu. Oczywiście wiem, że prawo nie jest w stanie uregulować wszystkiego. Podam najprostszy przykład: powszechnie dostępny jest pewien syrop na kaszel, który spożyty w większej ilości odurza...

A ja słyszałem o pastylkach, też na kaszel, które działają jak dopalacze.

– Przepis tego nie obejmuje. Zdaję sobie sprawę, że takich sytuacji nie jesteśmy w stanie całkowicie wyeliminować. Natomiast takie sytuacje są w stanie wyeliminować edukacja, profilaktyka, współpraca z nauczycielami i rodzicami.

Których nie ma.

– Nie chcę się wypowiadać za wszystkich, ale akurat moje ministerstwo prowadzi program, w ramach którego w najbliższych miesiącach dotrzemy do ponad 10 tysięcy uczniów i studentów, którym między innymi będziemy uświadamiać, jak szkodliwe są dopalacze. Sam też spotykam się z młodzieżą i z przerażeniem stwierdzam, że w naszym kraju jest po prostu moda na tego typu substancje. Gdy po jednej z lekcji poprosiłem, żeby uczniowie mi wytłumaczyli, skąd to się bierze, jeden chłopak odpowiedział, że gdy idzie na jakąś imprezę, na której wszyscy biorą tabletki i dobrze się bawią, to on też musi wziąć, by inni nie patrzyli na niego jak na wariata. I tego zjawiska nie zlikwiduje żaden przepis. To może wyeliminować jedynie edukacja.

> *Gdybyśmy nic nie zrobili, za kilka miesięcy dopalacze byłyby do kupienia także w sklepach spożywczych i na stacjach benzynowych*
>
> KRZYSZTOF KWIATKOWSKI

Podstawowym pytaniem dzisiaj jest nie to, jak powstrzymać dopalacze, ale dlaczego dzieci chcą je brać.

– Tak. Ponieważ Polska wyróżnia się na tle innych krajów UE, a nawet świata, skalą tego zjawiska. Czy pan wie, że przed wakacjami w naszym kraju sklepów z dopalaczami było prawie 300? Teraz zamknęliśmy około tysiąca, a dokładnie dwa lata temu było ich pięć. To pokazuje, że gdybyśmy nic nie zrobili, to za kilka miesięcy dopalacze byłyby do kupienia także na przykład w sklepach spożywczych i na stacjach benzynowych.

A co zmieni zakaz reklamy skojarzeniowej? Są takie reklamy pastylek, które sugerują, że po zażyciu ich wszystko się człowiekowi udaje. Albo że po spryskaniu się jakąś wodą wszystkie kobiety patrzą na mężczyznę z zainteresowaniem. To też są reklamy skojarzeniowe. Czy nie wylewacie dziecka z kąpielą?

– Zakaz reklamy dotyczy promowania środków spożywczych lub innych produktów poprzez sugerowanie, że mają one działanie takie jak substancje psychotropowe lub środki odurzające, albo ich użycie, nawet niezgodne z przeznaczeniem, może powodować skutki takie jak wspomniane substancje i środki. Czyli my nie zakazujemy reklamy jednego z napojów energetyzujących, która mówi, że po jego wypiciu dostaje się skrzydeł, ponieważ napój ten jest produktem dopuszczonym do sprzedaży i bezpiecznym.

Co się dzieje w duszy prawnika, kiedy słyszy słowa premiera, który mówi: zobaczymy taki sklep, zamkniemy go, każemy przebadać wszystkie substancje na koszt właściciela? Badanie może trwać do półtora roku. Po tym czasie, jeżeli wszystko będzie w porządku, oddamy towar właścicielowi, a nawet zwrócimy mu koszt badania. Czy to jest fair?

– Reakcja prawa musi być szybka, bo skala zjawiska jest ogromna. Jestem po rozmowach z lekarzami transplantologami. Ostatnio zauważyli, że rośnie liczba młodych ludzi – ofiar, na przykład wypadków motocyklowych, których wątroby są w dramatycznym stanie. To też efekt dopalaczy. I do mojej wyobraźni przemawia wizja tego, że jeżeli dziś nie będziemy podejmować najbardziej radykalnych działań, to za kilka lat będziemy mieli ogromną grupę ludzi, którzy będą się kwalifikować do natychmiastowego przeszczepu wątroby. I nie jest to perspektywa, która z punktu widzenia takiego dobra, jakim jest właśnie zagrożenie życia i zdrowia obywatela, nie wymagałaby jednoznacznych i bardzo szybkich działań.

A co zrobi minister sprawiedliwości, jeśli się okaże, że handel dopalaczami przeniósł się do Internetu?

– Jeżeli po przebadaniu jakiejś substancji wprowadzimy ją na listę środków zakazanych, to będzie ona traktowana tak jak narkotyki, których wprowadzanie do obrotu w Polsce jest zagrożone karą pozbawienia wolności do lat ośmiu. I mówimy o odpowiedzialności z tego tytułu, której będzie podlegał nie tylko ten, który tego typu produkt przywozi, ale także ten, który udostępnia tę sprzedaż na serwerze, dajmy na to, w Wielkiej Brytanii.

Narkotyk można wywęszyć, a pastylki są bezwonne.

– Jest wiele przestępstw, które trudno się ściga. Na przykład *grooming*, czyli nagabywanie o charakterze seksualnym małoletnich w sieci. Czy to jest trudne do ścigania? Oczywiście, że trudne, ale nie niemożliwe. Pomagają w tym przepisy, które przygotowaliśmy w Ministerstwie Sprawiedliwości i które weszły w życie w czerwcu tego roku.

À propos narkotyków, minęło 10 lat funkcjonowania ustawy narkotykowej, która miała zwalczać narkomanię. Zwalcza?

– Mam dane z 2008 roku. W ciągu ostatnich lat liczba osób skazanych za posiadanie narkotyków wzrosła z niecałych 3 tysięcy do ponad 20 tysięcy. A liczba skazanych za handel narkotykami spadła w tym czasie z prawie dwóch tysięcy osób do grubo poniżej tysiąca. O czym to świadczy? O tym, że przepisy, które wtedy zostały przyjęte, doprowadziły do sytuacji, w której okazuje się, że liczba osób uzależnionych nie tylko nie zmalała, ale nawet znacząco wzrosła. A skuteczność ścigania handlarzy wręcz przeciwnie – zmalała. Dlatego zaproponowaliśmy nowelizację tej ustawy, jej projekt jest już w Sejmie. Nie zmienia się zasada, że posiadanie narkotyków jest karalne. I chcę to mocno podkreślić, bo w tej materii pojawiły się jakieś wątpliwości. Nadal nie wolno będzie posiadać narkotyków, i to w żadnej ilości, nawet najdrobniejszej. Zostanie natomiast zmniejszona represyjność wobec osób, które chcą się leczyć z uzależnienia. Może się to zdarzyć jedynie w sytuacji, gdy osoba, przy której znaleziono narkotyk, ma go na własny użytek, w niewielkiej ilości i stwierdzono niską szkodliwość czynu. Państwo bowiem powinno chcieć pomóc ludziom w wychodzeniu z nałogu. A jednocześnie w tych przepisach radykalnie zwiększamy represyjność wobec dilerów.

A przygląda się pan Czechom?

– Przyglądam się wszystkim krajom, na przykład Holandii, która wycofuje się z tak zwanej liberalnej polityki narkotykowej, i wyciągam wnioski. Analizuję też doświadczenia krajów bezpośrednio z nami sąsiadujących.

Czy to, co robią Czesi, a także fakt, że po 10 latach zmieniacie – w drobnym zakresie, ale jednak – ustawę o zwalczaniu narkomanii, czy to nie jest dowodem na to, że penalizacja, karanie za takie rzeczy jak dopalacze, narkotyki jest średnio skuteczne i walkę z tymi zjawiskami trzeba zacząć od zupełnie innej strony?

– Sam w trakcie naszej rozmowy przyznałem, że wszystkie działania w zakresie tworzenia przepisów prawa, ich przestrzegania i egzekucji muszą być połączone z edukacją. A także ze zrozumieniem przepisu i z chęcią jego przestrzegania przez obywatela. Bo przepis prawa powinien być i jest drogowskazem postępowania dla obywatela. Rolą państwa jest zrobić wszystko, by obywatel chciał się tym drogowskazem kierować. •

Krzysztof Kwiatkowski

Ma 39 lat, jest ministrem sprawiedliwości. Pochodzi ze Zgierza; studia prawnicze (w ich trakcie pokonał raka) skończył na Uniwersytecie Warszawskim. W wieku 17 lat wstąpił do opozycyjnej Federacji Młodzieży Walczącej. Za malowanie antyrządowych napisów został w 1988 roku zatrzymany przez SB. Prawdziwą karierę polityczną zaczął w 1997 roku – jako osobisty sekretarz premiera Jerzego Buzka. Później był między innymi wiceburmistrzem Zgierza. Senatorem Platformy Obywatelskiej został trzy lata temu, w marcu 2009 roku otrzymał nominację na wiceministra sprawiedliwości, a w październiku 2009 został ministrem. Ma żonę i dwóch synów. Porzucił pasję młodości – jazdę motocyklem. Interesuje się historią starożytnego Rzymu.

REKLAMA



Rozmowy w dobrym stylu. Nowa emporiaELEGANCE.

Ten łatwy w obsłudze i atrakcyjny telefon wyjątkowo trafnie spełnia oczekiwania dojrzałych konsumentów o wyszukanym guście. Przejrzysta funkcjonalność czyni instrukcję obsługi zbędną, a minimalizm jego kształtów zadowoli każdego miłośnika wyrafinowanych projektów.

Dostępny w salonach i sklepach sieci ERA, PLUS, PLAY i ORANGE.

Łatwiejsze kontakty z bliskimi.®

Spowiedź egzekutora

Mógłby się uważać za bohatera II wojny światowej. Ale wolał napisać wspomnienia, które każą zapytać, czy nie był sadystą. Oto fragmenty szokującej relacji żołnierza z oddziałów likwidacyjnych AK

MAREK ZAJĄC

Zdaję sobie sprawę, że te wspomnienia prawdopodobnie nigdy nie ukażą się na półkach księgarskich" – tak brzmi pierwsze zdanie książki, która wkrótce trafi do czytelników. Jednak Stefan Dąmbski, pseudonim „Żbik I", chyba nie zamierzał nikogo kokietować. Napisał te słowa przed samobójstwem, które popełnił w 1993 roku.

Do AK wstąpił w wieku 16 lat. Służył w oddziale „Józefa" (Mieczysława Chendyńskiego), potem w 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich. Był egzekutorem – wykonywał wyroki śmierci na Niemcach, volksdeutschach, zdrajcach, pospolitych przestępcach, milicjantach i komunistach. Brał udział w akcjach odwetowych na Ukraińcach. Zabijał mężczyzn i kobiety. Zdarzało się też, że ginęli przypadkowi ludzie, niewinni. Jako pierwszego Dąmbski zastrzelił swojego przyjaciela Jurka, który współpracował z Niemcami. Do egzekucji zgłosił się na ochotnika. Po latach pisał: „Strzelałem do ludzi jak do tarczy na ćwiczeniach, bez żadnych emocji. Lubiłem patrzeć na przerażone twarze przed likwidacją, lubiłem patrzeć na krew tryskającą z rozwalonej głowy. Spełniły się moje marzenia; byłem człowiekiem bez skrupułów... Byłem gorszy od najpodlejszego zwierzęcia. Byłem na samym dnie bagna ludzkiego. A jednak byłem typowym żołnierzem AK. Byłem bohaterem, na którego piersi po wojnie spoczął Krzyż Walecznych, tylko jeden z czterech wydanych na cały oddział Czternastki...".

Po raz pierwszy fragmenty jego wspomnień opublikował w 2006 roku kwartalnik „Karta". Rozpętała się burza. Czytelnikom trudno było uwierzyć w relację, która tak drastycznie odbiega od naszych wyobrażeń o II wojnie. Z kolei w środowiskach dawnych żołnierzy AK nie tyle kwestionowano ujawnione przez Dąmbskiego fakty, ile przeważała opinia, że takich wspomnień publikować nie należy, bo godzą w pamięć o bohaterach podziemia. W imieniu Światowego Związku Żołnierzy AK głos zabrał kapitan Mieczysław Skotnicki, który próbował podważyć opisy kilku akcji z udziałem Egzekutora. Sugerował, że Dąmbski kreował się na bohatera: miał przypisać sobie czyny i zasługi innych. Jednak historycy bronią wiarygodności wspomnień Egzekutora i podkreślają, że doszło do znamiennego nieporozumienia – Dąmbski pisał w poczuciu winy i gdyby tylko mógł, wyrzuciłby z pamięci i sumienia wszystko, co w oczach innych uchodzi za bohaterstwo.

Jego relacja nie każe na nowo pisać historii Polskiego Państwa Podziemnego. Przypomina jednak oczywistą, choć zapominaną prawdę: każda wojna, nawet o słuszną sprawę, zaciera granice między dobrem a złem. We wstępie do książki Dąmbskiego prezes Ośrodka KARTA Zbigniew Gluza napisał: „Dwadzieścia lat po odzyskaniu niepodległości Polskę stać na zmierzenie się z taką odsłoną patriotyzmu. Musi przyjąć spowiedź ówczesnego nastolatka, którego w jej imieniu posyłano z bronią w ręku do zabijania innych. Inaczej nie byłaby na miarę tych Pomników i Muzeów, które swym obrońcom wystawia".



fot. Ze zbiorów rodzinnych

Ścigany przez bezpiekę Dąmbski uciekł na Zachód. W Niemczech służył jako wartownik w amerykańskiej strefie okupacyjnej (na zdjęciu)

Poniżej drukujemy wybrane fragmenty książki „Egzekutor" autorstwa Stefana Dąmbskiego, która ukaże się nakładem Ośrodka KARTA.

•••

Likwidacja dziewczyny, która współpracowała z gestapo: Jesteśmy pod oknami. Widzę trzy sylwetki... Jest w domu – myślę. Pukamy i, nie czekając na odpowiedź, wchodzimy do środka izby, przez otwarte drzwi. Jadzię poznaję od razu. Tyle o niej słyszałem od Bronka. Co za śliczna dziewczyna! Te długie włosy i te duże niebieskie oczy... Zobaczyła nas i zauważyłem, że zrobiła się biała jak papier. – Jadzia Pierożanka? – pytam, patrząc jej prosto w oczy.

– Tak, to ja.

Słyszę, jak drży jej głos; próbuje zachować zimną krew do końca. Jej młodsza siostra stoi jak skamieniała, matka leci zemdlona na ziemię. Czytam wyrok. – Została pani skazana na karę śmierci za zdradę Państwa Polskiego, wyrok zostanie wykonany natychmiast. Daję pani dziesięć minut na modlitwę i pożegnanie się z rodziną.

Mój spokojny głos robi jednak swoje, łzy duże jak groch pokazują się w oczach Jadzi. Siostra rzuca się jej ze spazmatycznym płaczem na szyję, widzę, jak podnoszą teraz zemdloną matkę i układają ją na łóżku. Patrzę, jak Jadzia robi znak krzyża na piersi, i słyszę, jak szepcze modlitwę. Tak mija parę minut. W końcu biorę Jadzię za rękę i kieruję się w stronę drzwi. Mijam „Majeranka", który stoi w drzwiach jak skamieniały. Widzę, że ma wilgotne oczy. Jeszcze parę kroków i stodoła. Ustawiam pod nią na wpół przytomną ze strachu Jadzię, twarzą do siebie, robię jeden krok do tyłu i podnoszę automat. Celuję prosto w głowę. Jest księżycowa noc, widzę to piękne ciało przed sobą i w ostatniej chwili odczuwam pewnego rodzaju żal. Zniżyłem lufę i równocześnie pociągnąłem za spust. Byle nie w głowę – pomyślałem – jak ona będzie wyglądać w trumnie. Długa seria... i koniec wszystkiego!

> *Byle nie w głowę – pomyślałem – jak ona będzie wyglądać w trumnie*
>
> STEFAN DĄMBSKI

Zabicie odesłanego do niewoli niemieckiego żołnierza: Gdy raz szedłem na przerwę obiadową, zobaczyłem Niemca, któregośmy wylegitymowali i przepuścili jakieś pół godziny wcześniej, siedzącego w opłakanym stanie na skraju rowu. Biedak siedział prawie zupełnie już nago. Wszystko, co mu zostało, to but na prawej nodze, o który teraz właśnie biła się banda ludzi ze wsi. Po prostu rabowali go na żywca, bo widocznie jego mundur i buty nie były całkiem zniszczone.

Mój apel, ażeby mu oddali wszystko, spotkał się z drwinami, po czym jeden z wieśniaków na dobitkę zgrabnym ruchem zerwał mu ten pozostały but. Cała banda ruszyła w stronę wsi, kłócąc się jeszcze po drodze między sobą. A biedny Szkopina siedział przede mną w stroju Adama. Znalazłem się w głupiej sytuacji, bo nie wiedziałem, co z nim robić.

Nie mogłem się rozebrać, oddać mu swojego ubrania i wrócić nago na kwaterę. Nie mogłem również pozwolić na jego powrót do Niemiec, gdzie miałby szansę opowiedzieć, jak go ludność w Polsce potraktowała. Opanował mnie ogromny żal, zrobiło mi się po raz pierwszy przykro, że muszę uczestniczyć w wojnie tak bezwzględnej. Bez słowa wyciągnąłem zza pasa parabellum i strzeliłem Niemcowi między oczy.

Akcje odwetowe na Ukraińcach: Ja z „Luisem" przeważnie obstawialiśmy drzwi i okna, natomiast półprzytomny „Twardy", stary nożownik z lwowskich Pasiek, rzucał się na skamieniałych ze strachu Ukraińców i krajał ich na kawałki. Z niesłychaną wprawą rozpruwał im brzuchy lub podrzynał gardła, aż krew tryskała po ścianach. Silny niesamowicie, często zamiast noża używał zwykłej ławy stołowej, którą gruchotał czaszki, jakby to były makówki.

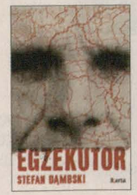
Pewnego razu zebraliśmy trzy rodziny ukraińskie w jednym domu i „Twardy" postanowił wykończyć je „na wesoło". Założył sobie znaleziony na półce kapelusz i – wziąwszy leżące na stole skrzypce – zaczął przygrywać na nich Ukraińcom. Podzielił ich na cztery grupy i przy dźwiękach muzyki kazał im śpiewać na głosy: „Tu pagórek, tam dolina, w dupie będzie Ukraina...". I pod groźbą trzymanego przeze mnie pistoletu śpiewali biedacy, aż szyby w oknach drżały, łudząc się, że nasza brać partyzancka będzie miała więcej sumienia od nich samych. Niestety, była to ich ostatnia piosenka na tym padole. Po skończonym koncercie „Twardy" tak się żywo wziął do pracy, że obaj z „Luisem" uciekliśmy do sieni, ażeby też nas czasem przez pomyłkę nie zarąbał.

Wyrok na Fiołków, pospolitych przestępców. Egzekutorzy zabili już ojca i dwóch synów. Trzeci z braci schronił się w domu sąsiadów: Nasza trójka uderzyła do ataku. „Słowik" pod tylne drzwi, „Muszka" pod pierwsze okno od frontu, a ja pod drugie. Na moje kiwnięcie głową bez słowa otwieramy ogień z broni maszynowej, waląc pełnymi seriami w sam środek zamieszkanych izb, nie martwiąc się o żadne konsekwencje.

Opróżniłem już cały magazynek z mojej pepeszki, gdy tu nagle środkowymi drzwiami wylatuje do nas liczący nie więcej jak jakieś jedenaście lat chłopak, blady jak ściana ze strachu, i zaczyna krzyczeć przerażonym głosem: „Panowie, przestańcie strzelać, w środku już nikt nie żyje!". Łapiemy go pod pachy i, popychając jako żywą tarczę, ładujemy się do środka. Zaraz w pierwszej izbie, która służyła za kuchnię, ujrzeliśmy straszny widok. Na samym środku leżał ojciec chłopaka z prawie zupełnie odstrzeloną głową. Niedaleko od niego śliczna, może 10-letnia dziewczynka leżała nieżywa w białej sukience z jednym tylko białym bucikiem na nodze – drugi leżał niedaleko, nie zdążyła go jeszcze założyć, gdy dosięgły ją pociski „Muszki".

W drugim pokoju, który znajdował się pod moim ostrzałem, sytuacja nie wyglądała wiele lepiej. Fiołek leżał przestrzelony jak sito pod samym oknem z nabitym pistoletem w ręku. Pod łóżkiem znaleźliśmy ciężko ranną żonę gospodarza z odstrzelonym prawie całym bokiem. Widocznie przy pierwszych strzałach wskoczyła pod łóżko, próbując ratować życie, ale i tam dosięgły ją moje pociski. Umarła z upływu krwi w ciągu piętnastu minut. Spędzamy w chałupie jakieś pół godziny, chłopak ciągle szlocha histerycznie. Nacieramy mu skronie zimną wodą, wiedząc, że jest w szoku, i bojąc się, aby zupełnie zmysłów nie stracił. Przed wyjściem odsyłamy go do sąsiedniego domu z nadzieją, że ktoś tam się nim zajmie. Obserwując jego odejście, nietrudno nam było zauważyć przyklejone do szyb twarze przestraszonych mieszkańców wioski. Miejscowa ludność jak zawsze była na łasce ludzi, którzy uczestniczyli w wojnie. Nigdy nie wiedzieli, co im przyszłość przyniesie, czy jutro nie zostaną wymordowani przez czyjąś pomyłkę.

Nareszcie wychodzimy. Opuszczamy Wesołą i kierujemy się w stronę poprzednich kwater. Rozkazy AK zostały wykonane. (...) Przeprowadziliśmy tę likwidację w imię Ojczyzny... Może piszę te wspomnienia zbyt cynicznie, ale – proszę mi wierzyć – czułem się wtedy fatalnie, a nawet dzisiaj mam jeszcze niesmak w ustach. •



13 października o godzinie 19 w kluboksięgarni Instytutu Reportażu Wrzenie Świata w Warszawie przy ulicy Gałczyńskiego 7 odbędzie się poświęcona książce dyskusja.

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH

Szukaj w kioskach



Ponadto w tytule:

Małgorzata Kalicińska • Dorota Wellman • Magdalena Schejbal • Edward Dwurnik • Jan Englert • Marek Grechuta • Maciej Stuhr

PRZEKRÓJ

Fundusze Europejskie z kulturą

Otwórz się na kulturę

- Zwycięzcy konkursu Wakacje z Kulturą
- Sztukmistrze w Lublinie
- Projekt kultura
- Sposób na projekt

NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
dla rozwoju Polski

MINISTERSTWO ROZWOJU REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO

Projekt uzyskał dofinansowanie w konkursie dotacji organizowanym przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego, współfinansowanym ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Fundusze Europejskie lubią kulturę

Nie tylko drogi, mosty i obiekty użyteczności publicznej – ze środków Funduszy Europejskich finansowane są też inwestycje kulturalne

Ponad 1,3 miliarda euro z Funduszy Europejskich i w ramach Norweskiego Mechanizmu Finansowego dostaną do roku 2013 teatry, muzea, kina oraz instytucje opiekujące się zabytkami, które bez tej pomocy prawdopodobnie nie mogłyby przetrwać.

Na łamach „Przekroju" w dodatkach opatrzonych wspólnym tytułem „Fundusze Europejskie z kulturą" w ostatnich tygodniach zaprezentowaliśmy zaledwie kilka z nich. Poprosiliśmy również naszych Czytelników, by podczas wakacji zwrócili uwagę na inicjatywy finansowane ze środków Funduszy Europejskich w szeroko rozumianej kulturze.

Ogłosiliśmy konkurs Wakacje z Kulturą, w którym za napisanie krótkiego tekstu oferowaliśmy nagrody rzeczowe. Dziękujemy za wszystkie nadesłane prace. Cieszymy się, że kwestie europejskie przestały kojarzyć się Wam wyłącznie z urzędniczą abstrakcją. Z drugiej strony jednak w większości z nich zabrakło pomysłu i lekkości, mimo że inwestycje, które opisaliście, są naprawdę bardzo ciekawe. Dlatego kapituła konkursu postanowiła przyznać tylko jedną nagrodę i jedno wyróżnienie.

Za tekst o lubelskim Carnavale Sztuk-Mistrzów netbookiem nagrodziliśmy Piotra Bordzoła. Mamy nadzieję, że będzie rozwijał swoje pisarskie zdolności. Natomiast roczną prenumeratę „Przekroju" za opowiedzianą w formie komiksu historię renowacji Parku Zdrojowego w Konstancinie-Jeziornie otrzymuje Magdalena Płonimska. Obie prace publikujemy w tym dodatku.

AGATA STREMECKA,
koordynator projektu Fundusze Europejskie z Kulturą

Sztukmistrze w Lublinie

Jest taki sierpniowy tydzień, kiedy Lublin staje się areną zabawy, nieograniczonej fantazji i marzenia. Na cztery dni władzę w mieście przejmują współcześni sztukmistrze – aktorzy, performerzy, akrobaci i kuglarze

PIOTR BORDZOŁ



FOT. Materiały prasowe

Uczestnicy Carnavalu Sztuk-Mistrzów zjechali tu z całego świata, a za nimi przybyły tłumy turystów. Nic w tym dziwnego, zważywszy na atrakcyjność imprezy. Warsztaty kuglarskie na placu Litewskim, konkurs tańca z ogniem na Rybnej, nocne czytanie „Sztukmistrza z Lublina" Isaaca Bashevisa Singera, koncerty i przedstawienia w różnych punktach Starego Miasta. Festiwal na ziemi i... w przestworzach – co chwila na taśmie rozpiętej między budynkami balansowali uczestnicy Urban Highline. I to wszystko w Lublinie. Dlaczego tu? Wyjaśnia Michał Krawczyk, zastępca dyrektora kancelarii prezydenta do spraw marketingu miasta: – Jesteśmy zagłębiem najciekawszych alternatywnych projektów teatralnych: Provisorium, Scena Plastyczna KUL, Gardzienice. Miastem ludzi młodych i kreatywnych, które należy poczuć – i to udowadniamy podczas Carnavalu.

Organizatorzy imprezy podkreślają, że łączy ona sztukę teatru z nowym cyrkiem – karnawałowa iluzja staje się narzędziem służącym opowiedzeniu określonej historii. Chodzenie na szczudłach, jazda na monocyklu czy posługiwanie się diabolo (to niewielkie urządzenie w kształcie klepsydry, do którego za pomocą cienkiej linki przywiązane są dwa patyki), zatem zabawowe, nieobarczone presją sceny prezentowanie się przed innymi może mieć charakter wychowawczy, a nawet terapeutyczny. Tym aspektem współczesnego kuglarstwa zajmuje się właśnie pedagogika cyrku. Przedstawiciele tej nowatorskiej dyscypliny przekonują, że połączenie nauki cyrkowych akrobacji z treściami pedagogicznymi rozwija tak zwane kompetencje kluczowe: umiejętność rozwiązywania problemów, skuteczną komunikację, efektywną pracę w zespole. Pedagogika cyrku łączy zatem przyjemne z pożytecznym – nietuzinkową formę aktywności fizycznej z inspirowaniem do twórczego wyrażania siebie, czerpania przyjemności z poszukiwania kolejnych wyzwań, jak również uczy sztuki niepoddawania się w zdobywaniu wyznaczonych celów. Tak jak Jasza, bohater „Sztukmistrza z Lublina", który „zauważywszy jakąś sztuczkę karcianą, tak długo manipulował talią kart, póki się jej nie nauczył", a gdy zobaczył występy linoskoczka, „[...] zaraz poszedł do domu spróbować swoich sił. Spadał i znów wchodził na linę".

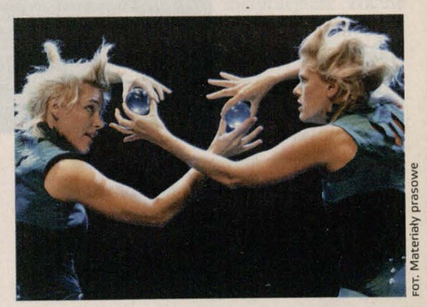
Wartość projektu: 1 800 000 zł; finansowanie: 70 procent – UE (kwota: 1 260 000 zł), 30 procent (kwota: 540 000 zł) – budżet miasta Lublina

Pedagogika cyrku nie jest sztuczką prestidigitatora i ma solidną podbudowę teoretyczną – Carnaval Sztuk-Mistrzów poprzedzony został międzynarodową konferencją naukową „Od inspiracji do fascynacji. Psychologiczne i pedagogiczne wymiary sztuki cyrkowej" zorganizowaną na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wśród prelegentów znaleźli się zarówno animatorzy kultury i pedagodzy społeczni, jak i psycholodzy eksperymentalni, trenerzy zawodowi (na przykład Mirosław Urban, twórca programu „Juggling Inspiration" wykorzystującego metaforę żonglowania w edukacji i biznesie), a nawet badacze z Oksfordzkiego Centrum Funkcjonalnego Rezonansu Magnetycznego.

– Carnaval Sztuk-Mistrzów – podkreśla Michał Krawczyk – powstał na bazie niewielkiej imprezy o nazwie Festival Sztukmistrzów organizowanej od 2008 roku. Dwie poprzednie edycje miały kilkanaście razy mniejszy budżet, tegoroczna – zgodnie z założeniami kancelarii prezydenta – stała się prawdziwą wizytówką miasta. Wykorzystano wszystkie kulturowe atuty Lublina, przede wszystkim pamięć o Singerze, niepowtarzalną aurę wszechobecnej magii i trudnego do zdefiniowania, specyficznego klimatu miasta, który stał się najlepszą z możliwych, autentyczną dekoracją dla karnawałowych iluzji.

Carnaval, jak przekonują organizatorzy, jest „świętem życia samego w sobie. Jest esencją życia, jego najbardziej witalnym objawem. [...] Jest czasem artystów i kuglarzy". Trudno się z tym nie zgodzić, mając w pamięci takie arcydzieła światowego kina jak „La Strada" czy „Osiem i pół", których twórca Federico Fellini wyznał kiedyś, że największy wpływ wywarły na niego: seks, cyrk, kino i spaghetti.

Carnaval Sztuk-Mistrzów realizowany jest w ramach projektu „Lublin Sztuk-Mistrzów – nowy produkt kulturowy i turystyczny oraz promocja wydarzeń artystycznych" współfinansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Lubelskiego na lata 2007–2013. ●



FOT. Materiały prasowe

Lublin – miasto Singera, tym razem we władaniu **akrobatów i performerów**

Moje wakacje w Konstancinie

MAGDALENA PŁONIMSKA



Tytuł projektu:
„Zagospodarowanie Parku Zdrojowego i terenów przyległych oraz pasaży uzdrowiskowych w Konstancinie-Jeziornie"

Wartość dofinansowania:
9 999 557,24 zł;

Program:
Regionalny Program Operacyjny Województwa Mazowieckiego

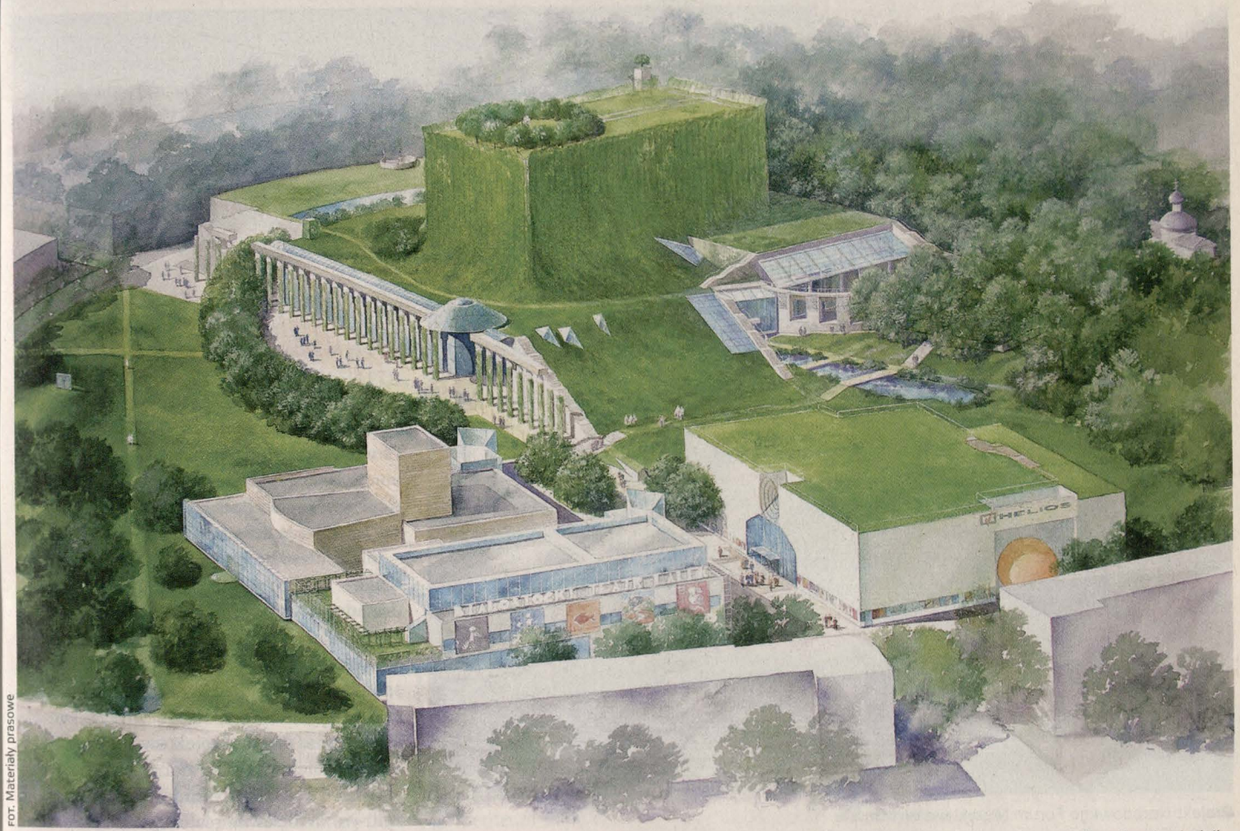












FOT. Materiały prasowe

Wizualizacja siedziby Opery i Filharmonii Podlaskiej **w Białymstoku**

Projekt kultura



Na przedsięwzięcia związane z kulturą w latach 2007-2013 wydamy z Funduszy Europejskich ponad 1,3 miliarda euro. Najwięcej wśród krajów UE - mówi MONIKA SMOLEŃ, podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego

FOT. Piotr Wamorek/Żelazna Studio/Smartlink

Czy bez Funduszy Europejskich polska kultura mogłaby się rozwijać?

- Oczywiście. Pokazują to osiągnięcia polskich artystów. Bazując na dziedzictwie kulturowym i kulturze dziś tworzonej, budujemy swoją tożsamość. Fundusze Europejskie stworzyły tylko nowe szanse na spełnienie marzeń wielu ludzi - realizację projektów planowanych od lat, na które zawsze brakowało pieniędzy. Gdybym miała uogólnić to, co działo się w inwestycjach kulturalnych przed wejściem Polski do struktur UE, to powiedziałabym, że zdecydowana większość z nich miała charakter interwencyjny. Trzeba było załatać cieknący dach, przeprowadzić remont lub modernizację obiektu i w zasadzie nie było mowy o prawdziwych inwestycjach. Dzięki funduszom powstały nowe instytucje kultury i poprawił się standard wielu już istniejących. Jeżeli chcemy odgrywać znaczącą rolę na mapie kulturalnej Europy, musimy to sobie zapewnić nie tylko dzięki talentowi artystów, ale też przez umożliwienie doskonalenia tych talentów i ich prezentacji w nowoczesnych instytucjach. Ważne jest także wykształcenie społeczeństwa świadomie uczestniczącego w życiu kulturalnym.

Narodowe Forum Muzyki we Wrocławiu powstaje w „dzielnicy kultury" – są tam świątynie trzech wyznań, opera i Muzeum Miejskie. Kiedy byłem tam w maju, widziałem ogromną dziurę w ziemi. Wrocławianie doskonale wiedzą, co w tym miejscu powstaje za fundusze z UE.

- Ludzie identyfikują się z takimi przedsięwzięciami, ponieważ kultura tworzy tożsamość miejsc. Nie ulega całkowitej →



FOT. Materiały prasowe

Projekt Narodowego Forum Muzyki **we Wrocławiu**

→ globalizacji, nieprawdziwe okazały się przewidywania „trzeciej fali" Alvina Tofflera. Polacy na nowo definiują pojęcie „dobro wspólne". Ono przestało być „niczyje", staje się „nasze".

Narodowe Forum Muzyki we Wrocławiu to pierwszy w historii Unii tak duży projekt w dziedzinie kultury. Zgodnie z unijnym prawem za duży uważa się każdy o wartości powyżej 50 milionów euro. Do jego realizacji konieczna jest zgoda Komisji Europejskiej. Muszę przyznać, że ocena tego projektu wzbudziła w Brukseli spore zamieszanie, bo dotychczasowe doświadczenia dotyczyły projektów środowiskowych bądź transportowych, przewidywalnych ekonomicznie, w których wszystko da się zmierzyć i policzyć. W przypadku instytucji kultury nie chodzi jedynie o racjonalność ekonomiczną, lecz o korzyści społeczne, ich wpływ na podnoszenie atrakcyjności miasta dla turystów, inwestorów i – co równie ważne – mieszkańców. Świadczy o tym energia, z jaką polskie miasta przystąpiły do walki o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury.

To dlatego Polska w programach operacyjnych priorytetowo potraktowała kulturę?

– Tak. Pamiętajmy, że w latach 2007–2013 inwestycje wszystkich 27 państw członkowskich Unii na projekty z zakresu kultury i ochrony dziedzictwa wyniosą ponad 6 miliardów euro. Z tego 1,3 miliarda to środki przeznaczone na kulturę w Polsce. W 16 regionalnych programach operacyjnych rozdysponowanych będzie ponad 660 milionów euro, a 490 milionów euro w programie „Infrastruktura i środowisko", za którego wdrażanie w części dotyczącej kultury odpowiada nasze ministerstwo.

Tak ogromne kwoty łączą się też z odpowiedzialnością. Miliardy złotych muszą zostać trafnie zainwestowane i prawidłowo rozliczone. Czy wszyscy są na to przygotowani?

– W Ministerstwie Kultury od początku swojej pracy zajmuję się Funduszami Europejskimi. Kiedy w 2003 roku mówiliśmy o pieniądzach europejskich dla kultury, dominowali sceptycy. Mówiono, że na pewno te środki zostaną przesunięte na „inne ważne cele" albo że nawet jeśli będą, to nie poradzimy sobie z europejską biurokracją. Okazuje się, że nikt nie miał racji. Według podsumowania przygotowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego na koniec pierwszego półrocza tego roku MKiDN jest na pierwszym miejscu pod względem certyfikacji środków do KE wśród wszystkich resortów. Z satysfakcją mogę też powiedzieć, że już w czerwcu przekazaliśmy do MRR faktury za realizację projektów na kwotę wyższą, niż przewidziano dla nas do wydatkowania do końca 2010 roku. To zasługa nie tylko nasza, ale przede wszystkim beneficjentów. Nie wszystko przebiega bezproblemowo, ale do rozwiązywania problemów po obu stronach stołu siadają kompetentni ludzie. Dlatego dziś jestem spokojna o realizację tych projektów.

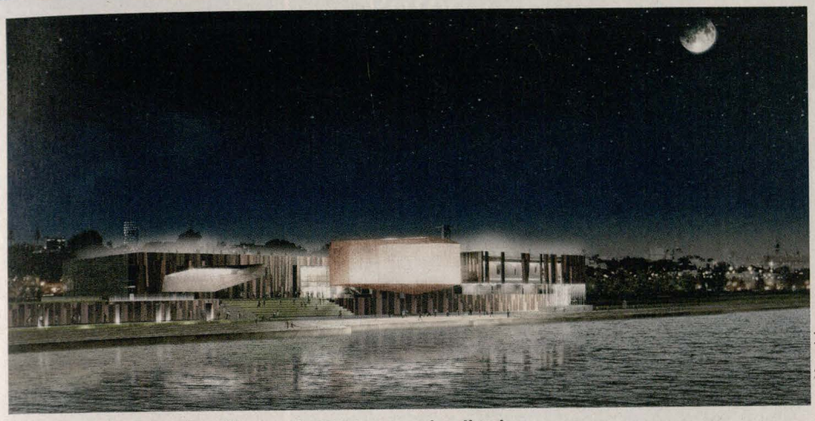
Ministerstwo pośredniczy w realizacji 11. priorytetu programu „Infrastruktura i środowisko". Rok temu podpisali państwo umowy z 26 beneficjentami o wartości sięgającej połowy dostępnego budżetu. Jak to wygląda dziś?

– Bilans na dziś to 45 podpisanych umów, dzięki którym mamy zakontraktowanych ponad 95 procent dostępnych środków. Ostatni projekt, który czeka na złożenie wniosku i podpisanie umowy, to budowa sali koncertowej Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. To jeden z pięciu projektów, którego dofinansowanie wyniesie ponad 122 miliony złotych. Poza nim i Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu realizujemy także takie przedsięwzięcia jak budowa Opery i Filharmonii Podlaskiej, Centrum Nauki Kopernik i Europejskie Centrum Solidarności.



FOT. Materiały prasowe

Projekt Europejskiego Centrum Solidarności **w Gdańsku**



FOT. Materiały prasowe

Centrum Nauki Kopernik **w Warszawie. Też jeszcze wizualizacja**

Placówki kulturalne i samorządy chętnie korzystały z „Promesy ministra kultury", bo program ten zapewniał pieniądze na tak zwany wkład własny. Czy nadal będzie ona funkcjonować?

– Od momentu wprowadzenia w 2004 roku cieszy się ona niezmiennym powodzeniem. Był to nowatorski pomysł, ale niezwykle trudny, zwłaszcza w kontekście rocznego planowania budżetu. A wiadomo, że projekty, szczególnie te inwestycyjne, realizowane są dłużej niż w ciągu jednego roku budżetowego. Program „Promesa" powstał dzięki tak zwanemu funduszowi promocji kultury (którym dysponuje minister kultury) zasilanemu ze środków z odpisów od gier losowych. Te pieniądze są rozliczane według innych reguł. To stworzyło możliwości sfinansowania wkładu własnego, a samorządy zaczęły planować projekty z większą odwagą. Teraz o „Promesę" starają się przede wszystkim projektodawcy ubiegający się o dofinansowanie z regionalnych programów operacyjnych. W przyszłym roku planujemy kontynuację tego programu.

Fundusze Europejskie stworzyły szansę na spełnienie marzeń wielu ludzi – realizację projektów planowanych od lat, na które od zawsze brakowało pieniędzy

MKiDN odgrywa istotną rolę przy rozdzielaniu funduszy z Mechanizmów Finansowych. Pierwszy okres programowania się kończy, ale trwają rozmowy o kolejnym rozdaniu funduszy.

– Norweski Mechanizm Finansowy i Mechanizm Finansowy Europejskiego Obszaru Gospodarczego początkowo oferowały przede wszystkim środki inwestycyjne. Na kulturę mieliśmy około 60 milionów euro. Później – ze względu na bardzo dobre projekty – zwiększono nasz budżet do 87 milionów euro. Z niego sfinansowano między innymi gruntowny remont krakowskich Sukiennic, remont zamku w Malborku oraz pałaców w Łańcucie i Rogalinie. Podjęliśmy też decyzję o dofinansowaniu wywołującej chyba najwięcej kontrowersji budowy Europejskiego Centrum Bajki imienia Koziołka Matołka w Pacanowie. Od lutego tego roku Centrum działa i cieszy się ogromnym zainteresowaniem wśród rodziców i szkół z całej Polski.

W 2008 roku państwa będące darczyńcami – Norwegia, Islandia i Liechtenstein – zaproponowały nam dodatkowo uruchomienie Funduszu Wymiany Kulturalnej (FWK). Polska jest jedynym państwem UE, które otrzymało taką propozycję. Początkowy budżet w wysokości 5 milionów euro został zwiększony do 10 milionów. Od 2008 roku otrzymaliśmy ponad 700 projektów partnerskich, co pozwoliło nawiązać z tymi krajami rzeczywistą współpracę kulturalną.

Obecnie trwają prace dotyczące przyszłego okresu programowania. Mamy wstępną zgodę państw darczyńców i Ministerstwa Rozwoju Regionalnego na finansowanie kultury z tych funduszy. Myślę, że na początku przyszłego roku będziemy mogli podać więcej informacji o Mechanizmach Finansowych na kolejne lata.

ROZMAWIAŁ JERZY GONTARZ

Pełna wersja wywiadu dostępna na stronie internetowej: www.funduszeonline.pl

Od pomysłu do projektu… …w pięciu krokach

Fundusze unijne to nie tylko pieniądze na nowe gmachy. Z kulturą i dziedzictwem narodowym łączą się działania wykraczające poza twarde inwestycje w mury

Kultura jest jednym z narzędzi budowy społeczeństwa otwartego i kreatywnego. Jej rozwój przyczynia się do poprawy jakości życia. Obiekty kulturalne powinny mieć „przejrzyste" mury, które nie blokują tej właściwości. Z unijnym dofinansowaniem jest podobnie. Dotacja jest tylko narzędziem do osiągnięcia celu. Jak z tego narzędzia mądrze korzystać?

Krok 1. – zastanów się nad potrzebami twojej instytucji, miasta lub społeczności. Jeśli uważasz, że przedsięwzięcie z zakresu kultury może przyczynić się do ożywienia miejsca, w którym mieszkasz, to już masz pierwszy ważny powód, by pomyśleć o projekcie. Zbierz pomysły, które wpisują się w ten cel.

Krok 2. – skonsultuj swoje pomysły z innymi osobami (mieszkańcami, pracownikami placówek kulturalnych, przedstawicielami samorządu). Mogą one stać się twoimi partnerami w projekcie. Łączenie kompetencji daje większy potencjał. Spróbujcie wspólnie wyłonić pomysł, nad którym warto pracować, i rozwinąć go do postaci projektu. Projekt musi wyraźnie określać cele, środki i konieczne działania do jego osiągnięcia.

Krok 3. – przymierz się do finansów. Zwróć uwagę na programy finansowane z funduszy unijnych. Jeśli twój projekt ma charakter miękki, to zainteresuj się Programem Kapitał Ludzki lub na przykład programami Europejskiej Współpracy Terytorialnej. Odwiedź jeden z najbliższych punktów informacyjnych o Funduszach Europejskich (lista na stronie www.funduszeeuropejskie.gov.pl). Tam konsultanci wskażą ci optymalne źródło finansowania.

Krok 4. – przekaż swój projekt do zaopiniowania osobom, które według ciebie mogą mieć wiedzę na temat realizacji tego typu przedsięwzięć. Na tym etapie warto dokonać korekt i sprawdzić, jakich formalności trzeba będzie jeszcze dopełnić. Pełną listę wymagań i kryteria oceny znajdziesz w dokumentach programowych i ogłoszeniu o konkursie.

Krok 5. – przygotuj wniosek o dofinansowanie. Niczego nie musisz wymyślać. Jeśli wiesz, jakie działania chcesz przeprowadzić, by osiągnąć zakładane rezultaty, nie zajmie ci to dużo czasu. Niczego nie koloryzuj. Zakładanie zbyt optymistycznych wskaźników może się zemścić. Nie zignoruj punktu dotyczącego promocji projektu. Dobrze zaplanowana powinna pomóc w nagłośnieniu tego, co stworzyłeś.

PS Otrzymałeś dotację? Gratulacje! Nie spocznij jednak na laurach. To dopiero początek ciężkiej pracy. Jeśli odniesiesz sukces, z pewnością dostrzegą to inni czytelnicy „Przekroju".

JERZY GONTARZ

Sposób na projekt

W raportach na temat korzystania z Funduszy Europejskich jesteśmy zasypywani danymi na temat tempa ich wydawania. O ile można to zaakceptować w przypadku dróg, o tyle w dziedzinie kultury czas nie powinien odgrywać pierwszoplanowej roli

ANDRZEJ SZOSZKIEWICZ

Dużo ważniejsze są: pomysł, design i jakość wykonania. To te kryteria zadecydują o sile przyciągania przyszłego muzeum, centrum wystawienniczego czy teatru. Unijne inwestycje w obszarze kultury i turystyki swój prawdziwy test przejdą nie z chwilą prawidłowego rozliczenia projektu, lecz po kilku miesiącach od realizacji – kiedy policzone zostaną sprzedane bilety, stanie się jasne, czy zostały zaakceptowane przez publiczność.



Fot. Andrzej Szoszkiewicz/Smartlink

Muzeum Przemysłu Torfowego w **niemieckim Geeste**

Małe jest piękne

Przyszły sukces zależy od dobrego pomysłu, wokół którego budujemy projekt. W krajach takich jak Niemcy, Hiszpania czy Portugalia znajdziemy rozwiązania, które z pewnością zainspirują nas do pracy nad własnymi przedsięwzięciami. Jednak w poszukiwaniu inspiracji nie trzeba koniecznie jechać do Muzeum Guggenheima w Bilbao. Prawdziwe perełki powstają też w niewielkich ośrodkach. I za dużo mniejsze kwoty niż baskijska ikona.

W ciągu kilku miesięcy w muzeum przemysłu torfowego w niemieckim Geeste zbudowano nowoczesny pawilon wystawienniczy o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych. Inwestycja kosztowała 3,3 miliona euro, z czego Unia Europejska zapłaciła 50 procent w ramach inicjatywy INTERREG IV A Niemcy-Holandia. W centralnej części pawilonu umieszczono napędzany silnikiem parowym 30-tonowy pług firmy Ottomeyer, największą tego typu maszynę na świecie. Multimedialna wystawa prezentuje historię przemysłu torfowego w tym regionie – zarówno w czasach jego rozkwitu, jak i w okresie powojennym.

Z kolei twórcy muzeum w portugalskim Portimão w interesujący sposób pokazali historię przetwórstwa sardynek i wpływ, jaki ono wywarło na lokalną historię i kulturę. Kosztem 10 milionów euro odrestaurowano dawną fabrykę konserw i otwarto w niej oryginalną wystawę przybliżającą proces przetwórstwa sardynek wpleciony w zbiory etnograficzne i dziedzictwa przemysłowego. Za oryginalną koncepcję i unikalny program edukacyjny Museo Portimão otrzymało nagrodę dla najlepszego muzeum 2010 roku przyznawaną przez Radę Europy.

Pomysł na teatr

Oryginalnych rozwiązań poszukują również właściciele teatrów. Na bardzo ciekawy pomysł wpadli twórcy nowego budynku Teatru Baj Pomorski w Toruniu, którzy zaproponowali drewniany fronton w kształcie teatralnej szafy ozdobiony lalkami i zegarem z wahadłem. Dziś młodzi goście odwiedzający Toruń nie ograniczają swojej wizyty w mieście do zwiedzenia muzeum Kopernika, lecz idą na spektakl do Baja. Tam obowiązkowym punktem programu jest wykonanie fotografii na tle modrzewiowej szafy. Miłe niespodzianki czekają też wewnątrz budynku – jest tam nowe foyer, widownia powiększona do 304 miejsc oraz odnowiona duża scena. Dzięki nowym urządzeniom scenicznym i elektroakustycznym w toruńskim teatrze można korzystać z najnowszych technik multimedialnych.

Z kolei teatrowi imienia Stefana Jaracza w Łodzi dotacja z Funduszy Europejskich umożliwiła realizację ciekawej koncepcji rozwoju scen teatralnych w całym województwie. W ramach przedsięwzięcia wykonano kapitalne remonty w ośrodkach kultury w Piotrkowie Trybunalskim, Sieradzu, Skierniewicach i Radomsku oraz wyposażono sale widowiskowe w nowoczesny sprzęt do obsługi sceny. Łódzki teatr dysponuje obecnie prawie dwoma tysiącami miejsc dla widzów na siedmiu scenach (trzy w Łodzi oraz cztery w regionie). Podpisane porozumienie między centralą a scenami regionalnymi zapewnia nie tylko określoną liczbę przedstawień, ale także organizację różnych przedsięwzięć kulturalnych odpowiadających potrzebom mieszkańców miast województwa.

Niezbędna promocja

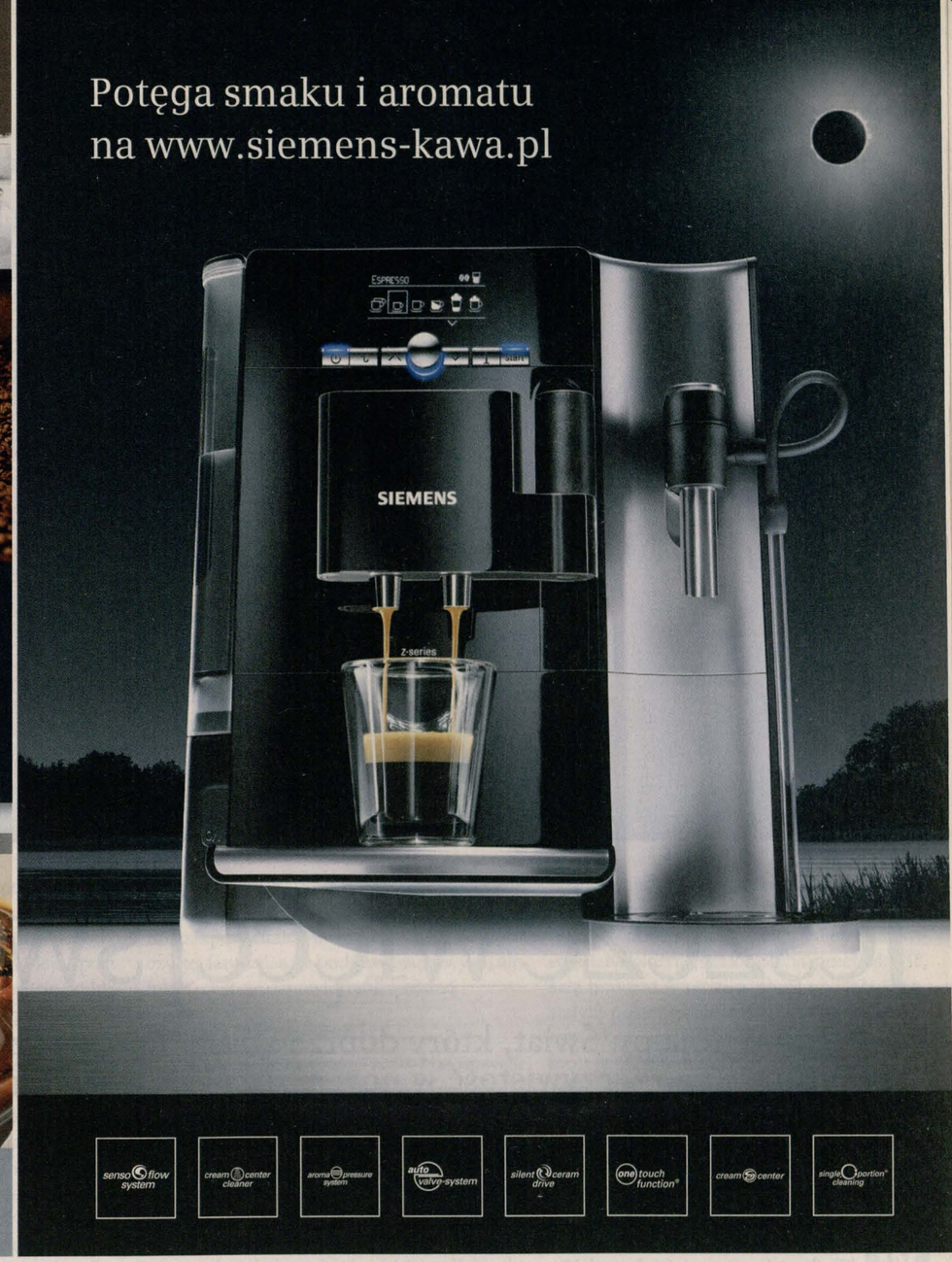
Zdobycie dotacji i dobra realizacja projektu nie zapewnią placówce kulturalnej czy atrakcji turystycznej odpowiedniej popularności. Nawet najlepszy i najnowocześniejszy obiekt trzeba odpowiednio wypromować.

Dobrą promocją może też pochwalić się opisywane wcześniej w dodatku „Fundusze z kulturą" gdańskie Centrum Hewelianum. Tłumy gości przyszły tego lata na drugie urodziny Centrum, by obejrzeć interaktywne wystawy, warsztaty, pokazy, wziąć udział w wykładach popularnonaukowych, a także w grach, konkursach i zabawach dla najmłodszych. Duże emocje wywołały pokazy flagowe, pokaz strzelania z muszkietów oraz salwa honorowa z dział armatnich.

Planując przedsięwzięcie turystyczne czy kulturalne, warto zapoznać się z dobrymi praktykami w tych dziedzinach. Trzeba to jednak zrobić już na etapie projektowania. Po uzyskaniu dotacji będzie na to za późno. ●

Dodatek przygotowany przy współpracy z firmą Smartlink
www.smartlink.pl
Realizacja: Jerzy Gontarz, Joanna Gontarz, Iwona Gutowska oraz Małgorzata Kłoszewska i Piotr Witek

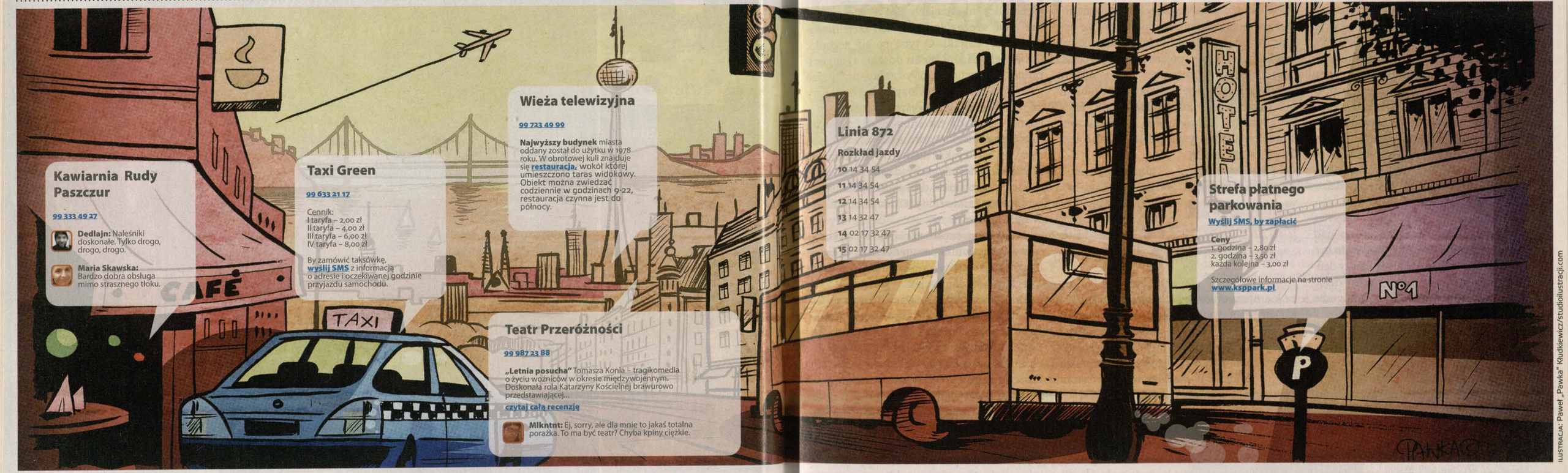




Ekspres ciśnieniowy EQ.7 to mistrz w profesjonalnym parzeniu kawy. Futurystyczna technologia i wysmakowany design dostarczają wyjątkowej przyjemności – zarówno przy obsłudze, jak i degustacji wyśmienitej kawy. Najnowsze rozwiązania techniczne: **system senso flow**, czy **aroma pressure** pozwalają osiągnąć wyjątkowo głęboki smak i aromat, a w **cream center** powstaje idealna pianka o kremowej konsystencji. **Ruchomy dystrybutor** znakomicie ułatwia serwowanie kawy. Wszystko o ekspresach Siemens zawierają strony naszego **serwisu internetowego**. Znajdziesz tam także kompendium wiedzy o kulturze kawy: jej historii, uprawach, gatunkach oraz przepisy na pyszności z kawy – zarówno słodkie, jak i pikantne! Wejdź na **www.siemens-kawa.pl** i zanurz się w egzotyczny świat kawy przy filiżance gorącego espresso!

The future moving in.

SIEMENS



ILUSTRACJA: Paweł „Pawka" Kłudkiewicz/studioilustracji.com

Jeszcze więcej świata!

Domy, ulice, knajpy. Świat, który dobrze znasz, to nie wszystko. Przygotuj się na rzeczywistość w nowej, rozszerzonej wersji. Kod dostępu do niej znajdziesz w swojej komórce

TEKST **PIOTR STANISŁAWSKI** ILUSTRACJA **PAWEŁ „PAWKA" KŁUDKIEWICZ**

Właściwie zaczęło się od porażki. Chyba wszyscy pamiętają nadzieje na rychłe nadejście wirtualnej rzeczywistości. Mieliśmy pracować i wypoczywać w świecie wygenerowanym przez komputery, gdzie wszystko jest możliwe, a nasze mózgi omamione trójwymiarowymi obrazami chętnie oddadzą się złudzeniu. No a potem przyszło twarde lądowanie: okazało się, że specjalne okulary – klucz do wirtualnego świata – są niewygodne, wkładający je ludzie często dostają mdłości, a na dodatek komputerowa rzeczywistość jest plastikowa i nierzeczywista, bo komputery wciąż są zbyt wolne, by rysować ją z należytą szczegółowością.

W łeb wzięły więc wizje z książek fantastycznych Williama Gibsona i Neala Stephensona, z filmów „Tron" i „Johnny Mnemonic". Jednak na gruzach koncepcji rzeczywistości w pełni wirtualnej narodziło się coś trochę skromniejszego, choć znacznie ciekawszego – rzeczywistość (zaledwie) rozszerzona.

Okiem terminatora

Koncepcja jest prosta: nasz świat jest tak interesujący, że nie trzeba go budować od nowa za pomocą komputera. Zamiast tego lepiej go lekko poprawić, uczynić ciekawszym i bogatszym. I nie, nie chodzi o postulaty międzynarodowej rewolucji komunistycznej. Do poprawiania rzeczywistości zaprzęgnięto komputery, jednak zaprogramowano im pokorę wobec otoczenia – mogą ją jedynie nieznacznie modyfikować i uzupełniać.

By nie trudzić się nudnymi definicjami, przywołajmy dość powszechnie znany obraz. Oto początek filmu „Terminator 2", Arnold właśnie wkracza do szemranej knajpy w stroju Adama, wzbudzając zrozumiałe zainteresowanie gości. Maszyna, nie przejmując się konwenansami, przeprowadza właśnie skanowanie kolejnych osób w poszukiwaniu odpowiedniego dla siebie stroju. Oczami cyborga obserwujemy rzeczywistość: wszystko podbarwione jest na czerwono, a kolejne pojawiające się w zasięgu wzroku postacie poddawane są błyskawicznej ocenie – płeć, wzrost, waga, szerokość ramion, rozmiar butów. Wymiary pojawiają się tuż obok postaci. To kwintesencja rozszerzonej rzeczywistości. Dzięki nałożeniu na realny świat dodatkowych informacji z komputera powstaje hybryda, mieszanka na styku wirtualnego i realnego.

„Terminator 2" był na swój sposób obrazem proroczym, gdyż powstał w 1991 roku, rok przed pierwszymi współczesnymi zastosowaniami metody zwanej *augmented reality*. Najwyraźniej James Cameron i spółka dobrze odrobili zadanie, śledząc trendy technologiczne. W tym czasie bowiem trwały prace Toma Claudella przygotowującego dla Boeinga system, który ułatwiałby pracownikom układającym kable w kadłubie samolotu właściwe ich rozmieszczenie. Chodziło o opracowanie urządzenia, które nakładałoby na obraz widziany przez technika schematy elektryczne, tym samym pozwalając wyeliminować skomplikowane papierowe instrukcje montażu. Równocześnie pracowano nad podobnym zagadnieniem w US Air Force Armstrong Labs i kilku innych ośrodkach wojskowych. Trudno dziś powiedzieć, ile w „Terminatorze" było czystej fantazji, a ile podstaw naukowych, ale faktem jest, że panowie trafili w sedno.

Warstwy rzeczywistości

Przez kolejne lata *augmented reality* pozostawała raczej ciekawostką – jako taką pokazywano ją na przykład na festiwalu nowych technologii NextFest w 2005 roku. Przedstawiciele Mixed Reality Lab z Singapuru zaprezentowali grę, która dla postronnego widza wyglądała jak zabawa dla ludzi niespełna rozumu. Oto kilka osób pochyla się nad stołem i przesuwa po nim bez ładu i składu drewniane klocki z narysowanymi na nich nic nieznaczącymi czarnymi symbolami. Sprawa wyjaśnia się, gdy na pole gry spojrzymy przez okulary podłączone do komputera – zamiast stołu pojawia się trawiasta plansza pełna drzew, a drewniane klocki zamieniają się w ziejące ogniem smoki czy zakutych w stal rycerzy. Program śledzi przez kamerę umieszczoną na okularach pole gry, rozpoznaje symbole i zastępuje je generowanymi na żywo postaciami.

Rewolucja zaczęła się, kiedy świat i kieszenie użytkowników zaczęły zdobywać smartfony. Urządzenia, w których funkcja dzwonienia jest bodaj najmniej istotna, okazały się genialnym nośnikiem idei rozszerzania rzeczywistości. Najważniejsza ich cecha, przenośność, szła bowiem w parze z mocą obliczeniową, stałym połączeniem z Internetem i licznymi czujnikami pozwalającymi na orientację telefonu w przestrzeni. Dzisiejsze aparaty są bowiem wyposażone w GPS odnajdujący sprzęt z dokładnością do kilku metrów, kompas pozwalający określić, w którą stronę skierowany jest użytkownik telefonu, żyroskop wychwytujący najdelikatniejsze zmiany położenia urządzenia oraz – co być może najważniejsze – aparat przekazujący na żywo obraz na ekran.

Połączenie tych systemów pozwala odkrywać nieznane dotąd warstwy świata. To właśnie od nich wziął nazwę jeden z najpopularniejszych programów wykorzystujących rozszerzoną rzeczywistość – Layar (ang. layer – warstwa). Gdy uruchomimy go w telefonie działającym pod kontrolą systemu Android lub iOS, naszym oczom ukaże się obraz widziany przez kamerę aparatu. Wystarczy jednak wybrać z menu interesujący nas rodzaj informacyjnej warstwy, by obraz pokrył się siecią punktów. Jeśli zdecydujemy się na warstwę Zakwaterowanie, zobaczymy kropki →

→ oznaczające położenie najbliższych hoteli czy kempingów. Gdy obrócimy się, to wraz ze zmianą widoku na ekranie pojawią się nowe, większe i mniejsze punkty wraz z opisami. I tak, stojąc pod warszawskim Dworcem Centralnym, zobaczymy wielkie kropy wskazujące hotele Marriott i Intercontinental, mniejszą oznaczającą bardziej odległy Novotel i całkiem niedużą, która będzie pokazywać położony trzy kilometry dalej Hotel Sobieski. Stuknięcie palcem w taki wskaźnik rozwija okno zawierające dane kontaktowe i inne przydatne podróżnemu informacje.

Poza nudną, choć przydatną, warstwą z hotelami Layar udostępnia w Polsce ponad 200 innych pakietów informacji. Mogą to być miejsca, gdzie można znaleźć najbliższy defibrylator, przewodniki po zabytkach czy oznaczone punkty, w których robiono fotografie znane z okładek słynnych płyt.

A gdyby tak połączyć wirtualną książkę telefoniczną z recenzjami lokali? Na tej zasadzie działają dwie konkurencyjne aplikacje - Gowalla i Foursquare. Lokalizują one użytkownika na mapie miasta i sprawdzają, w pobliżu jakich obiektów - knajp, klubów czy barów - się znajduje. Jeśli jest niedaleko jednego z takich punktów, może się w nim „zameldować" - zgłosić systemowi, że znajduje się wewnątrz. Zostaje to odnotowane w bazie danych, a użytkownik może dopisać komentarz na temat lokalu. System geograficznego namierzania zabezpiecza przed cwaniakami, którzy chcieliby siedzieć w domu i meldować się po całym świecie. Jesteś na miejscu - proszę bardzo. Nieobecni nie mają racji.

Technikum w okularach

To jednak tylko początek zabawy. Po *augmented reality* chętnie sięgają artyści. Co prawda jeszcze nikt nie zdołał wymalować na ścianie Pałacu Kultury stumetrowego graffiti, ale od czego jest wyobraźnia? Łatwo przecież zaprogramować komputer tak, by po rozpoznaniu, że stoimy przy tym cudzie architektury, poszukiwał jego kształtu. Gdy ten pojawi się w obiektywie, program ściąga z Internetu plik graficzny i nakłada go na ścianę budynku. I oto zamiast burej fasady mamy kolorowe dzieło.

A gdyby tak z klasycznego oglądania ruin zrobić coś interaktywnego? Wyobraź sobie,

Dzięki rozszerzonej rzeczywistości chirurg może widzieć poprzez ciało chorego - tak, jakby było przeźroczyste

że kierujesz obiektyw telefonu na rzymskie Koloseum i wciskasz przycisk Odbuduj. Po chwili widzisz, jak amfiteatr wyglądał w czasach Flawiuszów, możesz nawet usłyszeć w słuchawkach wycie zachwyconego tłumu. Tandeta? Powiedzcie to wycieczkom szkolnym ze znudzeniem oglądającym kolejne zabytki Wiecznego Miasta.

Rozszerzanie rzeczywistości przez komórki otworzyło wejście do nowego, równoległego świata. Ludzie wreszcie zdali sobie sprawę, jak wielkie możliwości kryje ta technologia. Co najciekawsze, znajdujemy się dopiero na początku drogi ku nowemu, ciekawszemu światu. Już teraz zaczynają się pojawiać reklamy wykorzystujące *augmented reality*. Zamiast nudnego billboardu możesz zobaczyć ruchome postacie, film, dynamiczną scenę - wystarczy, że twój telefon dostrzeże zaprogramowany kształt i uruchomi przypisany do niego fragment programu.

Powracają również zastosowania podobne do tych pierwszych, znanych z Boeinga. Mechanicy na stacjach BMW nie muszą już znać szczegółowych instrukcji naprawy każdej usterki. O tym, co się zepsuło, informuje ich kod błędu odczytany z komputera samochodu. Wystarczy przekazać go systemowi stacji i włożyć na nos okulary ze zintegrowanym wyświetlaczem*. Mechanik spogląda na silnik i widzi, jakim śrubokrętem i w którym miejscu ma wykręcić śruby, by uzyskać dostęp do uszkodzonej części. Podobnie prowadzony jest za rękę krok po kroku aż do zakończenia naprawy. *Augmented* reality zamiast technikum samochodowego?

Dziś coraz częściej próbuje się wykorzystywać tę technikę w medycynie. W czasie skomplikowanych operacji chirurg może oglądać ciało pacjenta przez okulary, na które nakładany jest na żywo obraz z tomografu. Widzi więc zarówno położenie organu, do którego ma dotrzeć, jak i ruchy narzędzi. Zupełnie jakby ciało było przeźroczyste.

Tu ograniczeniem jest jedynie wyobraźnia. Trwają dziś prace nad szkłami kontaktowymi mogącymi wyświetlać obraz wprost na gałce ocznej. Takie urządzenie uwalnia rozszerzoną rzeczywistość od kolejnej uciążliwości - wystarczy spojrzeć na dany obiekt, by uzyskać wszelkie potrzebne (i niepotrzebne) informacje. Nie możesz sobie za nic przypomnieć, kim jest facet rzucający ci się w objęcia na ulicy? Proszę bardzo, obok jego sylwetki pojawia się zestaw informacji osobistych z Facebooka uzupełniony o datę i miejsce waszego ostatniego spotkania. Nawigacja samochodowa? Po co? Podajesz miejsce docelowe, a na jezdni przed tobą pojawia się gruba żółta linia prowadząca cię prosto do celu. Doprawdy trudno mieć dziś wątpliwości - rzeczywistość rozszerzy się wkrótce poza najodleglejsze granice naszej wyobraźni. •

* Film prezentujący tę funkcję: **bit.ly/YCdbR**



Kawiarnia Naukowa PRZEKRÓJ NAUKI

ZAPRASZA NA DYSKUSJĘ „GRAJ W EKONOMIĘ!"

Ekonomia może być prosta. Słyszysz czasem, że przetargi są nieuczciwe, ustawione i że znowu ktoś oszukał? Dlaczego tak się dzieje? Wyjaśnienie, które przedstawia ekonomia, jest nieco szokujące. Aby je zrozumieć, zapraszamy na prosty eksperyment ekonomiczny. Za pomocą talii kart, pudła oraz dużej dawki dobrego humoru wyjaśnimy to zjawisko. W programie: eksperyment około 45 minut, wykład 45 minut do godziny, pytania i dyskusja do utraty głosu przez prowadzącego
Wykonawcy: Dr Tomasz Kopczewski, Przemysław Kusztelak

Spotkanie Kawiarni Naukowej
18 października 2010 r. o godz. 18, Skwer - Filia Centrum Artystycznego „Fabryka Trzciny", ul. Krakowskie Przedmieście 60a

PRZEKRÓJ · UNIWERSYTET WARSZAWSKI · Skwer Filia Centrum Artystycznego Fabryka Trzciny

Efekt skali



Każda nowa planeta czyni nas coraz mniej samotnymi i wyjątkowymi

OLAF SZEWCZYK

Jak piski i szlochy pensjonarek na widok idola z boysbandu zabrzmiały peany astrofizyków na cześć planety Gliese 581g w gwiazdozbiorze Wagi. Poważni profesorowie zachowywali się tak, jakby im do gabinetów wpuszczono gaz rozweselający. Zapominając o żelaznej w nauce regule nieprzesądzania o niczym bez twardych dowodów, przekonywali z misjonarską siłą niewzruszonej wiary: tam jest/może być, bardzo być może!, życie. Profesor Steve Vogt, współodkrywca Gliese 581g, odleciał na rekordowo wysoką orbitę: - Biorąc pod uwagę niezwykłą zdolność życia do wegetacji, gdzie tylko się da, powiedziałbym, że szanse, iż na tej planecie jest życie, są stuprocentowe. Nie mam co do tego niemal żadnych wątpliwości.

Uroczy oksymoron.

Co sprawiło, że nobliwy badacz ciał niebieskich zaczął zachowywać się jak mały chłopiec? Dodajmy, że w tym przypadku etymologia użytego wobec Vogta przymiotnika „nobliwy" - jak najpewniej pokaże przyszłość (stawiamy na to euro przeciw północnokoreańskim wonom) - wskaże na słowo źródłowe „Nobel".

Ten amok łatwo zrozumieć. Gliese 581g to pierwsza „złotowłosa", którą wytropiliśmy. Mianem złotowłosej (ang. *goldilocks*) określa się planety potencjalnie płodne, przynajmniej według znanych kryteriów życia. Planeta musi zatem znajdować się w takiej odległości od swej gwiazdy, aby na jej powierzchni nie było ani za gorąco, ani za zimno. Najważniejszy warunek narodzin i podtrzymywania życia - możliwość występowania wody w stanie płynnym - Gliese 581g spełnia. Ma też wystarczająco dużą masę, by utrzymać atmosferę. Jeśli tylko nie jest zbudowana z pianki cukrowej lub kremu - zastrzega przytomnie Vogt - ale zapewnia pod stopami pewny grunt, teoretycznie mogłaby nam posłużyć za bazę kolonizacyjną.

Przynajmniej w strefie pasa na styku półkuli stale oświetlanej przez macierzystą gwiazdę i tej skrytej w wiecznym cieniu. Temperatura jest tam prawdopodobnie taka, że moglibyśmy chodzić w podkoszulkach. Oczywiście pod warunkiem, że mielibyśmy czym oddychać. A jeśli nie ma tlenu? Wyprodukujemy! - pohukują radośnie naukowcy, jakby terraformowanie planet było techniką tak oswojoną przez ludzkość jak garncarstwo. I jakby Gliese 581g dzieliły od Ziemi dwa dni podróży dyliżansem, a nie 20 lat świetlnych.

Ten entuzjazm pobrzmiewa ulgą. I nadzieją, że nie jesteśmy tak przerażająco samotni, jak się obawiamy. Od lat mozolnie poszerzając sferę poznania, odsuwaliśmy od siebie granice doczesnego świata. Przy tej pęczniejącej skali karleliśmy, coraz mniejsi i pośledniejsi, z centrum świata przesiedlani na zapadłe peryferia galaktyki. Wciąż jednak kultywowaliśmy poczucie swej wyjątkowości.

To złudzenie także kiedyś pryśnie. Najpierw przekonaliśmy się, że planety nie są fenomenem zaistniałym tylko na naszej prowincji. Dziś, po przyjrzeniu się zaledwie kilkuset globom, znaleźliśmy pierwszą „złotowłosą", więc planet ziemiopodobnych muszą być miliardy. Zakładanie, że tylko na naszej rozwinęło się życie rozumne, byłoby wyrazem naiwności lub pychy. •

FOT. Anna Bajorek

TEŻ PYTANIE

Kto pyta, nie błądzi. A my dalej szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

URSZULA DĄBROWSKA

1. Dlaczego chłodzi nas nawet ciepłe powietrze, jeśli wprawimy je w ruch, na przykład wiatrakiem?

Bo przyspiesza parowanie potu. W upalny dzień to właśnie pocenie się schładza organizm. Energia (czyli ciepło) potrzebna do przejścia wody ze stanu ciekłego w gazowy jest bardzo duża. Gruczoły potowe na ciele wydzielają mikrokropelki. Te, odparowując, zabierają ze sobą gorąco. Przy skórze tworzy się warstwa cieplejszego i bardziej wilgotnego powietrza, co spowalnia ten proces. Ale każdy powiew niszczy ową warstwę i ułatwia parowanie kolejnej porcji potu. Dlatego praca wiatraka w nagrzanym pomieszczeniu przynosi prawdziwą ulgę.

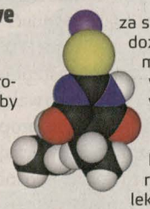




2. Dlaczego mokre włosy są ciemniejsze niż suche?

Ponieważ pochłaniają więcej światła. Podobnie dzieje się z mokrym piaskiem, papierem i mokrymi tkaninami. Woda zmienia kąt odbicia promieni świetlnych od włosów. Światło, zamiast po prostu paść na włos, zawrócić i trafić do naszego oka (tak dzieje się, gdy włosy są suche), błądzi i z każdym zderzeniem ze stałą powierzchnią traci część energii. Gdy w końcu uwolni się z tej pułapki i dotrze do siatkówki w naszych oczach, nie jest już takie silne. Dlatego jasne pukle blondynek wydają się co najwyżej brązowe.

3. Czy istnieje prawdziwe serum prawdy?



Który rząd, sąd lub zazdrosny kochanek nie chciałby mieć w swoim arsenale specyfiku wyciągającego z przesłuchiwanego skrywane informacje? Niestety [lub na szczęście, zależnie od optyki - przyp. red.] wynalezione do tej pory substancje nie są w stu procentach skuteczne. Przynajmniej te używane oficjalnie - kto wie, czym w tajemnicy dysponują armie rozwiniętych technologicznie krajów. Najbliżej ideału jest stosowany w anestezjologii tiopental. To właśnie ten specyfik uchodzi w wielu filmach za serum prawdy. Podany dożylnie obniża aktywność mózgu, jednocześnie wprowadza pacjenta w zrelaksowany i rozmowny nastrój. Wymyślanie kłamstwa jest dla umysłu bardziej wymagające niż referowanie prawdy, dlatego lekko otumanionej ofierze tiopentalu trudno jest świadomie zmyślać. To jednak nie znaczy, że mówi prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Zwykle papla, co ślina na język przyniesie: konfabuluje, opowiada swoje marzenia i fantazje. Naukowcy twierdzą, że właściwie niewiele różni się to od tego, co robi z nami kilka drinków w gronie znajomych.



Nagroda w tym tygodniu:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu" oraz **„Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego"** - wydawnictwo Znak; **Gary Marcus „Prowizorka w mózgu"** i **Richard E. Nisbett „Geografia myślenia"** - wydawnictwo Smak Słowa

FOT. Istock (2)

Sylwetka jak marzenie (ogra)

Jakie będą kobiety przyszłości? Niskie, krępe i dzieciate. Ewolucja szykuje paniom taką metamorfozę, jaką przeszła księżniczka Fiona, wybranka Shreka. Szczęście w nieszczęściu – przynajmniej nie staną się zielone

IRENA CIEŚLIŃSKA

Dyskusja o tym, czy ewolucja w przypadku człowieka wciąż działa, czy też wyzwoliliśmy się już z jej okowów, trwa wśród specjalistów od dłuższego czasu. Czy można mówić o selekcji naturalnej w sytuacji, gdy konstytucje większości krajów gwarantują obywatelom równy dostęp do opieki medycznej i wsparcie finansowe dla najmniej zaradnych? Przeżyją najsilniejsi? Najsprawniejsi? Wolne żarty!

Do współczesnego polowania na pożywienie (czytaj: pchania wózka w supermarkecie) nie potrzeba specjalnej siły, sprawności ani sprytu. Przeżywają i przekazują swoje geny kolejnym pokoleniom ludzie, którzy jeszcze 200 lat temu nie mieliby najmniejszych szans, by doczekać wieku, w którym zdołaliby stanąć na własnych nogach. Dziś problemem nie jest rozszczep podniebienia, stopy końsko-szpotawe ani wady serca, a z dziesiątkujących niegdyś maluchy chorób wieku dziecięcego – odry czy kokluszu – możemy się pośmiać.

Wielu antropologów sądzi, że ewolucja biologiczna – wojna genów – została zastąpiona przez ewolucję kulturalną; a więc to, co walczy obecnie o przetrwanie i jak najszerszą propagację, to nie geny, ale informacje, zwyczaje, ideologie, nasze ulubione melodie, sposoby przyrządzania potraw, ubierania się. Słowem – elementy kultury.



Doceńcie, panowie, posągową urodę swych dam, bo ewolucja ma w planach retusz kanonu piękna. Kobiety przyszłości będą mniej przypominać Cameron Diaz. Około roku 2400 **zyskają kilogram na wadze**. Rekompensata? Dłużej będą płodne

FOT. Everett Collection/East News

Darwin żyje!

Hola, nie tak szybko! Proszę nie pakować Darwina do lamusa – nawołuje Stephen Stearns, biolog ewolucyjny z Yale. Selekcja ze względu na doskonałość czy sprawność fizyczną, która sterowała naszą ewolucją w czasach, gdy ganialiśmy za mamutami albo zmagaliśmy się z długimi okresami głodu, dziś traci na znaczeniu, ale – przekonuje Stearns – pozostaje dobór płciowy związany z indywidualnymi zdolnościami prokreacyjnymi. „Higiena i opieka medyczna zmniejszają śmiertelność noworodków i dzieci, zwiększają indywidualne szanse na przeżycie, ale przecież nie znoszą ewolucji!" – pisze naukowiec na łamach „Nature".

Dla przykładu wyobraźmy sobie system opieki medycznej tak doskonały, że każdy, kto się urodzi, dożywa osiemdziesiątki. Mimo to wszyscy ci staruszkowie będą się różnić liczbą dzieci i wnuków i to te różnice napędzać będą mechanizm ewolucji. Koniec doboru naturalnego będziemy mogli odtrąbić wtedy, gdy wszyscy zaczną pozostawiać po sobie tyle samo potomstwa (pewne kroki w tym kierunku poczyniły Chiny ze swoją polityką jednego dziecka). Na razie ewolucja zmienia nasz gatunek, i to w sposób, który dla niejednego będzie potężnym zaskoczeniem.

Ewolucja lubi grube

W zeszłym roku zespół pod kierownictwem Stearnsa wziął pod lupę 2238 kobiet z Framingham w stanie Massachusetts w USA. W ramach długofalowego programu badania chorób serca od 1948 roku gromadzono tam wywiady medyczne dotyczące mieszkańców, więc obecnie istniejąca baza danych obejmuje już trzy pokolenia.

Cóż, nie jest to materiał sięgający czasów Adama i Ewy, ale dość rozległy, by zacząć wychwytywać pewne tendencje. Co się okazało? Otóż – o zgrozo! – ewolucja jest ślepa na kobiece wdzięki. Jeśli trendy, które zaobserwowali naukowcy, utrzymają się przez kolejnych kilkanaście pokoleń, gdzieś około roku 2400 panie będą średnio o dwa centymetry niższe i o blisko kilogram cięższe niż dziś. O dobre pięć miesięcy wcześniej będą też rodzić swe pierwsze dziecko i później przechodzić menopauzę – w sumie będą płodne o ponad rok dłużej niż obecnie.

Jak to możliwe? Dobór płciowy w końcu można podsumować hasłem „przetrwają najpiękniejsi". Dlaczego więc kobiety przyszłości mają być bardziej podobne do księżniczki Fiony po metamorfozie w panią ogrową niż do aktualnej miss Ameryki? Czyżbyście, panowie, byli dwulicowi? Jedne panie chętnie oglądacie i każecie im pozować do rozbieranych kalendarzy, a całkiem inne – wybaczcie szczerość – zapładniacie?

Nie do końca. Rzecz w tym, że tęższe kobiety mają więcej dzieci, bo tłuszcz pobudza powstawanie żeńskich hormonów (panowie, pomyślcie o tym, zanim ożłopiecie się piwem tak, że wyrosną wam cycki!), dlatego bardzo szczupłe panie rzadziej mają owulację. Te grubsze łatwiej więc zachodzą w ciążę, rodzą więcej dzieci niż ich eteryczne, wiotkie koleżanki. Więcej dzieci mają też ich córki. Tak właśnie „geny krępej baby" z pokolenia na pokolenie zdobywają coraz więcej pola.

Tylko Amerykanki czy wszystkie?

Oto jest pytanie. W końcu to, że obywatelki USA rosną wszerz, nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem. Do takich wniosków można dojść zapewne i bez dogłębnej analizy bazy danych obejmującej kilka powojennych pokoleń. Może to tylko specyfika Stanów Zjednoczonych? Sprawa lokalna, która wprawdzie powinna spędzać sen z powiek tym zza oceanu, ale nie dotyczy nas bezpośrednio?

Niestety nie. Niestrudzony Stearns nie spoczął na laurach i w „Nature Reviews" opublikował badania oparte na analizie blisko dwóch dziesiątek długoterminowych medycznych projektów badawczych, dla których sporządzano przez lata potężne bazy danych. Najmniejsza z nich gromadzi informacje o tysiącu osób, najobszerniejsze – te ze stanu Utah w USA oraz duńskie rejestry medyczne – dotyczą blisko ośmiu milionów pacjentów.

Wnioski? Wprawdzie w populacjach preindustrialnych (na przykład w afrykańskim Gambi) ewolucja sprzyja temu, żeby kobiety były wyższe, ale już dane ze wszystkich społeczeństw postindustrialnych wskazują przeciwny kierunek: wzrost pań w krajach rozwiniętych po obu stronach oceanu z pokolenia na pokolenie jest coraz bardziej mizerny. Wszędzie na świecie, niezależnie od stopnia zaawansowania technicznego, poszerza się okres zdolności reprodukcyjnych – kobiety wcześniej rodzą pierwsze dziecko i później przechodzą menopauzę. Dobre wiadomości? Ewolucyjne przybieranie na wadze daje się odczuć, choć nie tak silnie jak we wcześniejszych badaniach obejmujących wyłącznie Amerykę.

I na koniec naprawdę dobra wiadomość. Może nie będziemy piękne, ale na pewno zdrowsze. A właściwie zdrowsi, bo takie parametry jak poziom cholesterolu we krwi poprawia się u obu płci!

Ewolucja pożeraczy frytek

Matka natura rękami ewolucji robi, co może, by przystosować nasze ciała do niezdrowego trybu życia, jaki prowadzimy, oraz naszego fatalnego sposobu odżywiania się. Zmienia nasze szlaki metaboliczne, by nie pozwolić nam zapychać sobie żył własnym tłuszczem; promuje tych, którzy mają niższe ciśnienie krwi i poziom cholesterolu tak, że te dwa wskaźniki z pokolenia na pokolenie poprawiają się (mimo naszych prywatnych starań, by trzymać je na jak najwyższym, niebezpiecznym dla życia poziomie).

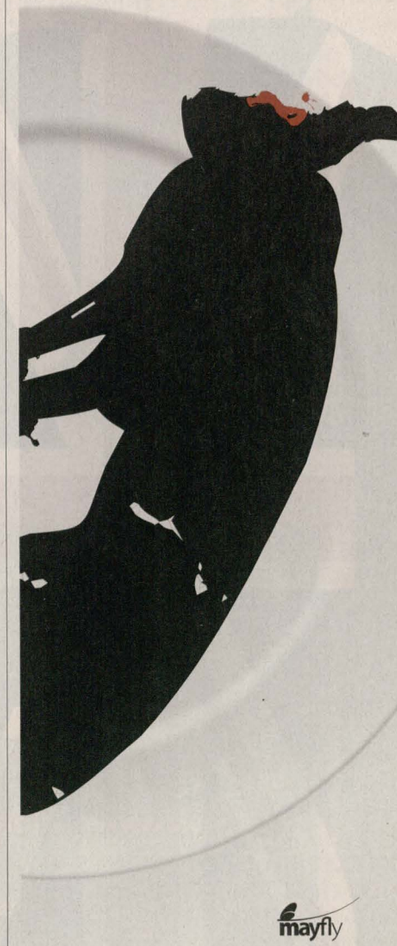
Niestety, zmiany, jakie może wprowadzić ewolucja, zachodzą dużo wolniej od tych, które w swoje życie wprowadzamy sami. Nie liczcie więc na to, że w ciągu tych kilkudziesięciu lat, które wam pozostały, natura sama poradzi sobie z uwielbieniem dla frytek, papierosów i siedzenia za biurkiem. Natomiast jeśli nie weźmiecie się w garść, możecie pewnego dnia zostać przez ewolucję poświęceni w imię poprawy garnituru genetycznego przyszłych pokoleń. A wam ostanie się co najwyżej pośmiertna Nagroda Darwina na pocieszenie. •

Nasza sperma ma wysokie wyniki SAT

Po tym jak medycyna mniej więcej wyrównała nasze szanse na przeżycie, ostatnim bastionem ewolucji pozostaje rozrodczość – twierdzi Stephen Stearns. Ale przecież i tutaj służba zdrowia nie powiedziała ostatniego słowa. 90 procent dawców nasienia w Ameryce to studenci. Są młodzi, witalni i inteligentni (czego jeszcze mogą chcieć dla swych dzieci przyszłe mamy?), a kliniki płacą im za spermę, czyli za masturbację. Układ, przyznajmy, wręcz wymarzony. „Trudno mi związać koniec z końcem, kasy nie starcza ani na mieszkanie, ani na jedzenie, więc sami rozumiecie. Odkąd to odkryłem, w końcu odetchnąłem, płacą mi 40 baksów za strzał" – pisze na swoim blogu jeden z magistrantów na uniwersytecie w Oregonie. Jak twierdzi, przy odrobinie samozaparcia jest w stanie zarobić w ten sposób do sześciu tysięcy dolarów rocznie. Ta fucha paradoksalnie mobilizuje do nauki, bo banki biorą spermę tylko od tych, którzy mają obiecujące wyniki z testów semestralnych. Podobna tendencja jest zauważalna w ogłoszeniach klinik czy prywatnych osób poszukujących dawczyń jajeczek. Cena za jajeczko wyprodukowane przez studentkę wzrasta o cztery tysiące dolarów za każde sto punktów uzyskanych z testów SAT (odpowiednik polskiej matury, najwyższy możliwy wynik to 2400). Tak więc techniki wspomaganego rozrodu (zapłodnienie in vitro, sztuczna inseminacja, a w przyszłości klonowanie) mogą jeszcze sporo namieszać w ewolucji człowieka.

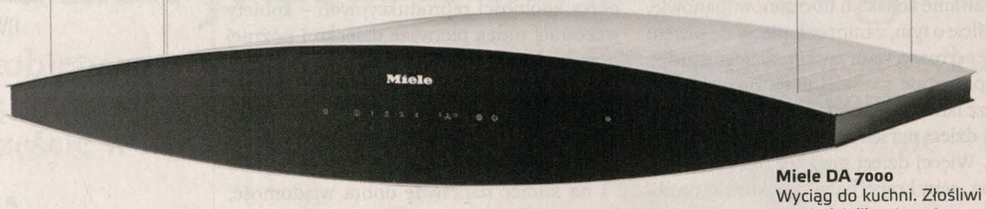
REKLAMA

Polański. Wstręt. Matnia.
DVD 8 października.



mayfly

KORZYSTAJ



Miele DA 7000
Wyciąg do kuchni. Złośliwi powiedzieliby, że też do portfela, ale czy świetny filtr pracujący w zamkniętym obiegu powietrza nie jest wart taaakiej ceny? Około 13 000 zł

O, kuchnia!

Ferrari? Brylantowe kolie? Ekskluzywne rauty? Epatowanie luksusem jest passé. Dziś nie byle kto powinien mieć bogate wnętrze. Na przykład kuchni (ależ nie, wcale nie ociekamy sarkazmem!)



Smeg FAB 28 RUJ
Dla miłośników lat 50. i Anglii. Mały Johnny (Lennon) i Paul (McCartney) wyciągali pewnie z podobnych lodówek mleko. 5000 zł

Whirlpool JT 359 IX
Kuchenka mikrofalowa ze zmyślnym systemem Szósty Zmysł. Wykrywa rodzaj karmy (oby dobrej)! 1500 zł



Siemens EQ7 Z series
Ekspres do kawy. Znający sposób na spienianie mleka, o jakim inne ekspresy nie słyszały. 5000 zł

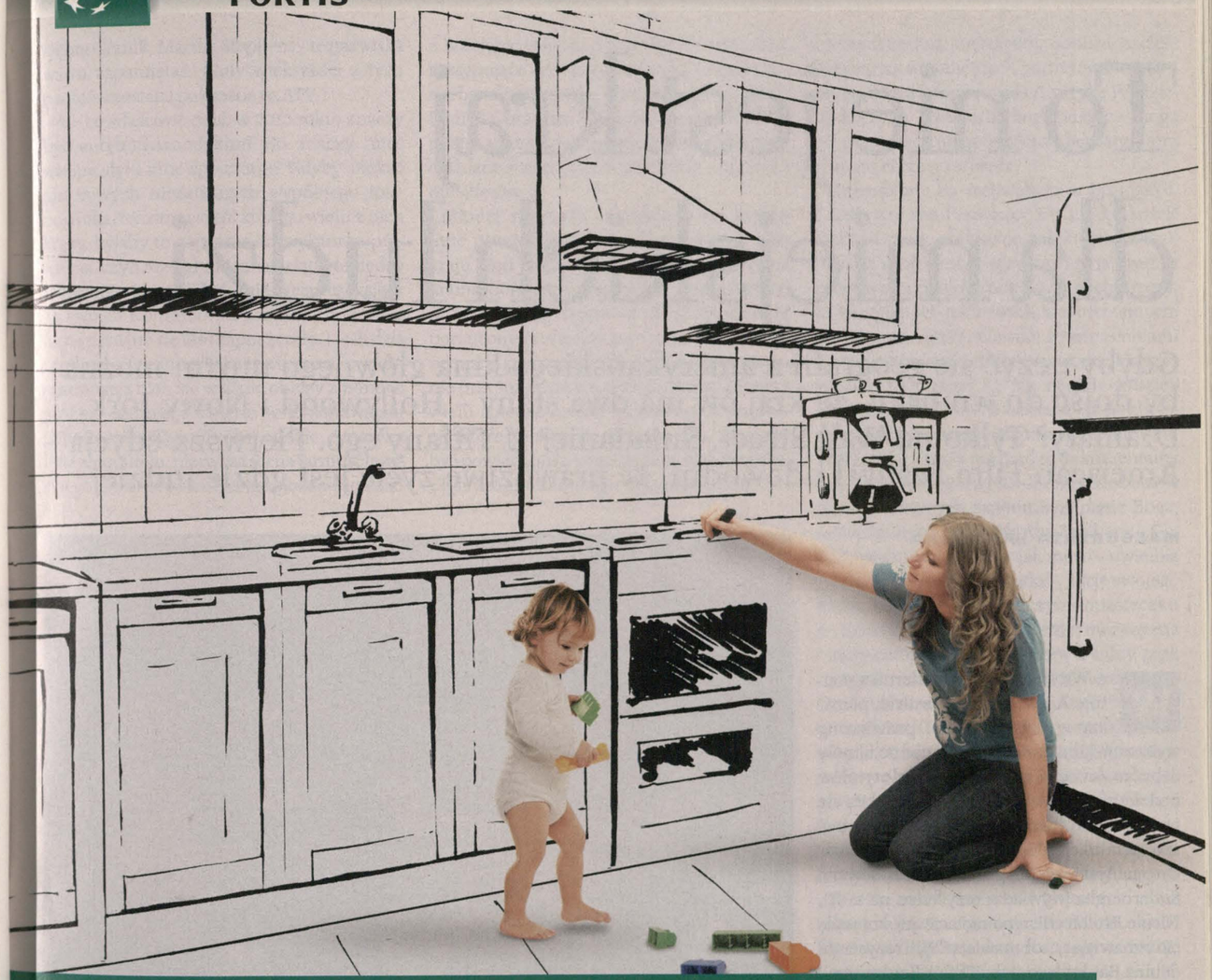


Kenwood Cooking Chef
Robot wielozczynnościowy, nie bez przyczyny nazwany szefem kuchni. Przerażająco omnipotentny – do tego stopnia, że kucharz białkowy, niedoskonale ludzki, staje się właściwie zbędny. Czy też zredukowany do roli podajnika składników potrawy.
Już suchy opis jego właściwości przyprawia o dreszcze: „Wielofunkcyjny robot planetarny wyposażony w płytę indukcyjną. Miesza, ubija i wyrabia, szatkuje, kroi i rozdrabnia". Nie nas – dla nas i za nas, ale aż strach się bać. To owa groźnie brzmiąca płyta indukcyjna jest tą bronią, dzięki której Cooking Chef dominuje w kuchni. Pozwala na gotowanie w zakresie temperatur od 20 do 140 stopni Celsjusza. Miesza, gotując, gotuje, mieszając. 4999 zł



fot. Materiały prasowe (5)

BNP PARIBAS FORTIS | Bank zmieniającego się świata



Zrealizuj swój plan
z kredytem gotówkowym **9,9%**

Znudził Ci się kolor sypialni? Marzysz o nowej kuchni? A co powiesz na telewizor 3D? Niektórych planów nie warto odkładać. Przyjdź do BNP Paribas Fortis i przekonaj się, jak atrakcyjna jest nasza oferta kredytowa:

| oprocentowanie tylko 9,9% | 0% prowizji | do 5 lat kredytowania

Odwiedź jeden z 230 oddziałów, zadzwoń: 801 322 322, sprawdź: www.bnpparibasfortis.pl

BNP Paribas Fortis jest marką, pod którą Fortis Bank Polska SA, należący do grupy kapitałowej BNP Paribas, oferuje swoje produkty i usługi. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania dla kredytu w wysokości 10 000 zł, udzielonego na 60 miesięcy, oprocentowanego nominalnie 9,9% – na dzień 06.09.2010 wynosi 10,26%. Oferta ważna dla osób pozostających w związkach małżeńskich lub zarabiających powyżej 2 000 zł netto

To nie jest kraj dla miejskich ludzi

Gdyby uczyć się geografii z amerykańskiego kina głównego nurtu, można by dojść do wniosku, że kraj ów ma dwa stany – Hollywood i Nowy Jork. Dramaty? Tylko na Wall Street. Śniadanie? U Tiffany'ego. Pierwsza edycja American Film Festival udowodni, że prawdziwe życie jest gdzie indziej

MAŁGORZATA SADOWSKA

We Wrocławiu 20 października startuje American Film Festival, pierwszy w Polsce festiwal poświęcony wyłącznie kinu zza oceanu. Ponad 70 filmów zebrano w dziewięciu sekcjach, wiele tytułów będzie miało tu swoje nie tylko polskie, ale i europejskie premiery. Obejrzycie najnowsze produkcje Michaela Winterbottoma, Gregga Arakiego, Michaela Moore'a, Stevena Soderbergha (wywiad z reżyserem na s. 55), Nicole Holofcener (pamiętacie jej komedię „Rozmawiając, obmawiając"?), reżyserski debiut Banksy'ego (tak, TEGO Banksy'ego). AFF pokaże klasyki amerykańskiego kina, zaprezentuje arcyciekawe dokumenty (nie przegapcie kapitalnego „Skandalisty George'a Lucasa" o konflikcie między twórcą „Gwiezdnych wojen" a ich fanami!). Ale 1. AFF przede wszystkim koncentruje się na kinie spoza mainstreamu.

Bohaterem tegorocznej retrospektywy jest John Cassavetes. Sekcja „Dekada niezależnych" przypomni ostatnie dokonania między innymi Spike'a Jonze'a, Todda Solondza, Wesa Andersona, Jima Jarmuscha i Gusa Van Santa. A najważniejsza sekcja, konkurs Spectrum, objawi zupełnie nowe pokolenie oryginalnych amerykańskich filmowców działających poza wielkimi studiami. Kelly Reichardt, Alistair Banks Griffin, Courtney Hunt, Lance Hammer, Lee Isaac Chung, Ramin Bahrani, Debra Granik, Martha Stephens – te nazwiska warto zapamiętać, filmy większości z tych twórców zostaną pokazane na AFF.



fot. Paper Cookie

Postindustrialny pejzaż górniczego miasteczka w Kentucky. **„Gołębie pocztowe"** pokazują świat, w którym skończyła się prosperity, a razem z nią marzenia o lepszej przyszłości

Ale co właściwie dziś, w 2010 roku, znaczy być antyhollywoodzkim? Co znaczy mieć własny styl i inne spojrzenie? Gdyby szukać dla nowych niezależnych wspólnego mianownika, tematu, wokół którego wielu z nich krąży, byłaby to zapewne amerykańska prowincja, czyli rozległy, nieznany ląd pomiędzy Nowym Jorkiem a Kalifornią, wciąż czekający na swoich Kolumbów z kamerą, choć rzecz jasna paru już się tam zapuszczało. I jeśli dziś myślimy o tej „innej" Ameryce, przed oczami przesuwają nam się właśnie obrazy z filmów: groźnie szumiące świerki w Lynchowskim „Miasteczku Twin Peaks", gdzie Ameryka była złym snem, pierwsza scena Jarmuschowskiego „Poza prawem": czarno-białe widoczki z Luizjany; ciąg szeregowców, boczne ulice, rozsypujące się domy. Ameryka nieefektowna, banalna, dziwna. Wreszcie „Moje własne Idaho" Gusa Van Santa: rozgrzane słońcem puste autostrady, squaty, podrzędne bary oglądane w narkotykowym widzie – Ameryka outsiderów.

Młodzi reżyserzy wysyłają nam jeszcze inne pocztówki ze swoich podróży w głąb kraju. Ich Stany Zjednoczone są smutną krainą ponurych miasteczek pełnych blizn po kopalniach; zagraconych tanich domów, porzuconych rdzewiejących aut, pulsujących neonami podrzędnych moteli, ludzi, którym nie przyśni się żaden *american dream*. Mottem wielu amerykańskich niezależnych produkcji, które zobaczycie na festiwalu, mogłoby być powiedzonko naszego Jana Himilsbacha: „Tyle dróg porobili, a nie ma dokąd pójść".



fot. Everett/East News

Ameryka wsi zabitych dechami – **„Do szpiku kości"** portretuje brzydką stronę kraju



fot. Almond Tree Films

Delektuj się chwilą, ciesz się ludźmi, bo wszystko kiedyś utracisz, przekonuje **„Szczęśliwe życie"**

Zjednoczone stany smutku

Późna jesień, Ozark, Missouri, 17-latka zabiera swoje kilkuletnie rodzeństwo za dom. Rozstawia na desce puste butelki i puszki. Ma ze sobą dwie strzelby – nauczy siostrę i brata strzelać. W tym świecie to najważniejsza lekcja. Rozejrzyj się, a zrozumiesz dlaczego. Chaotycznie porozrzucane wśród gęstych lasów prowizoryczne chaty nie tworzą nawet zalążka osady. Wokół nich rdzewieją wraki aut, gniją wywleczone na dwór stare kanapy, walają się zepsute lodówki, zabawki, graty, bure koszule schną na sznurach. Zniszczeni metamfetaminą mężczyźni, ponure, zacięte kobiety jak z pamiętnych portretów Dorothei Lange, która fotografowała Amerykę Wielkiego Kryzysu. Uważaj, do kogo pukasz – mogą cię przywitać kubkiem gorącej herbaty, którą chlusną ci prosto w twarz.

Nagrodzone na festiwalach w Sundance, Seattle czy San Francisco „Do szpiku kości" Debry Granik portretuje zamkniętą, odizolowaną społeczność egzystującą na granicy przetrwania na głębokich peryferiach Ameryki. Nie tylko geograficznych, ale i mentalnych. Tu nikt nie ogląda telewizji z doniesieniami o kryzysie i wojnie, mimo to i wojna, i kryzys właśnie tu obecne są jak nigdzie indziej. Jedynym sposobem na ucieczkę od świata totalnie pozbawionego perspektyw jest bowiem armia. Film Granik ma bardzo dokumentalny rys, charakterystyczny też dla innych obrazów przedstawiających zapomnianą przez Boga, ludzi i kino Amerykę. Martha Stephens („Gołębie pocztowe"), która – jak mówi – uwielbia „połączenie piękna i smutku", akcję swojego filmu osadziła w górniczym miasteczku w Kentucky. W jednej scenie mężczyzna i mały chłopiec wędrują przez lokalny park rozrywki między potężnymi, tandetnymi figurami dinozaurów. Oto „Park Jurajski" początków XXI wieku: zryte przez kopalnię góry, postindustrialny pejzaż, w którym przemysłowe budynki wyglądają jak zabawki porzucone przez kapitalistów, którzy dziś bawią się inaczej i gdzie indziej. Czasy prosperity się skończyły, lokalna społeczność skazana jest na wymarcie. Nic więcej już się nie wydarzy.

Zresztą młode reżyserki (a jest ich coraz więcej, laureatka Oscara za „The Hurt Locker" Karthryn Bigelow doczekała się wreszcie następczyń) programowo wybierają „nicniedzianie", ostentacyjny zwrot od akcji do obserwacji; minimum dialogów (banalnych, rzecz jasna), paradokumentalną surowość, demonstracyjną zwyczajność miejsc i twarzy, które pokazują. W sercu Ameryki istnienie Toma Cruise'a czy Angeliny Jolie jest taką samą abstrakcją jak w sercu Europy Wschodniej.

Zjednoczone stany poezji

Niezależne, absolutnie antyhollywoodzkie kino można robić jeszcze według innych, subtelniejszych wzorów. Po nie właśnie sięgnęli Lee Isaac Chung, twórca „Szczęśliwego życia", czy Alistair Banks Griffin, autor „Dwóch bram snu". To już kino bardzo wsobne, skrajnie intymne, gdzie pejzaże, natura, ucieczka na prowincję stają się metaforą emocji i duchowych przeżyć. Jeśli ci reżyserzy →



FOT. Photon2/BE&W

W filmach Jarmuscha (**„Poza prawem"**) Ameryka była krajem, w którym wciąż możliwa jest włóczęga

uczyli się od starszych kolegów, to nie od Jarmuscha czy Solondza, ale od jednego z największych wizjonerów amerykańskiego kina – Terrence'a Malicka („Cienka czerwona linia"), a przede wszystkim od Węgra Béli Tarra („Szatańskie tango"), Rosjanina Andrieja Tarkowskiego („Zwierciadło") czy Irańczyka Abbasa Kiarostamiego („Smak wiśni").

– Jestem wielkim fanem filmów, w których natura odgrywa znaczącą rolę. Wydaje mi się, że może ona zmienić człowieka, czasem bardzo gwałtownie, czasem przynosząc nową perspektywę – mówi Lee Isaac Chung, twórca „Szczęśliwego życia" (w polskich kinach gościło jego nagradzane „Munyurangabo"). I „Szczęśliwe życie", które zabiera nas nad ocean w Karolinie Północnej, i „Dwie bramy snu", w których zanurzamy się w dzikie ostępy Missisipi, to filmowe wiersze, a nie realistyczna proza, jak opowieści Granik czy Stephens. Oba podejmują temat śmierci i konfrontacji ze stratą, oba są wizualnie wypieszczone, w obu spotkanie z dziką naturą jest zetknięciem się z metafizyczną stroną świata. I Chung, i Griffin (były student krakowskiej ASP) rezygnują z tradycyjnej narracji na rzecz nastroju, w filmie i w życiu namiętnie szukając poezji. Jeśli we Wrocławiu będziecie chcieli pomedytować i pooddychać zupełnie innym kinem, nie przegapcie „Dwóch bram snu" i „Szczęśliwego życia".

Zjednoczone stany strachu

Do dziś mam ciarki, gdy oglądam „Deliverance", pamiętny thriller Johna Boormana z 1972 roku. Czterech biznesmenów z Atlanty w poszukiwaniu męskiej przygody zapuszcza się w dzikie rejony Georgii, by spłynąć canoe, spać w namiotach, łowić ryby. Wyprawa przeradza się w koszmar: brutalny gwałt, morderstwo, przypadkowa śmierć i tajemnica, która zaciąży na reszcie życia tych, którzy przy nim pozostali. Tak, ten film nie tylko pokazał dzikie oblicze Ameryki (wszak spotkanie z naturą było też spotkaniem z naturą ludzką w jej najprymitywniejszych przejawach) i skutecznie zniechęcał do biwakowania, ale też zapoczątkował falę niezależnych horrorów z serii „nie wchodzić do lasu". „Teksańska masakra piłą mechaniczną" (1973), „Wzgórza mają oczy" (1977), „Piątek 13" (1980) czy „Dzieci kukurydzy" (1984) – człowiek mógł być pewien, że jak tylko ruszy się z miasta, by znaleźć się w pięknych (i niepowtarzalnych) okolicznościach przyrody, zostanie porwany przez oszalałe dzieci, oskalpowany na najbliższej farmie zamieszkanej przez psychopatów (w końcu kto normalny chciałby mieszkać na wsi), wypatroszony niczym okoń w domku nad jeziorem, a ostatnie dni urlopu zepsują mu mutanty, twory eksperymentów z bronią jądrową, błąkające się po pustyni.

Vincent D'Onofrio (znacie go na pewno z „Full Metal Jacket") za niewielkie pieniądze na swojej farmie pod Nowym Jorkiem nakręcił film, który nawiązuje do tamtych klasycznych opowieści. To przedziwna hybryda: komedia, horror i musical w jednym. Bohaterami „Nie wchodzić do lasu" są chłopcy z niezależnej kapeli, którzy na łonie natury chcą podszlifować warsztat i napisać nowe piosenki. Niestety, nawet w najdzikszych ostępach znajdują dziewczyny gotowe, by zostać grouppies. Zepsutą młodzież ktoś obserwuje zza zarośli, i to on przy wtórze piosenek będzie srogo karał niegrzeczne dzieciaki. „Nie wchodzić do lasu" to żart z filmowej konwencji i trochę też z subkultury emo, jedna z bardziej rozrywkowych produkcji, które znajdziecie w programie tegorocznego AFF.

***

A jak już wyjdziecie z kina, odetchnijcie głęboko spalinami, przy wtórze klaksonów przebiegnijcie przez jezdnię na czerwonym świetle, zanurzcie się w hałas i papierosowy dym jakiejś kawiarni i przy jednym uchu trzymając telefon, a drugim słuchając rozmów znajomych, pomyślcie sobie: jak to cudownie, że jestem w mieście. •

Wszystkie stany kina

american film festival
20–24.10.2010
wrocław

Więcej na **www.americanfilmfestival.pl**

SEKCJE 1. AMERICAN FILM FESTIVAL:

Highlights: „Kaboom" Gregga Arakiego i „Morderca we mnie" to najważniejsze filmy sekcji. Ten pierwszy jest erotycznym s.f., ten drugi thrillerem rozgrywającym się na prowincji.

Pokazy specjalne: Ich hitem jest niewątpliwie „Wyjście przez sklep z pamiątkami", prowokacyjny dokument Banksy'ego o street art.

Spectrum – konkurs: Nowe filmy, nowi reżyserzy; poza tymi, o których piszemy powyżej, zwróćcie uwagę na Lenę Dunham i jej „Mebelki".

American Docs: A w niej między innymi „Amerykańscy mistycy", to rzecz o religijnych poszukiwaczach, czy „Dwóch Escobarów" – film splatający historie piłkarza, bossa narkotykowego w opowieści o polityce, sporcie i pieniądzach. Poza tym filmy Stevena Soderbergha i Michaela Moore'a.

On the Edge: między innymi „NY Export: Opus Jazz", „Double Tide", „Iskra Boża" – filmy, które spodobają się fanom nowohoryzontowego kina.

Retrospektywa: John Cassavetes: między innymi „Twarze" i „Kobieta pod presją".

Dekada niezależnych
Filmy Darrena Aronofskiego, Jima Jarmuscha, Wesa Andersona, Gusa Van Santa i innych.

Zagraj to jeszcze raz, Sam: klasyka – od „Przeminęło z wiatrem" do „Amadeusza".

Spectrum – poza konkursem. W tej sekcji zobaczycie między innymi „After.Live" naszej rodaczki Agnieszki Wójtowicz-Vosloo z Christiną Ricci i „Drogę" Johna Hillcoata zrealizowaną na podstawie powieści Cormaka McCarthy'ego.

1. AFF organizuje Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. „Przekrój", patron festiwalu, zaprasza w czwartek 21 października na debatę „W kinie czy na laptopie? Jak będziemy oglądać filmy – przyszłość dystrybucji" (klub Szajba, ul. Św. Antoniego 2/4, godzina 17).

Oczekuję niespodzianek

Komu szkodzą piraci, jakiego losu chciałby uniknąć i po czym poznać prawdziwego wodza – opowiada twórca „Traffic" i „Ocean's Eleven" **STEVEN SODERBERGH**. Jego najnowszy film „And Everything Is Going Fine" zobaczycie podczas American Film Festival

ROZMAWIA **KAMILA SŁAWIŃSKA**



FOT. Nicolas Guerin/Corbis

47-letni Steven Soderbergh to już weteran kina. Swoją **pierwszą Złotą Palmę otrzymał jako 26-latek**

Dokument „And Everything Is Going Fine" to kronika życia i śmierci Spaldinga Graya – nowojorskiego aktora, autora monologów i pisarza, z którym Soderbergh przyjaźnił się wiele lat. Gray cierpiał na depresję, która nasiliła się po wypadku samochodowym podczas wakacji w Irlandii. W styczniu 2004 roku wyszedł z domu i przepadł, kilka tygodni później jego ciało znaleziono na brzegu East River.

Dlaczego zrobił pan film o Spaldingu Grayu?

– Z nietypowych, bo osobistych powodów. Czułem, że muszę nakręcić o nim film, bo po jego fatalnym wypadku nie zachowałem się jak przyjaciel ani wobec niego, ani wobec jego żony Kathy. Wycofałem się z kontaktów, choć do dziś nie wiem dlaczego. Może miałem przeczucie, że wydarzy się coś strasznego, i po prostu nie chciałem w tym uczestniczyć? Kiedy po śmierci Spaldinga Kathy przyszła do mnie i powiedziała, że powinniśmy coś zrobić, natychmiast się zgodziłem. Ironią losu jest, że pracując nad filmem, spędziłem więcej czasu zanurzony w tej strasznej emocjonalnej atmosferze, od której próbowałem uciec, niż gdybym był wtedy z nimi.

Czy to prawda, że miał pan aż 90 godzin materiału?

– Udało nam się dostać materiały od dokumentalistki Barbary Kopple. Przyjaźnili się, więc miała okazję filmować go w najbardziej intymnych sytuacjach – część tych nagrań nie była dotąd pokazywana. Miałem do dyspozycji wiele intymnych ujęć; na przykład to, w którym Spalding opowiada, jak zamierza popełnić samobójstwo, i nagle do pokoju wchodzi Kathy... Straszne. Postanowiłem jednak nie włączać tego do filmu, uznałem, że to za wiele; publiczność byłaby tak zdruzgotana, że film straciłby proporcje – a mnie zależało na tym, by widzowie docenili cały dorobek Spaldinga.

Od początku wiedział pan, że film powinien być oszczędny?

– Miałem długą listę rzeczy, których nie chciałem robić – nie chciałem robić wywiadów, nie chciałem kręcić widoczków z Barrington w stanie Rhode Island [gdzie Gray się wychował – przyp. red.] ani reportażu z Irlandii, z miejsca, w którym był wypadek. Nie chciałem powielać chwytów, jakie widuje się w dokumentach. Uznałem, że najlepiej, jeśli to on sam będzie mówił. Razem z montażystką Susan Littenberg uporządkowaliśmy materiał tematycznie, a potem staraliśmy się go skondensować – z sześciu godzin do czterech, potem do dwóch i pół, potem do 90 minut... W sumie praca nad „Everything Is Going Fine" zajęła prawie trzy lata.

Czy w ogóle interesuje pana dokument jako gatunek filmowy?

– Jestem zadowolony z filmu, ale zdaję sobie sprawę, że nie jestem w stanie konkurować z takimi reżyserami jak Errol Morris, Barbara Kopple czy Alex Gibney. Dlatego temat dokumentu jest dla mnie wyczerpany.

Pana poprzedni film, „Girlfriend Experience", oglądało się prawie jak dokument – może dlatego, że pracował pan z naturszczykami?

– To był rodzaj fabularyzowanego dokumentu. Cała przyjemność współpracy z amatorami polega na tym, że nigdy się nie wie, co uda się wydobyć z aktorów danego dnia. W „Girlfriend Experience" była na przykład scena, w której Chris, trener, prowadzi nieprzyjemną rozmowę ze swoim szefem. Okazało się, że osoby biorące w tej scenie udział, kiedyś na-

→ prawdę razem pracowały i nie układało im się najlepiej... Więc zanim zaczęliśmy kręcić, powiedziałem Billowi grającemu szefa: „Słuchaj, jeśli jest coś, co zawsze chciałeś wygarnąć Chrisowi prosto w oczy, to teraz masz okazję". I obaj zagrali znakomicie!

Pracując z kolei z gwiazdami, często powierza im pan role zaskakujące w kontekście tego, co zazwyczaj grają – nikt inny nie obsadziłby George'a Clooneya w „Solaris" ani nie wybrałby Matta Damona na bohatera „Intryganta!".

– Obsadzanie gwiazd w nietypowych rolach bywa ryzykowne, bo ludzie nie chcą oglądać swoich ulubieńców robiących coś dziwnego. Martwiłem się więc o „Erin Brockovich", gdzie Julia Roberts wciela się w postać, która nie zawsze jest miła i czasem przeklina. Wiele osób miało problem z Damonem i „Intrygantem!", choć zagrał znakomicie. Trzeba więc uważać, by widzowie nie wkurzyli się za bardzo.

Sam pan zagrał dwie role w „Schizopolis". Chciałby pan czasem pobawić się w aktorstwo?

– Raczej nie, chociaż ostatnio Clooney skończył pracę nad filmem w reżyserii Alexandra Payne'a, który powiedział mu: „Chciałbym, żebyś wyreżyserował film, w którym gralibyśmy ja i Steven, i w którym mielibyśmy konkurować o względy tej samej kobiety granej przez Catherine Zeta-Jones". Nie mam pojęcia, skąd przyszedł mu do głowy ten pomysł... Główny powód, dla którego raczej nie chciałbym już uprawiać aktorstwa, jest taki, że nie chcę być zaczepiany na ulicy. Z tego samego powodu unikam jak ognia występów w telewizji. Anonimowość jest dla mnie bardzo ważna, szczególnie że znam ludzi, którzy nie mogą nawet wyjść do sklepu, bo nieustannie ścigają ich paparazzi. Oni żyją jak w więzieniu, to naprawdę koszmarne. Postanowiłem więc, że zrobię, co mogę, by uniknąć takiego losu.

Nawet w Nowym Jorku nikt pana nie rozpoznaje na ulicy?

– Na całe szczęście w Nowym Jorku jest milion facetów, którzy wyglądają identycznie jak ja, a już szczególnie w tej dzielnicy, w Chelsea...

Zrobił pan wiele filmów na tematy polityczne. Czy sądzi pan, że kino może wpływać na rzeczywistość?

– Kiedyś miało znaczenie, mogło coś zmienić, ale teraz już tak nie jest. Czy faktycznie to coś da, jeśli będzie się robiło więcej dokumentów o sytuacji w Sudanie? Zresztą nie chodzi tylko o filmy. Czy dzieła zebrane Szekspira zdołały zapobiec Holocaustowi? Sztuka nie służy do tego, by zmieniać świat.

Do czego w takim razie służy?

– Jej jedyna trwała wartość polega na tym, że obcując z nią, człowiek czuje, że nie jest sam. To jedyny moment, w którym cichnie groza samotności, gdy możemy przez sekundę poczuć, że jest ktoś, kto czuje i myśli podobnie jak my.

Uważa pan, że urodził się filmowcem?

– Nie. W dużym stopniu jestem ukształtowany przez moich rodziców. Bardzo się różnili, ich małżeństwo okazało się trudne i nieudane, ale obojgu wiele zawdzięczam. Umieli rysować, więc i ja nauczyłem się rysunku. Ojciec oglądał masę filmów, na wiele z nich mnie zabierał, pisał o nich. Był profesorem uniwersytetu, więc nieustannie coś czytał albo pisał, więc zacząłem robić to samo. Nauczyłem się też podstaw sztuki filmowej. A matka... Ciekawa postać... Nie potrafiła chodzić do zwykłej pracy jak inni ludzie. Rodzice reprezentowali pewnego rodzaju skrajności, na obu skorzystałem. Potrafię jak ojciec skon-

> *Moje najlepsze filmy to te, które zrobiłem, podchodząc do nich jak do sportu. Lubię pracować szybko*
>
> STEVEN SODERBERGH

centrować się na jednej rzeczy – ale po matce mam skłonność do robienia wszystkiego po swojemu.

Uważa się pan za perfekcjonistę?

– Skądże! Perfekcjonistą to jest David Fincher! Pracując nad thrillerem „Haywire", który właśnie skończyłem, wynajmowałem studio montażowe w budynku, w którym jest jego biuro. Kiedyś jeden z asystentów Finchera pokazał mi na stole montażowym materiał z ich jednego dnia zdjęciowego – 25 różnych ujęć sceny, w której ktoś przebiega z jednej strony kadru na drugą... Niesamowite, ile on kręci. U niego wszystko musi być idealne – jeśli nie jest, dostaje obłędu. Mnie zależy tylko na tym, żeby było dobrze, a nie perfekcyjnie. On wszystko robi sam, ja dzielę się odpowiedzialnością ze współpracownikami.

Z drugiej strony są rzeczy, które lubi pan robić sam – na przykład zdjęcia. Zwłaszcza od czasu, gdy dostał pan do ręki nowoczesną kamerę RED.

– RED to spełnienie moich marzeń, długo czekałem na pojawienie się takiego sprzętu. Obraz jest piękny, obsługa prosta, a poza tym nigdy nie muszę wypuszczać z ręki raz nakręconego materiału – nie ma potrzeby wysyłać go do laboratorium, nawet korekcję barwną może wykonać asystent pracujący w sąsiednim pomieszczeniu. W ten sposób ograniczam do minimum liczbę osób mających kontakt z materiałem. Lubię zajmować się techniką, bo zaczynałem pracę w filmie od czysto technicznych rzeczy: przeszedłem szkolenie w ciemni, nauczyłem się tradycyjnej fotografii. Kiedy robiliśmy „Traffic", zorientowałem się, że konieczność prowadzenia rozmów z operatorami spowalnia moją pracę. Doszedłem do wniosku, że jestem skłonny zrezygnować ze współpracy z najlepszymi operatorami świata, by utrzymać tempo, które mi odpowiada. Gdy pracuję szybko, wszystko lepiej mi wychodzi. Moje najlepsze filmy to te, które zrobiłem, podchodząc do nich jak do sportu. Jeśli da mi się czas, żebym coś przekombinował, z pewnością tak zrobię. Dlatego staram się realizować kilka projektów równocześnie – to mi pomaga powstrzymać się przed zaduszeniem każdego z nich.

Ma pan zasady, których zawsze trzyma się pan przy pracy?

– Owszem, dwie: nie panikować i nigdy się nie poddawać. Co nie znaczy, że nie zdarzyło mi się na planie wpaść w panikę i nie wiedzieć co dalej. Strach i dobre pomysły nie idą w parze. Czasami trzeba więc przestać kombinować, a odpowiedzi się znajdą, jeśli tylko człowiek słucha. Kiedyś mieliśmy problem ze sceną z udziałem dwóch aktorów. W takich wypadkach mam gotową listę pytań, które pomagają mi ustalić, co jest nie tak. Zastanawiałem się więc: może tekst jest zły? Ale nie, dialog był w porządku. Aktorzy? Nie, aktorzy też OK. W końcu powiedziałem ekipie: „Zróbmy przerwę, muszę chwilę pomyśleć". Poszedłem do toalety i tam spotkałem jednego z aktorów. Zaczęliśmy rozmawiać o scenie i nagle mnie olśniło, że to miejsce psuło efekt! Powinniśmy kręcić w kiblu, a nie w biurze! Zrobiliśmy to i wyszło jak trzeba.

Zawsze był pan taki elastyczny?

– Przy pierwszych czterech filmach próbowałem wszystko kontrolować, ale zrozumiałem, że to, co robię, nie jest tak dobre, jak mogłoby być, a w dodatku nie bawię się dobrze. Postanowiłem wrócić do spontaniczności z czasów, gdy jako dzieciak kręciłem pierwsze filmy, do entuzjazmu amatora. W taki sposób powstało „Schizopolis". Ale najważniejszy był dla mnie moment, w którym uświadomiłem sobie wagę notatek. Teraz zapisuję wszystko, co wydaje mi się istotne dla każdego aspektu mojego życia. Mam nawet specjalne pióro wieczne, którego do tego używam, montblanca.

Pisze pan ręcznie? W tych czasach?

– To świetne pióro, choć przez nie wyglądam, jakbym palił crack, bo od atramentu mam palce wiecznie poplamione na czarno... Dorobiłem się go w trakcie pracy nad „Che" – zauważyłem, że i Che Guevara, i Fidel Castro nosili wielkie roleksy, i pomyślałem, że wodzowie z prawdziwego zdarzenia potrzebują poważnie wyglądających gadżetów (*śmiech*). Zresztą cokolwiek robię, chcę, żeby było przyjemne; samo robienie notatek nie jest specjalnie ekscytujące, ale jeśli ma się do tego ładny notesik od Paula Smitha i pięknego montblanca, nagle zaczyna sprawiać to frajdę. W ogóle bardzo lubię gadżety *low-tech*. Ostatnio kupiłem antyczną maszynę do pisania marki Remington. Czasami piszę na niej listy, potem je skanuję i wysyłam e-mailem... Tym sposobem udaje mi się połączyć to, co najlepsze w starej i nowej technologii.

Ale kino coraz rzadziej łączy stare z nowym. Cyfrowa technologia wpływa na sposób robienia filmów i dystrybucję. Martwi pana wizja ludzi oglądających pana filmy na iPhone'ach?

– Niespecjalnie. Kino nie ma nic wspólnego z wielkością ekranu ani tym, w jakich okolicznościach oglądamy filmy. Kino to sposób robienia pewnych rzeczy, sposób myślenia. Widywałem reklamówki, które miały to „coś", i nagrodzone Oscarem filmy, w których tego „czegoś" brakowało. Oczywiście seanse w ciemnej sali kinowej to wciąż ideał, ale zmiany wcale nie znaczą, że kino umiera. Sztuka filmowa zginie wtedy, kiedy jej twórcy zaczną produkować śmieci. Jeśli widzę problem w technologii, to jest nim piractwo. Łatwo dziś nielegalnie kopiować i rozprowadzać filmy, co szkodzi nie tylko reżyserom.

W jaki sposób?

– Bo robi się coraz gorsze filmy. Jedną z najważniejszych konsekwencji piractwa jest fakt, że producenci inwestują tylko w projekty, które są w stanie zarobić na siebie nawet mimo piractwa, czyli w wielkie produkcje z udziałem gwiazd. Nikt nie chce ryzykować. Kiedy przychodzi się do ludzi z nietypowym pomysłem, kalkulują i wychodzi im, że nie opłaca się w niego inwestować. Świetnym przykładem jest „Che" – piraci nas zniszczyli. Kilka dni po premierze w Hiszpanii, jednym z największych ośrodków piractwa w Europie, nielegalne kopie zalały hiszpańskojęzyczne kraje, co wykończyło niezależnych dystrybutorów lokalnych, którzy inwestowali w produkcję. Oznacza to, że następna osoba, która będzie chciała zrobić film taki jak „Che", usłyszy od producentów i dystrybutorów: „Przykro nam, ale już raz próbowaliśmy i straciliśmy wszystko".

Czy interesuje pana technologia 3D, która uchodzi dziś za przyszłość kina?

– Robiłem testy przy okazji filmu „Contagion", nad którym zaczynam pracować. Są dwa ujęcia, dwa rodzaje zbliżeń, które są bardzo ważne dla dramatycznego efektu. W 3D obydwa wyglądały dziwacznie, coś w nich kompletnie rozpraszało uwagę; postać wyglądała, jakby była wycięta i naklejona na tło. Uznałem, że skoro nie da się uniknąć tego, by w kluczowym momencie filmu widz pomyślał: „O rany, Matt Damon wygląda jak wycinanka!", zamiast skupić się na akcji – nie ma co ryzykować. Wiem, skąd się bierze ów dziwaczny efekt i jak go zniwelować, ale to wymagałoby pracy ze stereografem i monitorem 3D, zestrajania obydwu obiektywów do każdego ujęcia. Nie miałem na to czasu, a poza tym nie jestem przekonany, czy w ogóle jest sens robienia dramatu w 3D.

Dostał pan Złotą Palmę jako 26-latek, Oscara przed czterdziestką. Chyba osiągnął pan już w kinie wszystko...

– Wciąż nie zrobiłem jednak filmu równie znakomitego jak „Duch roju", „Persona" Bergmana czy „Lampart" Viscontiego. To frustrujące. W czasie gdy próbowałem zmienić swój styl pracy, to właśnie Bergman uświadomił mi, że to ważne, by zrozumieć, jakiego rodzaju artystą się jest. Moim atutem jest umiejętność syntezy, jestem dobry w kompilowaniu różnych elementów w spójną całość. Nie jestem typem wynalazcy, jak choćby David Lynch.

Reżyseruje pan i niezależne filmy, i hollywoodzkie produkcje. Jak udaje się panu zachować artystyczną niezależność w Hollywood?

– Cóż, praca nad dużymi produkcjami to nie jest impreza dla ludzi o słabych nerwach. Ale powiedzmy sobie otwarcie: o wiele łatwiej zamknąć się w getcie kina „artystycznego", postawić na bycie nieznanym i w ten sposób wycofać się z konieczności radzenia sobie w sytuacjach, gdy trzeba zabiegać o wielkie pieniądze. Ja w ogóle nie rozdzielam filmów komercyjnych od niekomercyjnych – film to film. Każdy nowy powinien albo unicestwiać poprzedni, albo kontynuować pomysły i wątki, które nie zostały tam rozwinięte. Nie myślę o swojej pracy jako o spójnej drodze. Może dostrzegę ją, gdy już przestanę reżyserować. Zresztą na podobne pytanie Orson Welles odpowiedział kiedyś: „To ja jestem ptakiem, a pan ornitologiem".

Wyobrażam sobie, że jedną z konsekwencji pana artystycznej wolności jest fakt, że może pan odmawiać. Podobno robi pan to coraz częściej?

– Odmawiam głównie dlatego, że chcę trochę przystopować. Mam zamiar zrobić „Contagion" i „Liberace", więcej planów nie mam.

Wyobraża pan sobie życie bez robienia filmów?

– Tak!

Co by pan wtedy robił?

– Może wywiady? W tych kilku przypadkach, kiedy zdarzyło mi się je robić, czułem dużą przyjemność. Podobała mi się rozmowa z Richardem Lesterem na potrzeby książki „Getting Away With It" i fajnie było parę razy, kiedy po filmach przepytywałem innych reżyserów. Niech mi tylko ktoś da zlecenie, to pójdę, zrobię wywiad i jeszcze trzasnę fotki! A może pójdę w sztuki wizualne?

Wizualne? Maluje pan?

– Tak.

W czym to jest lepsze niż robienie filmów?

– Nikogo nie trzeba pytać o zgodę ani prosić o pieniądze, żeby móc tworzyć. Film to bardzo angażujące społecznie zajęcie i po pewnym czasie człowiek czuje się zmęczony tym, że bez przerwy musi mówić, odpowiadać na dziesiątki tysięcy pytań. Zawsze dochodzę do momentu, gdy czuję, że jestem pełen po brzegi i mam dość gadania. Gdybym tęsknił za czymś w kinie, to za montażem.

Pokaże mi pan obraz, nad którym pan teraz pracuje?

– Może nie ten, nad którym pracuję teraz, ale proszę, tam stoi jeden skończony (*wskazuje barwny portret kobiety stojący pod oknem*).

Kto to?

– Artystka abstrakcjonistka Agnes Martin. Lubię malować twarze, szczególnie oczy. Twarze są dużo bardziej interesującym tematem niż budynki, choć może mniej interesującym niż drzewa. Z malowaniem drzew jeszcze nie idzie mi najlepiej, zwłaszcza w porównaniu z tym, co oglądałem w paru muzeach... Ale mam podstawy i gdybym przez parę lat solidnie popracował, mógłbym stworzyć coś, na co warto byłoby popatrzeć. Wierzę w głoszoną przez Malcolma Gladwella zasadę 10 tysięcy godzin – że nie da się osiągnąć mistrzostwa w żadnej dziedzinie, nie wkładając w jej naukę tyle pracy. I nie ma dla mnie znaczenia, czy malowanie będzie mi szło tak sprawnie jak reżyserowanie, bo mam własne standardy do oceny tego, co wygląda dobrze. Zresztą nie mam żadnego szczególnego planu. Wszystko ewoluuje – nie jestem już tym samym reżyserem, jakim byłem 10 lat temu, i mam nadzieję, że za 10 lat nie będę robić tego samego, co robię teraz. Niezmiennie od życia oczekuję niespodzianek. ●

Inteligent hip-hopu

Didżej, filozof, muzyczny archeolog, twórca aplikacji na iPhone'a – PAUL MILLER to dziś jeden z najbardziej kreatywnych artystów. We Wrocławiu zaprezentuje multimedialne widowisko „Ponowne narodziny narodu", remiks słynnego filmu D.W. Griffitha

MARIUSZ HERMA

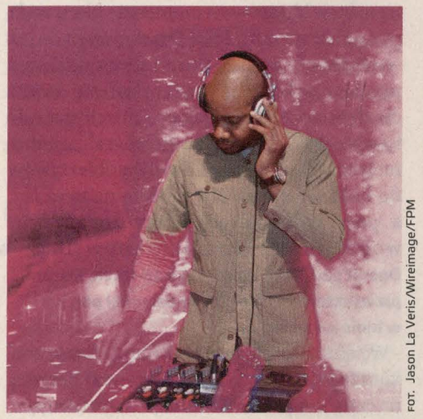
W lutym 1915 roku Griffith wprowadził do kin „Narodziny narodu" – fragmentami dzieło jawnie rasistowskie. „Ponowne narodziny narodu" zaprezentuje Paul Miller, znany w świecie muzyki i sztuk wizualnych pod pseudonimem DJ Spooky That Subliminal Kid.

Paradoksalne turbulencje

– To jeden z najbardziej kontrowersyjnych filmów ubiegłego wieku, a zarazem wzór dla całej kinematografii amerykańskiej. DNA współczesnej narracji – mówi nam Paul Miller. – Ameryka przechodzi obecnie podobne turbulencje i próby zakłamywania przeszłości, jakie miały miejsce sto lat temu. Prawicowy publicysta Glenn Beck próbował niedawno przywłaszczyć sobie spuściznę po Martinie Lutherze Kingu. W rocznicę wygłoszenia słynnego przemówienia „I have a dream" Beck przekonywał społeczeństwo, że chodzi w nim o prawa białych. A potem urządził agitację przeciw Barackowi Obamie. To scena rodem z „Narodzin narodu"!

Miller postanowił więc przypomnieć film Griffitha, a jako hiphopowiec wybrał formułę wizualnego remiksu. Co ciekawe, inspirował się kinematografią radziecką. W rozmowie z „Przekrojem" Spooky powołuje się na dzieła Eisensteina i Wiertowa. – Komunizm, opresje, hipokryzja, kino wyzwolenia – to wszystko się łączy – tłumaczy Miller. – Człowiek uznany przez jednych za bojownika o wolność dla innych będzie terrorystą. Wiesz, że to w „Narodzinach narodu" po raz pierwszy w historii kina pojawia się termin „terroryzm"?

Wybór materiału wyjściowego był nieprzypadkowy, bo Spooky uważnie tropi przejawy rasizmu, również w XXI wieku. O traktowaniu Romów w Europie czy pogromach czarnoskórych w Sudanie mówi, jakby sam był ich ofiarą. A „Ponowne narodziny narodu" nazywa „celownikiem laserowym". – Wyszukuję i oświetlam miejsca, gdzie spotykają się rasizm i opresja – dodaje.



fot. Jason La Veris/Wireimage/FPM

DJ Spooky – mistrz konsolety, intelektualista, niestrudzony **tropiciel rasizmu**

Wprawdzie już od dwóch lat „Ponowne narodziny narodu" są na DVD, ale nie da się przewidzieć, co dokładnie zobaczymy i usłyszymy we Wrocławiu, bo Miller edytuje materiał na żywo. – Projekty oparte na mediach cyfrowych mają tę zaletę, że nie istnieje ostateczna wersja dzieła. Zawartość pliku można modyfikować w nieskończoność. Technologiczne innowacje nie były tak istotne dla rozwoju gospodarczego i przemian społecznych od czasu rewolucji przemysłowej – mówi Spooky. Kto najlepiej radzi sobie z tymi nowinkami? Zdaniem Millera didżeje. Dzięki strategii remiksu potrafią oni okiełznać technologię w służbie sztuki, czego dowodzić mają właśnie „Ponowne narodziny narodu".

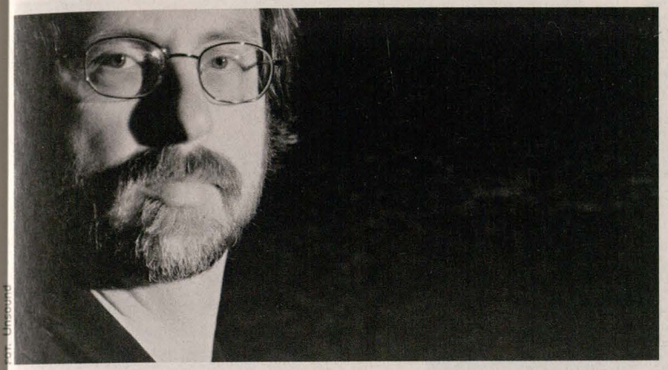
Nazbyt to wszystko wydumane? Kto tak sądzi, niech nie sięga po antologię „Sound Unbound" pod redakcją Spooky'ego. Na dyskusję o samplowaniu kultury i roli mediów cyfrowych w nowoczesnym społeczeństwie namówił on Steve'a Reicha, Briana Eno, Chucka D z Public Enemy, pianistę jazzowego Vijaya Iyera, pisarza s.f. Jonathana Lethema i ponad 30 innych myślicieli i artystów. – To antidotum na dzielenie muzyki według klucza: niska/wysoka, pop/klasyka, czarna/biała – tłumaczył David Byrne.

Miller do roli inteligenta hip-hopu przygotowywał się od dziecka. Jego ojciec był dziekanem jednego z wydziałów waszyngtońskiego Howard University. Matka w książce „Threads of Time" opisała najważniejsze czarnoskóre designerki i projektantki mody ostatnich 150 lat. Sam Spooky ukończył filologię francuską, studia filozoficzne i kompozytorskie. Obecnie jest związany ze szwajcarską European Graduate School. – Intelektualiści ze wszystkich zakątków globu zjeżdżają się tam każdego lata po to, by rozmawiać – mówi Spooky.

Oprócz tego Miller zajmował się archeologią muzyczną na Jamajce, skomponował muzykę do filmu „Slam" nagrodzonego w 1998 roku na festiwalu w Sundance i napisał książkę o wymownym tytule „Rhythm Science". Ostatnio często odwiedza wyspę Nauru w Mikronezji, a w położonym nieopodal Vanuatu buduje centrum sztuki współczesnej. Miliony użytkowników korzystają już z jego autorskiej aplikacji, która telefon iPhone zamienia w didżejski mikser. W chwili gdy czytacie te słowa, wraca z miesięcznej wyprawy na Arktykę, której owocem ma być książka „The Book of Ice". – Trzeba się trochę wysilić, aby połączyć wszystkie kropki – śmieje się Miller, gdy wyliczam mu jego działania.

Od bluesa do Wagnera

Griffith nazywał swój film wagnerowskim i Spooky postanowił oddać ów monumentalizm w warstwie muzycznej. Nie zapomniał jednak o korzeniach. – Hiphopowe rytmy i didżejska improwizacja pomogły mi zachować spontaniczność muzyki, która ma kierować uwagę widza w stronę ekranu, a nie głośników – tłumaczy Spooky. A co chce nam przekazać poprzez ów ekran? – Mam nadzieję, że publiczność opuści seans z przekonaniem, że inny świat jest możliwy, że nie musi wyglądać tak, jak wygląda. ●



fot. Unsound

Niech was nie zmyli zasadniczo pogodna mina tego pana. **Alan Howarth umie straszyć muzyką jak mało kto**

Człowiek, który żądli

O lęku przed tym, co niedopowiedziane, i nutach, które zawsze działają, opowiada ALAN HOWARTH, kompozytor muzyki filmowej i twórca dźwiękowych efektów specjalnych

JAREK SZUBRYCHT

Myśl przewodnia festiwalu Unsound to „Horror – rozkosz lęku i niepewności". Co nas pociąga w horrorach? Prawdziwe życie nie jest wystarczająco straszne?

– Wszyscy lubimy się bać, ale tylko w bezpiecznym fotelu kinowym. Na tej samej zasadzie sport jest wojną pod kontrolą. Zmieniło się tylko jedno – w dzisiejszych horrorach przesadza się z drastycznością. Ilość krwi i flaków sprawia, że albo jęczysz z obrzydzenia, albo śmiejesz się w głos, bo patrzeć się na to nie da. W przeszłości w filmach najbardziej przerażało nas to, czego nie było widać. Widz musiał uzupełniać obrazy szczegółami we własnym umyśle, podczas gdy kamera robiła tylko zbliżenie twarzy bohatera albo przypadkowego świadka zdarzenia. Jedna z najstraszniejszych scen w historii otwiera „Szczęki". Studentka idzie popływać w zatoce i nagle zaczyna wrzeszczeć, bo coś wciąga ją pod powierzchnię wody. Wiesz, że pożera ją rekin, muzyka podpowiada ci, co się dzieje, ale to, co najstraszniejsze, dodajesz sobie w głowie. Gdyby tę samą scenę kręcono dzisiaj, zobaczyłbyś wyłaniającego się z wody rekina i krzyczącą dziewczynę, potem zbliżenie na zęby drapieżnika rozrywające jej nagie piersi, a następnie ujęcie rekina rozszarpującego ją na dwie połowy. I oczywiście krew, wszędzie krew. Żeby się bać, nie potrzebujemy tego wszystkiego.

Tym bardziej że muzyka w filmach potrafi przerazić mocniej niż obraz.

– W filmach, przy których pracowałem, na ekranie widać zwykle mroczny cień tego, co ma nastąpić. Ukryte zagrożenie. W tym samym czasie muzyka mówi nam, że bohater jest w prawdziwych tarapatach i za chwilę stanie mu się coś naprawdę złego. To najlepszy sposób na przerażenie widowni.

Czy istnieją dźwięki przerażające z natury? Coś, co zawsze działa?

– Jedną z takich technik jest cicha muzyka, którą nagle przerywa bardzo głośny dźwięk. W naszych wewnętrznych notatkach nazywamy te efekty „żądłami". Przeszywające, piskliwe dysonanse również wzmacniają napięcie, podobnie jak przeciągające się niskie, basowe tony. Nie sądzę, by istniał zestaw nut, który przeraża bardziej od innych, ale tonacja molowa zawsze działa. Podobnie jak kończenie frazy dźwiękiem, który jest w innej tonacji niż cała reszta.

Pracujesz nad dźwiękami, które w realnym świecie nie istnieją. Skąd wiesz, czego się od ciebie oczekuje?

– Kiedy pracowałem przy „Duchu", zlecono mi stworzenie głosu Carol Anne, dziewczynki wzywającej mamę z zaświatów. Siedziałem w reżyserce ze Stevenem Spielbergiem i kiedy zapytałem, jak sobie wyobraża ten dźwięk, Spielberg popatrzył mi w oczy i powiedział: „Ziemia do Wenus". Nie miałem zielonego pojęcia, co to może znaczyć. „Jeśli nie zrobię tego dobrze, nikt w Hollywood już mnie nie zatrudni" – myślałem. Pracowałem przez kilka tygodni, ale nic mi nie wychodziło. I nagle, kiedy jechałem samochodem, usłyszałem w radiu „Whole Lotta Love" Led Zeppelin. W środkowej części piosenki jest moment, w którym Plant robi sobie chwilę przerwy i słychać tam efekt zwany preecho, który wziął się z przesączania dźwięku ze słuchawek podczas nagrywania jego partii wokalnych. Brzmi to, jakby jego głos dochodził z oddali, jeszcze zanim zaczyna śpiewać. To zainspirowało mnie do stworzenia efektu, o który chodziło Spielbergowi, to właśnie była „Ziemia do Wenus".

Filmowe ścieżki dźwiękowe s.f. i horrorów pewnie częściej niż inne wyprawiają się na terytorium muzyki eksperymentalnej i – co zaskakujące – zdobywają publiczność, o której artyści zajmujący się tą muzyką w oderwaniu od kina zwykle nie mogą nawet marzyć. Dlaczego łatwiej nam jest przełknąć te wszystkie dźwięki w pakiecie z demonami?

– Większość ścieżek dźwiękowych do horrorów w oderwaniu od filmów nazwano by muzyką awangardową lub eksperymentalną. Krzysztof Penderecki zainspirował bardzo wielu twórców muzyki do horrorów. Te wszystkie jego dysonanse, dziwne wskazówki dla wykonawców są cudowne. Takie kompozycje same w sobie nie przyciągają zbyt licznej publiczności, ale kiedy eksperymentalną, dysonansową czy rytmicznie nieregularną muzykę pożenisz z obrazem, ludzie będą słuchali tego wiele razy i w końcu polubią, bo będą sobie przypominać sceny z filmu. W jakimś sensie wszyscy wielcy klasyczni kompozytorzy byli pierwszymi filmowcami na długo przed wynalezieniem kina. Ich symfonie nie były przecież niczym innym jak ścieżkami dźwiękowymi do obrazów powstających w umysłach słuchaczy. ●

Alan Howarth

62 lata, Amerykanin, muzyk, kompozytor i specjalista od dźwięków, które nie istnieją. Karierę w Hollywood zaczął od wymyślenia, jak powinien ryczeć silnik statku Enterprise w pierwszym kinowym „Star Treku", a potem poszło z górki: „Poszukiwacze zaginionej arki", „Duch", „Dracula", większość filmów Johna Carpentera. Na żywo występuje rzadko, w Europie – dotąd nigdy. Po raz pierwszy tutejszych melomanów straszyć będzie w ramach krakowskiego festiwalu Unsound (17–24 października, www.unsound.pl).



Umarła klasa

Nagroda Nike dla **TADEUSZA SŁOBODZIANKA** nie jest zwieńczeniem kariery „Naszej klasy", ale jej początkiem

JACEK WAKAR

„Nasza klasa" Tadeusza Słobodzianka trafia na podatny grunt. Od czasu „Miłości na Krymie" Sławomira Mrożka, może jeszcze „Kartoteki rozrzuconej" Tadeusza Różewicza, nie mieliśmy ani w druku, ani na scenach polskiej dramaturgii wagi ciężkiej. Owszem, powstaje w Polsce literatura dramatyczna, jednak są to albo lepsze lub gorsze literackie wprawki (twórczość Mateusza Pakuły), albo utwory jednorazowego użytku o czysto interwencyjnym wymiarze (głośne sztuki Pawła Demirskiego).

Nawet Tadeusz Słobodzianek publikował ostatnimi czasy rzeczy istotne przede wszystkim dla teatralnego środowiska, chociaż na przykład jego „Merlin" zdawał się istotną reinterpretacją mitu Rycerzy Okrągłego Stołu. Nie zmienił jednak przekonania, że polski dramat omija dyskusje o znaczeniu narodowej tradycji, nie wadzi się z historią, ma kłopot z sylwetkami bohaterów, rzadko zdobywa się na refleksje o tym, co przed i za nami. Wciąż też ma kłopot z warsztatową biegłością. Rzadko daje się w nim odnaleźć gotowy dla teatru, precyzyjny dialog złączony z oryginalną formą. Zdarzały się jaskółki w rodzaju „Trash Story" oraz „Białych baloników" Magdaleny Fertacz, ale i one nie przeszły przez rampę, służąc jedynie opartym na tych tekstach przedstawieniom.

Z „Naszą klasą" od początku było inaczej. Samo nazwisko Słobodzianka stanowiło gwarancję, że podejmując temat Jedwabnego, autor nie poprzestanie na publicystyce. Wystarczyło wspomnieć inne jego sztuki z powodzeniem znoszące granice gatunkowe. „Turlajgroszek" rozsławiony przez spektakl Wierszalina Piotra Tomaszuka nie był przecież propozycją jedynie dla dzieci, ale moralitetem czystej wody, mimo że zakrojonym na nieco mniejszą skalę. Podobnie z „Carem Mikołajem" czy „Prorokiem Ilją", w których zanurzał pisarz koślawą, samozwańczą świętość w brudzie polskiej wsi, żenił metaforę z dojmującym konkretem, pytając, czy we współczesnym świecie możliwa jest jeszcze jakakolwiek ofiara niedyktowana cyniczną kalkulacją.



FOT. Stanisław Rak/ONS

Przed Słobodziankiem Nike nie dostał żaden dramaturg. Nagrodę przyznaje się **od 14 lat**

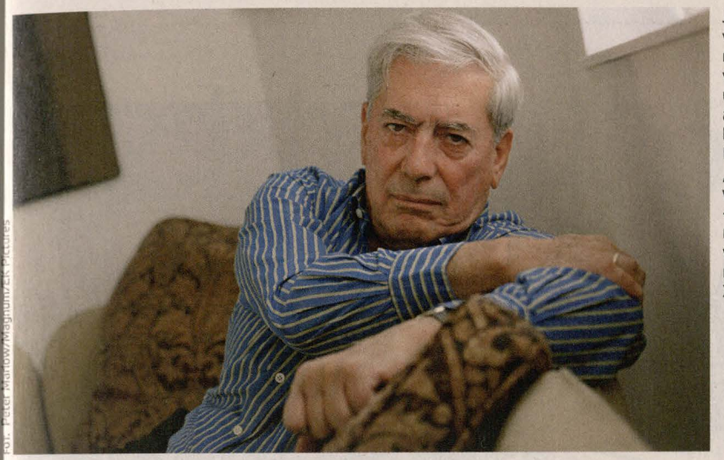
Pod tym względem „Nasza klasa" nie zaskakuje, wpisując się gładko w ów wielki temat twórczości Słobodzianka. Logiczne jest też wyróżnienie sztuki Nagrodą Nike, bo jej wymowa zgadza się z tezą „Sąsiadów" Grossa oraz głosami nawołującymi polską stronę do rachunku sumienia w kontekście rozważenia na nowo kwestii polsko-żydowskich. Czytana ze znajomością tego tła „Nasza klasa" niektórym wyda się wręcz dramatem z tezą o oczywistym przesłaniu. Co nie oznacza, że mamy do czynienia z propagandowym utworem na zamówienie. Powiedzmy jasno, że „Nasza klasa" to najważniejszy od lat polski dramat, a jego siła bierze się nie z wyrachowania autora, ale z umiejętnej gry z polską tradycją literacką i teatralną oraz dotykającym nas pośrednio lub bezpośrednio zbiorowym doświadczeniem.

Rzecz nosi podtytuł „Historia w XIV lekcjach", co z góry narzuca jej rytm. Oto małe miasteczko gdzieś we wschodniej Polsce, jedna klasa w szkole powszechnej i uczniowie – Polacy i Żydzi. Zwykli sąsiedzi, co to spędzają razem czas na zabawach i nicnierobieniu, potem łączą się w pary, wreszcie pochłonie ich wojenna zawierucha. Aż – bez jasnej przyczyny – jedni dla drugich staną się katami. Potem zaś ocaleni spróbują żyć dalej, a oprawcy – zapomnieć o winie. Nie będzie jednak rozgrzeszenia. Dla nikogo.

Siła „Naszej klasy" bierze się z jej prostoty. Z tego, że Słobodzianek nie bawi się w zapętlenia ani piętrowe charakterystyki postaci, do opisania których wystarczą mu pojedyncze słowa. Wszystko zasadza się tu na tragicznym splocie – ktoś pierwszy rzucił kamieniem, za nim poszli następni. Można próbować udowadniać, że autor dramatu osądza sam mechanizm historii, ale ja wolę szukać innych odwołań. Znaczenie „Naszej klasy" polega na podjęciu zapomnianego ostatnio dialogu – z Wyspiańskim, a przede wszystkim z Tadeuszem Kantorem. W jego najsłynniejszym spektaklu, na którym ufundował własny Teatr Śmierci, umarli powracali przecież na własne miejsca w szkolnych ławkach. Byli wspomnieniem, powrotem do dawnego czasu, chociaż ich twarze naznaczyło nieodwracalne. W świecie Kantora możliwe jeszcze było ukojenie. U Słobodzianka rzecz toczy się, aż odejdą wszyscy z naszej klasy, zmieniając ją w klasę umarłą. Jednak u autora „Snu pluskwy" śmierć niczemu nie służy, trudno uwierzyć w istnienie innego, lepszego porządku. Także dlatego „Nasza klasa" tak uwiera, opierając się nawet pozorom optymistycznego przesłania.

Nike otwiera przed dramatem nowe perspektywy, ale prawdziwą weryfikację przyniesie jak zwykle scena. „Naszą klasę" wystawiono już z sukcesem w National Theatre w Londynie, wywołała – co całkiem zrozumiałe – szok podczas czytań w Tel Awiwie. Ostateczny test przyniesie przedstawienie Ondreja Spišáka w warszawskim Teatrze na Woli (premiera 16 października), a potem (oby!) kolejne inscenizacje.

Tak czy inaczej, coś się stało. Polski teatr może oderwać się od doraźnych agitek i wrócić do poważnej rozmowy. Lepszy od „Naszej klasy" pretekst długo się nie zdarzy. ●



FOT. Peter Hartlow/MagnumZEK Pictures

Jeszcze w tym roku ma się w Polsce ukazać autobiografia Llosy **„Jak ryba w wodzie"** – tako rzecze wydawnictwo Znak

Mario Vargas Llosa!

Po tegorocznym werdykcie Komitetu Noblowskiego aż chce się zakrzyknąć, że jego członkowie wreszcie poszli po rozum do głowy

MARCIN SENDECKI

Stojąc w drzwiach »Kroniki«, Santiago patrzy z niechęcią w aleję Tacna: samochody, bezbarwne budynki, z których każdy jest inny, szkielety świetlnych reklam unoszące się we mgle, szare południe. W jakim to momencie Peru się tak skurwiło?" – tak zaczyna się „Rozmowa w »Katedrze«" Mario Vargasa Llosy (oryginał 1969 rok, od 1973 roku w polskim przekładzie Zofii Wasitowej). To jedno z najsławniejszych powieściowych otwarć i jedna z najpiękniejszych, najbardziej gorzkich powieści ubiegłego wieku, w której o politycznym horrorze i egzystencjalnej klęsce opowiada Llosa, wykorzystując zapierające dech w piersiach narracyjne sztuczki.

Za „Rozmowę...", debiutanckie i wstrząsające „Miasto i psy" (1962) osnute wokół własnych doświadczeń w szkole kadetów, swawolnego „Pantaleona i wizytantki" (1973) i apokaliptyczną „Wojnę końca świata" 74-letni dziś Peruwiańczyk (i obywatel świata) Nobla powinien był dostać już dawno. I nic tu nie ma do rzeczy, że jego nowsze książki to wątłe cienie dawnych wspaniałości. A dodatkowe oklaski należą się sztokholmskiemu jury także za wyjątkowo przytomne i precyzyjne uzasadnienie werdyktu, w którym oddaje pisarzowi hołd za „kartografię struktur władzy oraz wyraziste obrazy oporu, buntu i porażek jednostki".

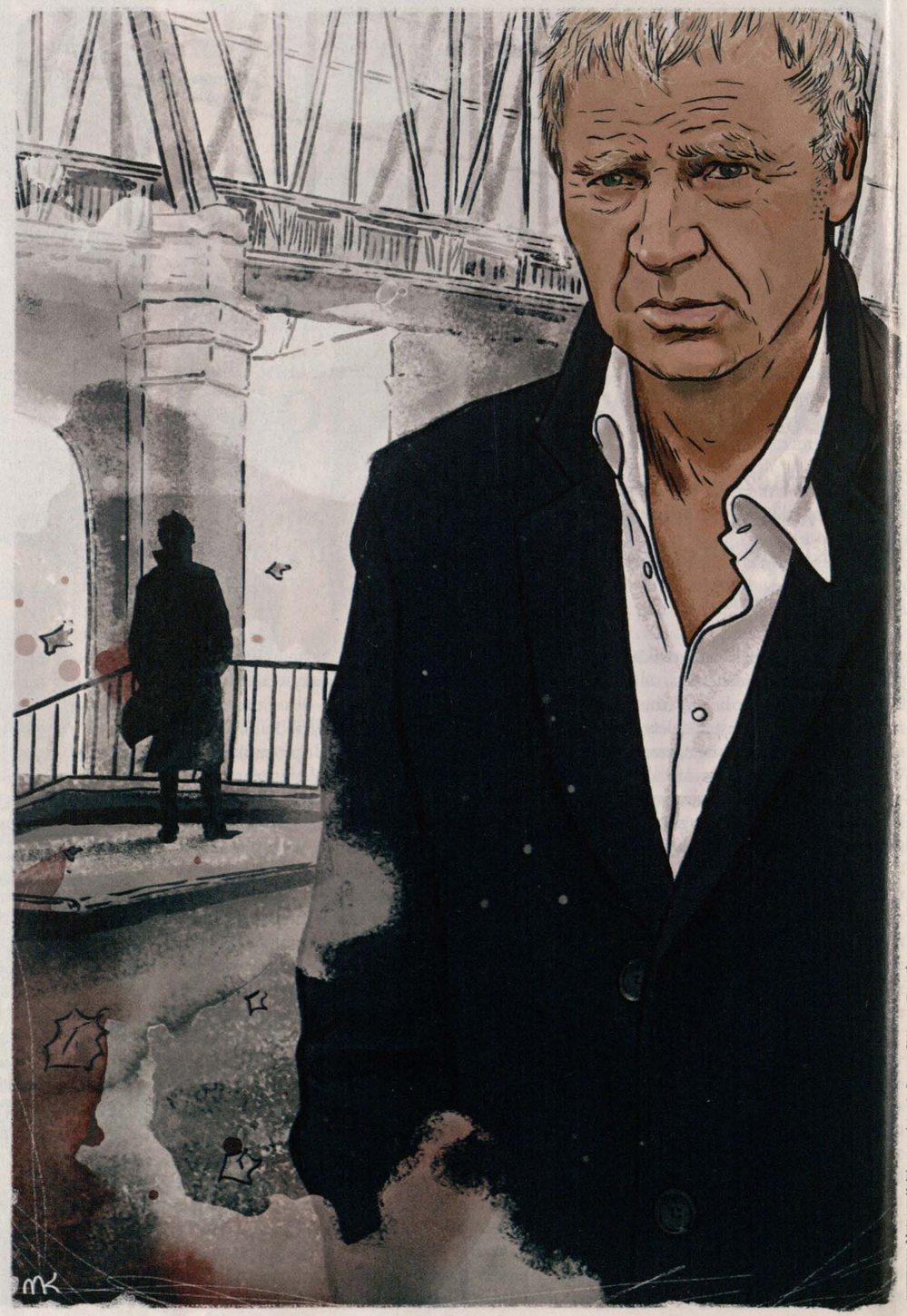
Owszem, o Llosie wiemy w Polsce od lat prawie wszystko i może stąd oprócz okrzyków zachwytu pojawiają się głosy, że nagroda dla niego jest „bezpieczna", co ma ją, jak rozumiem, odrobinę dezawuować. Pragnę w związku z tym wyznać, że jeśli za „niebezpieczne" uznać parę ostatnich wyborów Komitetu Noblowskiego, to tegoroczne bezpieczeństwo bardzo mi dogadza. A jeśli po bezpiecznym Llosie miałaby przyjść pora na coś radykalnie nieoczywistego, niebezpiecznego i artystycznie ekscytującego – będę wniebowzięty. Tyle że ostatnia taka nagroda (może z wyjątkiem J.M. Coetzeego w 2003 roku) to Nobel dla Claude'a Simona sprzed równo ćwierćwiecza. Mam nawet kandydata. To nowojorczyk i paryżanin, a na dodatek OuLiPijczyk, bliski przyjaciel Georges'a Pereca, wyrafinowany prozaik i poeta, znawca muzyki i kuchni, mistrz słowa i wynalazca nowych technik narracji, wierny druh – słowem: 80-letni dziś Harry Mathews. Jeśliby mu się poszczęściło, gotów jestem, przynajmniej przez część tej niebezpiecznej drogi, pielgrzymować do Sztokholmu na kolanach. ●

REKLAMA





Z **JANUSZEM GŁOWACKIM** ROZMAWIA KATARZYNA JANOWSKA



Ilustracja Mateusz Kołek na podstawie fotografii Hanny Prus/Świat Książki, mvs. Katarzyna Leszczyc Sumińska na podstawie zdjęcia Marka Szczepańskiego

Janusz Głowacki

Niewiarygodne, ale ma już 72 lata. Prozaik, dramaturg, scenarzysta, dziennikarz. Jeden z nielicznych autorów, którzy umieją połączyć w jedno prześmieszność z rozpaczliwością. Niegdyś mistrz złośliwej felietonistyki i sławny warszawski bon vivant, dziś polsko-amerykański zwyczajnie wybitny pisarz wystawiany w Nowym Jorku i reszcie świata. Współautor „Rejsu", bodaj najbardziej kultowego polskiego filmu, autor opowiadań i powieści „Wirówka nonsensu", „Nowy taniec la-ba-da", „Paradis", „Moc truchleje", „Ostatni cień", „Z głowy"; sztuk teatralnych „Polowanie na karaluchy", „Fortynbras się upił", „Antygona w Nowym Jorku", „Czwarta siostra". Powieść „Good night, Dżerzi" ukaże się (nakładem Świata Książki) 10 listopada.



Piekło, raj, patataj

On bezbłędnie wyczuł czas, kiedy image stał się ważniejszy od prawdy – mówi **JANUSZ GŁOWACKI** przed premierą poświęconej przedziwnym przypadkom Jerzego Kosińskiego powieści „Good night, Dżerzi"

Czy Jerzy Kosiński jeszcze kogoś interesuje?

– Mnie.

Tak bardzo, że warto było napisać o nim książkę?

– Właściwie nie ma żadnych powodów, poza tym że to postać z Dostojewskiego, wielki mistyfikator, który rzucił Amerykę na kolana. Z polskich pisarzy odniósł największy na świecie sukces – no, może poza Conradem. Kupiono parę milionów jego powieści, a „Malowany ptak" wszedł do kanonu książek o Holocauście. Z Polski wyjechał, gdy miał 30 lat, jako nędzarz. Potem ożenił się z wdową po miliarderze, przez dwie kadencje był prezesem amerykańskiego Pen Clubu. A Holocaust, który przeżył jako dziecko, wymienił na nowojorskie kluby sado-maso nazywane przez jednych rajem, przez innych kazamatami gestapo. I nagle jego wspaniała kariera zakończyła się skandalem, kompromitacją i samobójstwem. Czyli jak pani widzi, nie ma w tej postaci niczego ciekawego.

W pańskiej książce jest scena, w której pisarz przymierzający się do scenariusza filmu o Kosińskim przychodzi do księgarni w Nowym Jorku i prosi o jego bibliografię. Sprzedawca nie ma pojęcia, o kogo chodzi, i na koniec okazuje się, że w księgarni nie ma żadnej książki Kosińskiego. To niesamowite, zważywszy, że kilkanaście lat wcześniej był na absolutnym topie literackim i towarzyskim. Nowy Jork ma krótką pamięć.

– Dlaczego pani wierzy we wszystko, co piszę? Może tak było, a może trochę inaczej. To jest powieść, a nie biografia. Oczywiście jest w Nowym Jorku straszny tłok, ludzie szybko znikają. Dziesięć lat temu zacząłem pisać o Kosińskim dla teatru, ale przestałem, bo ktoś inny napisał o nim sztukę. Bardzo szybko padła, tylko tytuł był dobry – „More Lies About Jerzy". Reszta to tak zwana demaskatorska publicystyka.

Kiedy pan go poznał?

– W 1975 roku przyjechałem na stypendium Departamentu Stanu. Stał wtedy u szczytu sławy. Miał swój stolik w restauracji Europa na Manhattanie, tuż przy Central Parku. Patrzyłem na niego z podziwem i zazdrością. Nie znałem żadnej jego książki, bo były w Polsce zakazane i nietłumaczone. Byłem ubrany w hinduskie barachło z wyprzedaży, a on wyglądał olśniewająco – od góry do dołu angielskie tweedy. Znałem go tylko ze wściekłych ataków prasy PRL, że zrobił karierę na szkalowaniu Polski i Polaków. Lżono go bezlitośnie. Byłem bardzo ciekaw, jak wygląda „szkalownik". Później, po ataku pisma „Village Voice", które go huknęło zresztą z innych powodów, bronił się, że w ogóle wszystkie zarzuty mają charakter polityczny i są inspirowane przez komunę. A za lunch ja zapłaciłem. Do dziś ciężko to przeżywam.

Opisuje pan w książce, co zmusiło Kosińskiego, żeby wbrew prawdzie oświadczyć, że to, co przydarzyło się bohaterowi jego powieści „Malowany ptak", to jego własna historia. Ta decyzja uruchomiła fatum.

– Fatum albo i nie fatum. To na pewno była genialna strategia. Dowiedział się, że Elie Wiesel, laureat Nobla i największy autorytet w sprawach Holocaustu, dostał „Malowanego ptaka" do recenzji dla „New York Times Book Review" i napisał chłodno, ale jeszcze nie wysłał. Kosiński poszedł do niego i przekonał go, że historia małego czarnowłosego chłopca – może Cygana, może Hucuła, może Żyda – błąkającego się w czasie Holocaustu wśród plemienia jasnowłosych prymitywnych sadystów to jego polska autobiografia. Wiesel się wzruszył, podarł starą recenzję i napisał nową, entuzjastyczną, oficjalnie mianując J.K. świadkiem Holocaustu. Za Wieselem poszli inni. I to był początek jego oszałamiającej kariery.

Ciekawe, czy to nie była zachęta dla różnych twórców, by podpiąć się pod ten temat, bo niezależnie od wartości artystycznych dziełka to dobra droga do sukcesu?

– Pani Kasiu, to ja podobno jestem cynikiem. Ale rację ma pani oczywiście. Z tym że akurat „Malowany ptak" jest książką całkiem wybitną. Wszystko jedno, czy Kosiński napisał ją po polsku i ktoś to po cichu przetłumaczył. Potem było gorzej i gorzej. Żydowski chłopiec z Holocaustu zmienił się w tajemniczego agenta, kogoś w rodzaju Jamesa Bonda – wymierzającego kary i dającego rozkosz.

Jaki był Kosiński?

– Przystojny brunet, po pięćdziesiątce, dobrze ubrany, z wyobraźnią, w pogoni za prawdą o seksie.

Może coś więcej?

– Więcej jest w książce. W roku 1982 pojawili się ludzie, którzy uznali całe jego życie i twórczość za mistyfikację. Wtedy akurat przyjechałem po raz drugi do Nowego Jorku na trochę dłużej, 20 lat, i powitał mnie w „Time Magazine" artykuł o J.K. pod tytułem „Polish Joke". Troszkę się speszyłem i chciałem od razu wracać. Ale w Polsce był stan wojenny.

Nie umieli docenić, że ta życiowa maskarada była jego największym dziełem sztuki? Był być może jednym z najbardziej awangardowych artystów, który jako jeden z pierwszych zrozumiał, że pomieszanie fikcji z rzeczywistością to nowy kod w sztuce.

– On bezbłędnie wyczuł czas, kiedy image stał się ważniejszy od prawdy – patrz J.F. Kennedy, symbol dobrego męża, do którego modliły się *housewives* z całej Ameryki, a naprawdę przez jego łóżko w Białym Domu szła karawana. Przed nim Stalin, którego dobrodusznością zachwycał się w Jałcie prezydent Roosevelt, nazywając go pieszczotliwie →

→ „wujaszkiem George'em". Kosiński się przyglądał i szybko uczył. Tak się kreował, że w końcu zmienił się w konika, na którym jechała kreacja i poganiała się szpicrutą, patataj.

Przypominam, że był też pisarzem.

– Ale tu go właśnie śmiertelnie trafiono, oskarżając o to, że książki piszą za niego edytorzy, a on za słabo zna angielski, żeby w tym języku pisać. Że na przykład kilka miesięcy przed ukazaniem się „Malowanego ptaka" dał do gazet ogłoszenie „Pisarz szuka tłumacza". Że kłamał między innymi na temat okoliczności swojego przyjazdu do Ameryki i jeszcze wielu rzeczy. Zaprzyjaźniony „New York Times" rozpaczliwie go bronił i to go dobiło. Wszystkie pisma i telewizje rzuciły się na najuczciwszą gazetę świata, która wbrew faktom broni kumpla. Stał się elementem większej gry. Jego biograf w Ameryce James Park Sloan napisał, że był kimś więcej niż pisarzem i kimś mniej.

Pewnego pięknego dnia wszyscy w Nowym Jorku powiedzieli: król jest nagi. Przedtem porównywali Kosińskiego z Beckettem, Kafką i Bóg wie kim jeszcze. Aż tu nagle się okazało, że jego proza jest fatalna, że piszą za niego inni, że to hochsztapler. Co się właściwie stało? Dlaczego wtedy? Przecież już wcześniej szeptano, że swoich tłumaczy i edytorów Kosiński wykorzystuje w stopniu znacznie większym niż inni pisarze.

– To nie był jeden dzień, po drugie, szeptano, ale po kątach. Jest taka teoria katastrofy wyprowadzana z załamywania się morskich fal, że musi się zbiec parę elementów: odpowiednia głębokość wody, siła wiatru i tak dalej. Było bardzo dużo znaków ostrzegawczych, ale on je lekceważył. Bardzo długo wszystko mu wybaczano, bo Holocaust. No i w 1982 roku lawina ruszyła. Wszystko zaczęło się od tego artykułu w „Village Voice", a dalej już poszło. Jeden z bohaterów mojej książki, wielki producent z Broadwayu, wyjaśnia, że zachwyt Dżerzim brał się stąd, że świat już dawno stracił umiejętność odróżniania kłamstwa od prawdy, talentu od beztalencia, poza tym było zapotrzebowanie na intelektualistę z Europy Wschodniej. A Ameryka nigdy kogoś takiego jak on nie widziała na oczy. Po artykule w „Village Voice" on się strasznie spiął, żeby udowodnić, że jest samodzielnym twórcą. Przez siedem lat pisał powieść „Pustelnik z 69 Ulicy" – i klęska.

Książkę źle przyjęto?

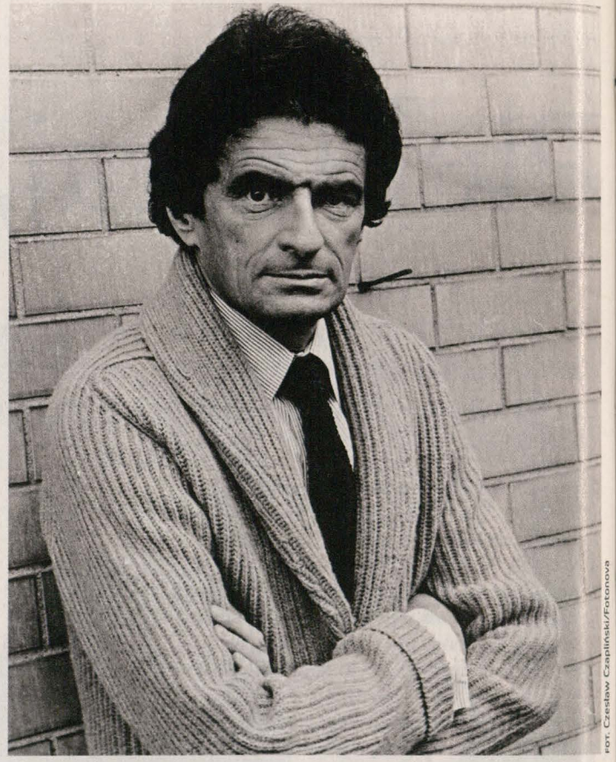
– Najpoważniejsze pisma w ogóle jej nie zauważyły. Jak się twórca za bardzo spina, to rzadko coś z tego wychodzi. Zresztą podejrzewam, że nawet gdyby coś dobrego napisał, to też by go skatowano, bo już siekiera poszła do góry. A Ameryka bardzo lubi wynieść kogoś na szczyt i potem zdołować. On lepiej opowiadał, niż pisał. Porażał elegancką elitę nowojorską wstrząsającymi historiami o swoim dzieciństwie. No i szokował opowieściami o seksklubach. Słuchano go z wytrzeszczonymi oczami i podnieceniem, zazdrością i oczywiście obrzydzeniem. Dzięki niemu ja też przetarłem się przez podziemny Nowy Jork.

W połowie lat 70. na panu, polskim playboyu, czyli pewnie niewinnym uwodzicielu, musiało to robić wrażenie.

– Rzeczywiście, w Warszawie byliśmy odrobinę staroświeccy. W nowojorskim podziemiu Kosiński był wielką postacią. Dzień zaczynał zwykle po 11 w nocy.

Wyjdźmy na powierzchnię. Jak on mógł przypuszczać, że nie wyjdzie na jaw prawda o tym, że „Malowany ptak" to fikcja i że przeżył wojnę, ukrywając się, ale razem z rodzicami?

– Zaryzykował. Była żelazna kurtyna, wszystkie ataki z Polski przemawiały na jego korzyść. A nawet nad Wisłą na ślad wioski, w której się ukrywał, natrafiono bardzo późno. I też przez przypadek. Za ocean to doszło dopiero po jego śmierci. Ale wyglądało, że on cały czas czegoś się bał. Na ulicy oglądał się, jakby sprawdzał, czy ktoś za nim nie idzie. Nie wiem, czy to była gra, czy nie. A kłamać nauczyli go rodzice i Hitler



fot. Czesław Czapliński/Fotonova

Nowy Jork, 1981. **Jerzy Kosiński** rok przed ukazaniem się w „Village Voice" artykułu, od którego rozpocznie się upadek pisarza

– trudno o lepszych nauczycieli. Oczywiście jego dzieciństwo było koszmarem, nie aż takim jak chłopca z „Malowanego ptaka", ale zupełnie wystarczającym. To niesamowite – skazany jako żydowskie dziecko z całym narodem na śmierć cudem się uratował, zrobił gigantyczną karierę i dopiero wtedy dopadło go przeznaczenie. I czy to los, czy przypadek?

A pan wierzy w los czy przypadek?

– Może przypadek to tylko bat, którym los popędza do przodu przeznaczenie? On wierzył tylko w przypadek.

Przeżył Holocaust. Musiał wierzyć w przypadek. Swoją drogą, zabawna jest w książce rozmowa z dwoma producentami z Broadwayu.

– Bardzo dziękuję za dobre słowo.

Kosiński zacierał ślady po swoich kłamstwach, ale przecież bardzo długo żyła jego matka. Najłatwiej było ją zapytać, jak syn przeżył wojnę.

– Potwierdziła jego wersję – że go wysłano na wieś na początku wojny, musiał radzić sobie sam, że to piekło samotni naprawdę mu się przytrafiło. Wzięła udział w jego kreacji.

Bo – jak to matka – uważała pewnie, że już raz piekło mu się przytrafiło i nie chciała, by znowu spotkało go coś złego. Może bała się, że coś sobie zrobi?

– Czyżby pani się wzruszyła? Nie wierzę.

Wbrew pozorom dość łatwo się wzruszam. W książce występuje kilka matek różnych narodowości: matka Kosińskiego, matka jednej z bohaterek, matka niemieckiego producenta zgwałcona w czasie II wojny przez Rosjan...

– Ależ wcale nie jest powiedziane, że zgwałcona. Raczej to sobie wymyśliła z nienawiści do syna. Różne są matki, prawda? Jest jeszcze matka Zachara.

Dużo matek, dużo wątków aktualnych i historycznych. Może trochę za dużo?

– Matki są tylko cztery. Kiedyś wierzono, że świat trzymają na grzbietach cztery słonie.

A Masza, jedna z głównych bohaterek, po co ona właściwie?

– To trochę tak, jakby się spytać, po co w sztuce o Antoniuszu jest Kleopatra. Masza to główna bohaterka tego romansu. Poza miłością do siebie samego człowiek musi jeszcze kogoś kochać. Tak go wymyślono. To znaczy człowieka. Masza to przeciwieństwo Dżerziego – dobroć, niewinność, żyła w piekle, tyle że innym, moskiewskim. Uciekła i wpadła na demona. Jej dziennik, prawdziwy czy nieprawdziwy, zajmuje prawie ćwiartkę książki.

Rosjanie, Niemcy, Żydzi, Polacy – pachnie mi to jakąś przewrotną poprawnością polityczną. Pisze pan o wszystkich, o których wypada pisać.

– Bo ja jestem znany koniunkturalista, poprawny politycznie od przodu i od tyłu. Właśnie uświadomiła mi pani, że zapomniałem o Arabach. Jednym z bohaterów książki jest Nowy Jork, a to miasto odrobinę się różni od Warszawy czy nawet Krakowa. To właściwie cały świat: tu jest Mała Odessa, Mała Italia, dzielnica chasydzka, Chinatown, nasz rodzony Greenpoint, Harlem – murzyński i portorykański – i jeszcze parę ciekawych miejsc. A przed Federal Plaza codziennie ustawiają się w długiej kolejce setki uciekinierów z Afganistanu i Czeczenii, błagając o azyl czy pozwolenie na pobyt. To wszystko się ze sobą miesza i przenika.

> *W Polsce ciągle spotykam ludzi, którzy sądzą, że znają Nowy Jork lepiej ode mnie, chociaż w nim wcale nie byli*
>
> JANUSZ GŁOWACKI

No tak, ale jak te historie mają się do Kosińskiego?

– Nieśmiało chciałem zwrócić uwagę, że on był Amerykaninem, Polakiem, Żydem, który nawet w NYC przez parę lat upierał się, że jest Cyganem albo Hucułem, i w tej długiej kolejce przed Federal Plaza wystawał. Jego drugą żoną była austriacka baronowa, a ostatni romans miał z Polką. Twierdził, że jego ojciec urodził się w Rosji – naprawdę to był Zamość, że matka studiowała w konserwatorium w Moskwie – nigdy tam nie była. Pierwsze dwie książki *non fiction*, napisane po angielsku – znany jest tłumacz – które podpisał pseudonimem Joseph Nowak, to opis jego studiów, rozmów i przemyśleń z podróży po Związku Radzieckim. Obie wzbudziły zachwyt swoim autentyzmem, lord Bertrand Russell padł na kolana, a Adenauer prawie płakał. Podczas gdy one... mniejsza z tym, piszę o tym w książce. Świat widział jako kombinację. Kombinację zła, seksu, przemocy i kłamstwa.

Cóż, powiem coś bardzo mądrego: taki jest świat. Jest pan cynikiem?

– Dlaczego?

Tak wynika z dedykacji umieszczonej na początku książki dla kobiety, która prosi, aby tę historię napisał pan prawdziwie, bez cynizmu.

– To inwokacja, a nie dedykacja. Zwracam uwagę, że ironiczna. Jestem cynikiem lirycznym.

Co to znaczy?

– Że raz jestem, a raz nie jestem, to zależy od nastroju, czy mnie boli ząb albo mam niewygodne buty. Zawsze uważałem, że dystans i ironia to najlepszy sposób mówienia o rzeczach dramatycznych.

Mówi pan w czasie przeszłym. Ironia panu przeszła?

– Raz przechodzi, a zaraz potem wraca. Z ciekawości sprawdzam czasem obecność sensu w absurdzie i odwrotnie. Próbuję to uporządkować. W tej książce też.

Nie jest łatwo połapać się w jej konstrukcji.

– Parę osób się połapało. Już się ją tłumaczy na kilka języków. To jest opowieść o pisaniu przeze mnie scenariusza na zamówienie niemieckiego producenta, który też ma w tym parę dziwnych interesów. Po drodze ciągle coś się pojawia, wyjaśnia, okazuje albo traci sens. Mieszają się bohaterowie, różne języki, różne rodzaje narracji, sny i koszmary senne. Lekki obłęd codzienny.

Pański czy Kosińskiego?

– Niech pani nie krzywdzi zmarłego, bo nie może oddać. W Ameryce część krytyków uważa, że to, co piszę, to surrealizm, część – że naturalizm. I się kłócą. A przecież łatwo zauważyć, że w dzisiejszych czasach to jest nie do odróżnienia.

Kosiński to ja – mógłby powiedzieć autor tej książki?

– Nie. Masza to ja.

Mogłoby być więcej Kosińskiego.

– Albo mniej.

A ta scena, w której pisarz rozmawia z francuskimi producentami w eleganckiej restauracji Maxim's, jest prawdziwa?

– Błagam, niech pani mnie nie namawia do streszczania książki. Ta scena jest w stu procentach prawdziwa i trochę nieprawdziwa.

Może ta książka to akt zemsty na pisarzu, który zrobił coś, na co pan nie miał siły? Zazdrości mu pan odwagi w burzeniu polskich wstydów i zahamowań?

– Ja w ogóle zazdroszczę wszystkim wszystkiego: prostytutkom, że sobie nie żałują, dziewicom, że mają coś do stracenia. Jestem chodzącą zawiścią. Jak komuś nie zazdroszczę, to się nim brzydzę. Zastanawiałem się, czy historia Kosińskiego musiała tak się skończyć? Czy na przykład, gdyby nie parę przypadków, nazwijmy je fatum, mógłby teraz odbierać Nagrodę Nobla?

I do jakich wniosków pan dochodzi?

– Że oczywiście mógłby dostać Nobla. W końcu za powieść „Kroki" dostał najważniejszą amerykańską nagrodę literacką National Book Award. Ciekawe, że kiedy go zaatakowano, żaden amerykański pisarz nie wziął go w obronę. Nikt. Wszyscy nabrali wody w usta.

Ma pan coś na usprawiedliwienie jego kłamstw?

– Mnóstwo rzeczy. Przyjechał do Ameryki i zauważył, że to piekło, które przeżył, jest na Nowy Jork za mało piekielne, więc dokładał i dokładał. A potem żył w strachu.

A pan czegoś się boi? Ma pan jakieś pisarskie grzeszki na sumieniu?

– Żadnych grzeszków, same grzechy śmiertelne.

I co będzie z tego powieściowego scenariusza. Film?

– Film albo będzie, albo nie będzie. Producent już jest.

Kto mógłby zagrać Kosińskiego?

– Ja bym chciał, ale boję się, że nie przejdę przez casting. Może Sean Penn byłby lepszy? Ważny jest reżyser. I żeby czuł Nowy Jork. Chociaż w Polsce ciągle spotykam ludzi, którzy uważają, że znają Nowy Jork znacznie lepiej ode mnie, i wcale im nie przeszkadza, że tam nigdy nie byli. Tak samo jak z naszymi politykami – wszyscy wiedzą, czego chce naród. Krzyczą, że naród żąda! Naród się domaga! Zwłaszcza prawdy! A naród to taki sobie tłum, ten chce tego, tamten tamtego. Kiedy byłem pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie, wypadła jedna karteczka. Nie mogłem się powstrzymać i ją przeczytałem. To była prośba, żeby AC Milan wygrał mecz.

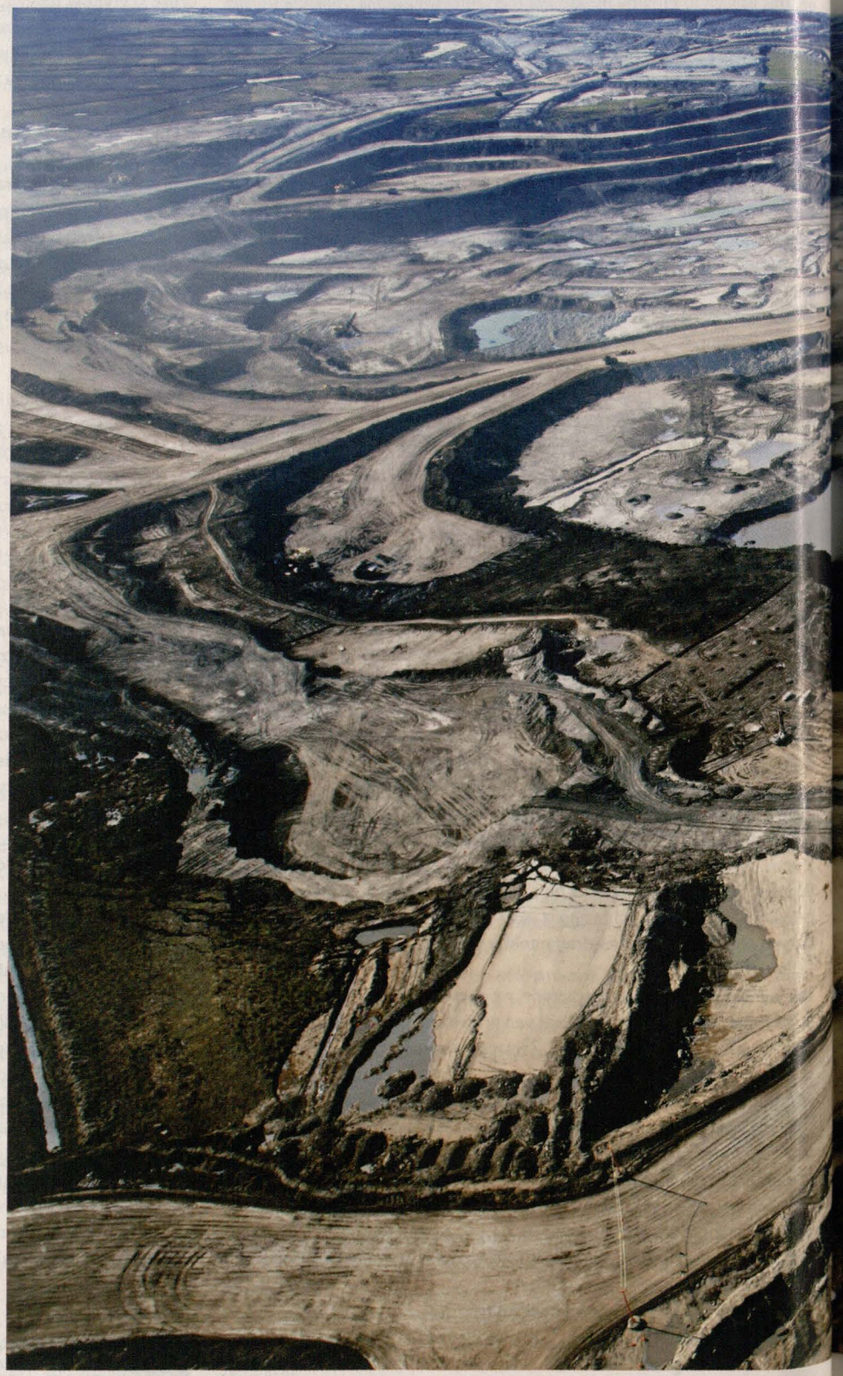
A jednak pan jest cynikiem. •

Chilli ZET. Radio w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

Roponośny armagedon

Namalowali plamy krwi na czarnej mapie Alberty. Wymyślili taki plakat, gdy zobaczyli prowincję z pokładu helikoptera. – Oglądasz coś takiego i zaczynasz kwestionować sens istnienia ludzkości – mówią ekolodzy

MACIEJ JARKOWIEC
(FORT MCMURRAY, KANADA)



Przed erą ropy naftowej była era kaszalotów. Olej z ich wątroby był najpopularniejszym paliwem oświetleniowym do połowy XIX wieku i zasilał na przykład latarnie Londynu, największego wówczas miasta świata. Kiedy kaszaloty znalazły się na granicy wyginięcia, a cena tranu doszła – w przeliczeniu na dzisiejsze wartości i miary – do 1700 dolarów za baryłkę, rozpoczęła się era ropy. Miejsce narodzin? Kanada.

W 1846 roku Abraham Gesner z Nowej Szkocji opracował metodę uzyskiwania z ropy nafty, która zastąpiła tran w latarniach. 12 lat później inny Kanadyjczyk, James Miller Williams z mieściny Black Creek w prowincji Ontario, wywiercił pierwszy na świecie szyb naftowy. Założona przez niego w 1860 roku Canada Oil Company była pierwszą firmą naftową, a kilka następnych lat, które zamieniły biedne Black Creek w spływające pieniędzmi Oil Springs – pierwszym w dziejach naftowym boomem. Stąd rozjeżdżali się nafciarze i inicjowali kolejne boomy w wielu zakątkach świata, włączając Bliski Wschód. 150 lat później rozpoczął się boom w sąsiadującej z Ontario Albercie. Czy ostatni?

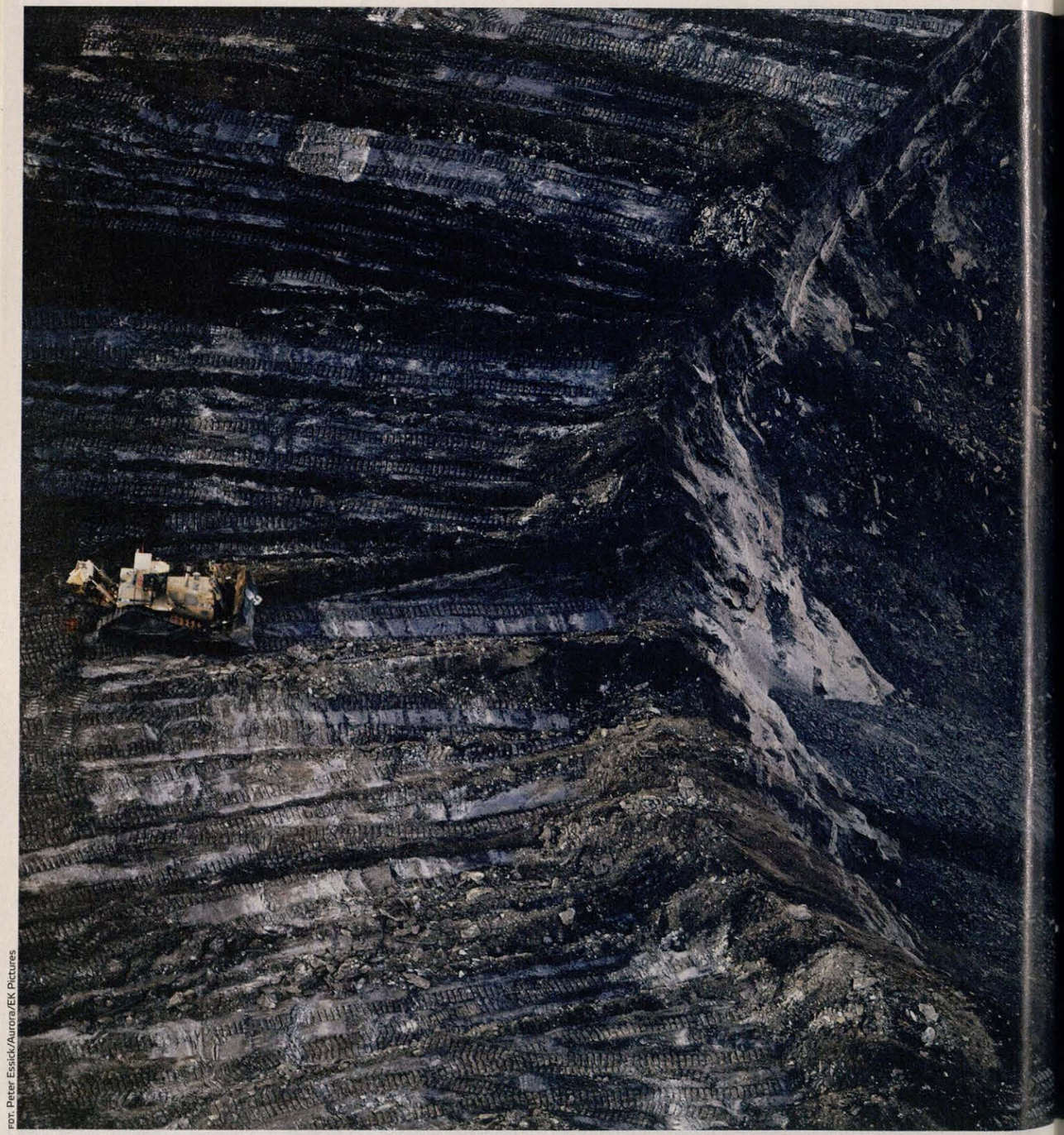
Ziemia

Dla Wayne'a Groota najważniejsza jest ziemia. Jego rodzina od 80 lat uprawia 500 akrów →

Małe żółte punkciki na drogach to **ciężarówki o ładowności 40 typowych TIR-ów**. W okolicach Fortu McMurray pracuje ich ponad 300



FOT. Jiri Rezac/Polaris/East News



fot. Peter Essick/Aurora/EK Pictures



Koparki do wydobywania piasków roponośnych **są tak zaprojektowane, aby pracować 24 godziny na dobę.** Przy 18-godzinnym dniu pracy biznes już się nie opłaca

→ położonych 70 kilometrów na północ od stolicy Alberty Edmonton. Farmę założył dziadek. Groot z bratem przejęli ją po ojcu, chcą zostawić ją swoim dzieciom. Zbierają sześć tysięcy ton ziemniaków rocznie. – To są najlepsze ziemie rolne w Kanadzie – tłumaczy Groot. – Świetny mikroklimat i irygacja.

Idziemy przez pole. Ziemia jest miękka i lepka, brunatna. Dookoła jednolity krajobraz – pofalowana pagórkami rola pod granatowym niebem. Groot opowiada, jak do niego też przyszli, pierwszy raz przed czterema laty. Oferowali cenę 10 razy wyższą od rynkowej. Ale nie sprzedał. Co mu po pieniądzach bez ziemi? Zdziwił się, kiedy sąsiad wpadł pewnej niedzieli i przy herbacie wyznał, że wszyscy inni sprzedali. – Zostaliśmy sami – mówi Groot. – O, widzi pan? – Wchodzimy na pagórek i nagle z pól wyrasta fantastyczna, nierealna wręcz fabryka. Dziesiątki kominów i betonowo-żelaznych konstrukcji wysokich na kilkadziesiąt metrów ciągnie się przez całą linię horyzontu od wschodu po zachód, na oko przez kilka kilometrów. – To dopiero początek – stwierdza sucho Groot. – Inwestycje ruszą w ciągu kilku lat.

Po sam płot ze wszystkich czterech stron gospodarstwo Wayne'a Groota zostanie otoczone przez przemysłowe monstra. Za miedzą Wayne ma teraz koncerny naftowe.

Ropa

Na najlepszych ziemiach Kanady powstają rafinerie, które będą czyścić ropę płynącą do sąsiadów Groota rurociągiem z północy prowincji. Tam, na jednej trzeciej powierzchni Alberty, tuż pod drzewami i bagnami tundry, pod leśną ściółką i złogami torfu zalegają rezerwy ropy mniejsze tylko od tych saudyjskich. Piaski roponośne – mieszanina gliny, wody i bitumenu, czarna masa lepiąca się do dłoni. Już w XVIII wieku Indianie spalali ją i powstałą kleistą mazią uszczelniali łodzie. Przez dziesięciolecia nie znano jednak skutecznej przemysłowej metody oddzielenia bitumenu od piasku, tak by uzyskać ropę. Dopiero w latach 50. XX wieku Manley Natland – naukowiec przybyły z Kalifornii – wymyślił, żeby na głębokości kilkuset metrów odpalać setki bomb jądrowych. Pod wpływem wywołanej w ten sposób wysokiej temperatury ropa miała się upłynnić i osiąść w podziemnych →

→ nieckach powstałych w wyniku wybuchów. Plan dostał zielone światło od władz i północną Albertę zamieniono by niechybnie w napromieniowany ser szwajcarski wielkości Anglii gdyby nie chemik z Ottawy Karl Clark, który opracował metodę wypłukiwania bitumenu gorącą wodą. Dzięki niemu dotarcie do albertańskiej ropy stało się łatwiejsze – wystarczyło karczować i kopać.

Nafciarze więc karczują i kopią. Wycinają leśny ekosystem ustępujący wielkością jedynie Amazonii – największe na planecie siedlisko wilków, rysiów, łosi i niedźwiedzi. Według Instytutu Polaris z Ottawy jeśli uprzemysłowienie nie zostanie powstrzymane, aby wyeksploatować całe złoża, przemysł naftowy zamieni nietkniętą dotąd kanadyjską tundrę w kopalnię odkrywkową wielkości Portugalii, Danii i Grecji razem wziętych.

To właśnie zobaczyło kilku działaczy ekologicznych, kiedy pewnego dnia wsiadło do helikoptera, żeby popatrzeć z lotu ptaka, jak wygląda największe industrialne przedsięwzięcie współczesnego świata. Ujrzeli oni bezkresny, wynaturzony krajobraz kopalnianych dolin i wąwozów, ściekowych rzek i jezior, szczytów dźwigów i dyszących ogniem kominów. Bezgraniczną krainę ropy.

***

„Eksploatacja piasków roponośnych Alberty może stać się filarem naszego bezpieczeństwa energetycznego i gospodarczego" — napisała w raporcie z maja 2001 roku specjalna komisja rządu USA. Ustawa energetyczna podpisana przez prezydenta George'a W. Busha cztery lata później powołała grupę zadaniową, „która wypracuje zasady współpracy z prowincją Alberta w Kanadzie dotyczące uzyskiwania ropy ze złóż piasków bitumicznych".

Dla Stanów Zjednoczonych liczy się ropa, choć Bush w przemówieniu po przyjęciu ustawy przez Kongres ujął to dosadniej: „Ameryka jest od ropy uzależniona". 70 procent tej wyprodukowanej w Albercie trafia na rynek amerykański i to rząd w Waszyngtonie działający w porozumieniu z koncernami naftowymi jest największym rzecznikiem industrializacji prowincji. Amerykanie zużywają dziś 21 milionów baryłek ropy dziennie, dwa razy więcej niż cała Europa, trzy razy więcej niż Chiny. Sam amerykański sektor rolniczy zużywa tyle ropy, ile gospodarka Francji. Wspomniana ustawa z 2005 roku zakłada redukowanie konsumpcji, ale dopiero od 2015 roku.

Lobby naftowe jest najpotężniejszą grupą interesu w Waszyngtonie. Branża wydaje ponad 150 milionów dolarów rocznie na lobbing, prawie wszyscy ze 189 członków Narodowej Komisji Paliw (NPC) kontrolującej politykę energetyczną państwa zajmowali wysokie stanowiska w koncernach naftowych. Dick Cheney – były wiceprezydent USA, ojciec chrzestny amerykańskiej inwazji na Irak – był dyrektorem koncernu Halliburton, giganta produkującego naftową infrastrukturę. Na reformę amerykańskiej energetyki, która przesunęłaby kapitał inwestycyjny w stronę rozwoju źródeł odnawialnych – na wzór Niemiec, Skandynawii czy Korei Południowej – nie ma szans. Zamiast tego za 12 miliardów dolarów powstaje długi na trzy tysiące kilometrów ropociąg. Połączy on Albertę z Teksasem i w dużej mierze pozwoli USA uniezależnić się od niezbyt przyjaznych dostawców z Bliskiego Wschodu, Wenezueli i Rosji. Kanadyjczycy nie będą się opierać. Premier Stephen Harper po części zbudował swoją karierę na boomie i płynących z USA petrodolarach. Rząd prowincji Alberta promuje eksploatację i ręka w rękę z nafciarzami wydaje miliony na kampanie marketingowe mające przekonać, że zagrożenia dla środowiska są przez ekologów wyolbrzymiane. Rozwijana jest technologia *in situ* umożliwiająca wypłukiwanie bitumenu pod ziemią i pompowanie go na powierzchnię na terenach, gdzie złoża są zbyt głęboko, by je wykopać. Rząd zakłada, że do 2018 roku produkcja ropy w rejonie piasków bitumicznych ma się zwiększyć ponad dwukrotnie. W ciągu kilku najbliższych lat albertański kurek zostanie odkręcony do oporu.

Woda

W języku athabaskan Indian Dene „de" znaczy „strumień" albo „płynąć", „trwać". „Ne" to matka ziemia. Indianie Dene na swoją krainę mówią Denendeh, co oznacza „duch Stworzyciela płynie przez tę ziemię". Dene, obok Cree, są największą rodziną plemion zamieszkujących tereny północnej Alberty. Przez ich ziemię płynie rzeka Athabaska.

Dla Marie Adam z plemienia Dene liczy się woda. – Życie zaczyna się z wody, matka nosi dziecko w łonie pełnym wody, najmniejszy insekt potrzebuje jej, by żyć – tłumaczy cierpliwie. – Ta rzeka jest dla nas święta.

70-letnia Adam pochodzi z Fort Chipewyan położonego w delcie rzeki Athabaska, 700 kilometrów na północ od Edmonton. Osada jest odcięta od świata, nie prowadzą do niej drogi, dotrzeć tam można tylko łodzią lub samolotem albo zimą przez lód. Na plakacie ekologów Fort Chipewyan jest poplamiony krwią.

***

Technologia Karla Clarka uratowała wprawdzie Albertę przed napromieniowaniem, ale zabrała jej wodę. Kopalnie powstają u brzegów rzeki, bo żeby oddzielić bitumen od piasku, potrzeba 370 milionów litrów sześciennych wody rocznie. To dwa razy więcej, niż zużywa ponadmilionowe Calgary. Nafciarze dostają ją w ramach dzierżawy, prosto z Athabaski. Według danych Uniwersytetu Alberty w ciągu ostatnich 30 lat jej poziom w górę od miasta Fort McMurray – centrum naftowego boomu – obniżył się trzykrotnie.

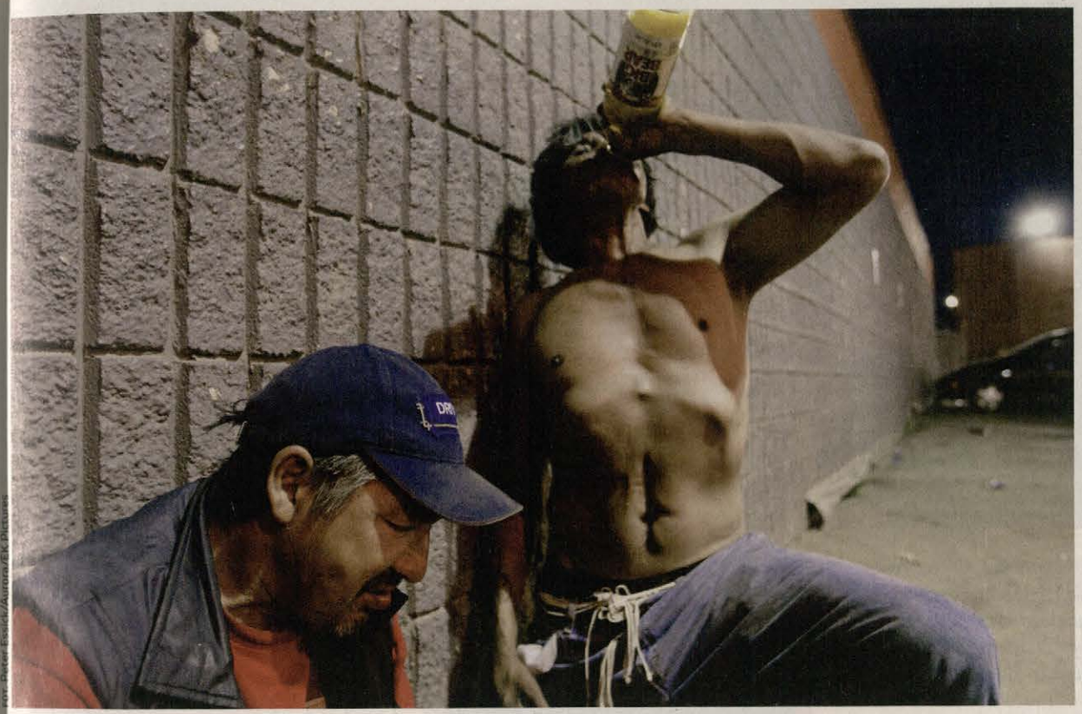
95 procent zabranej przez przemysł wody nigdy nie wraca do rzeki. Po procesie wypłukania bitumenu zostaje gliniasta toksyczna maź zawierająca benzol, cyjanek, dziesiątki metali ciężkich i trujących kwasów. Pompuje się ją do wielkich zbiorników powstających wzdłuż Athabaski. Największy z nich – należący do firmy Syncrude – widać gołym okiem z orbity okołoziemskiej. Osłania go tama, która do czasu otwarcia chińskiej Tamy Trzech Przełomów była największa na świecie.

Według organizacji Environmental Defence codziennie z toksycznych zbiorników do wód gruntowych i dalej do rzek przesiąka 11 milionów litrów ścieków. Przedstawiciele działających wzdłuż Athabaski firm nie zakwestionowali tych danych, przyznają, że „część zniszczeń jest nieodwracalna". Giną ptaki, ryby i ludzie. Rządowa rada do walki z rakiem potwierdziła wnioski doktora Johna O'Connora z Edmonton, który od kilkunastu lat co miesiąc dyżuruje przez tydzień w Fort Chipewyan. Opisał on pojawienie się tam przypadków zachorowania na raka przewodu żółciowego. W Kanadzie występuje on z częstotliwością jeden na sto tysięcy. Tymczasem w liczącym 1200 mieszkańców Fort Chipewyan w ostatnich kilku latach zabił pięć osób.

Marie Adam mówi cicho i powoli: – Gdy byłam młoda, piliśmy tę wodę prosto z rzeki. Teraz jest ciemna i śmierdzi. Łowimy ryby obrosłe guzami. Rząd nie chce nas słuchać, kiedy mówimy „dosyć".

Pieniądze

– Żadnych zdjęć i żadnego nagrywania – zaznacza strażnik, gdy przekraczam bramę piekieł. Moim przewodnikiem jest Lindsay Wry, uśmiechnięta 25-latka ubrana jak hipiska. Mówi też jak hipiska. Przez dwie godziny jeździmy po kopalni – oglądamy z bliska to,



Fot. Peter Essick/Aurora/EK Pictures

Fort McMurray przyciąga bezrobotnych z całej Alberty. Wielu z nich nie wytrzymuje jednak ciężkiej pracy i ląduje na ulicy. Miasteczko ma **najwyższy odsetek bezdomnych w prowincji – 6,8 na 1000 mieszkańców**

co William Marsden, autor bestsellerowej książki „Głupi do ostatniej kropli", nazywa ekologicznym armagedonem. Wdychamy dławiący smród, ale Lindsay opowiada o ochronie środowiska i prawach Indian: że Suncor jest samowystarczalny energetycznie; że Suncor oczyszcza wodę; że Suncor sadzi lasy na wyeksploatowanych terenach; że Suncor tworzy specjalne korytarze dla dzikiej zwierzyny i że Suncor się konsultuje – z ekologami, ze społecznikami i z Indianami. Przedstawicielka tych ostatnich zasadziła trzymilionowe drzewko w ramach projektu zalesiania. Tam – pokazuje Lindsay i przez szybę busa widzę brzózkę sterczącą samotnie kilka metrów od zagajnika, otoczoną jaskrawopomarańczową siatką. Gdy podnoszę wzrok, w czarnych ścianach kanionu wre praca koparek wielkości Titanica i wywrotek wysokich na trzy piętra, wartych 6,5 miliona dolarów za sztukę (bez opon) i spalających 240 litrów paliwa na godzinę. Bez przerwy, na trzy zmiany, przez 365 dni w roku, żeby z każdych dwóch ton wykopanej mazi wyprodukować jedną baryłkę ropy.

– Nie przeszkadza ci smród? – pytam Lindsay.

– Trochę wodorowęglanów, nic groźnego.

– Skąd ta pewność?

– Przecież Suncor nie pozwoliłby nam wdychać trujących gazów.

Kopalnia firmy Suncor, którą udało mi się zwiedzić (jako „dziennikarzowi z Polski zainteresowanemu rozwojem branży naftowej"), jest pierwszą w rejonie Fort McMurray. Powstała w 1967 roku i przez wiele lat była jedną z niewielu. Prawdziwy boom rozpoczął się w połowie mijającej dekady wraz z gwałtownym wzrostem cen ropy na światowych rynkach. Proces odzyskiwania bitumenu jest na tyle kosztowny, że naprawdę zaczyna się opłacać, gdy cena za baryłkę nie jest niższa niż 60 dolarów. Teraz ceny są dobre – wzdłuż Athabaski znika tundra, minister energetyki Alberty przecina wstęgi podczas otwarcia kolejnych kopalni, a do Fort McMurray zjeżdżają robotnicy. Dla nich, tak jak dla rządu Alberty i dla kilkudziesięciu największych firm naftowych świata, liczą się pieniądze.

***

Lindsay Wry przyjechała do Fort McMurray ze wschodniej Kanady za narzeczonym, który dostał pracę w kopalni Suncor. Marie Adam z plemienia Dene przybyła tu z Fort Chipewyan opiekować się prawnuczkiem. Jej wnuczka jeździ wywrotką w kopalni w najczęstszym tu systemie pracy zwanym „trzy, trzy, sześć" – trzy noce po 12 godzin, trzy zmiany dzienne, sześć dni wolnego. W 1999 roku w mieście żyło 36 tysięcy ludzi, dziś jest ich cztery razy więcej, do tego kilkadziesiąt tysięcy umieszczonych w sezonowych obozowiskach pracy pobudowanych wzdłuż rzeki. Przyjeżdżają z całej Kanady, z Afryki, Azji i ze wschodniej Europy. Chcą załapać się na boom. – To jest gorączka złota – usłyszałem od recepcjonistki w Oil Sands Motel, najstarszym motelu w mieście.

Fort McMurray nie jest urokliwym miejscem. Na pół przecina je autostrada – tętnica pompująca do kopalni nieprzerwany strumień ciężarówek i autobusów załadowanych ludźmi do pracy. Mieszkają po jej wschodniej stronie – na wzgórzach obsadzonych osiedlami szarych, jednakowych domów. Po stronie zachodniej nad rzeką huczy naftowe centrum, gdzie w barach i burdelach, w narkomańskich zakamarkach młodzieńcy z całego świata celebrują wypłatę i sześć dni wolnego pod rząd. Basen, lodowisko i centrum kultury noszą nazwy naftowych sponsorów. Miasto ma najwyższy w Albercie współczynnik samobójstw, policja notuje tu pięć razy więcej przestępstw na tle narkotykowym i dwa razy więcej napadów niż w pozostałej części prowincji. To dopiero początek. Władze Alberty, której warta 211 miliardów dolarów gospodarka w 70 procentach opiera się na ropie, →



Piaski roponośne w Albercie **zalegają na obszarze porównywalnym z powierzchnią Wielkiej Brytanii**. Tereny wydobycia dorównują powierzchni Belgii

→ akceptują 95 procent z 60 tysięcy wniosków o zgodę na inwestycje składanych przez nafciarzy każdego roku. Jeśli ceny ropy w przyszłości nie spadną, ludzie nie przestaną tu przyjeżdżać. Boom będzie trwał.

Przyszłość

Karl Clark, którego wynalazek kiedyś uratował Albertę przed podziurawieniem bombami atomowymi, ale jednocześnie wysusza jej rzeki, przybył tu po latach, żeby zobaczyć efekty swojej pracy. Zabrano go na wycieczkę samolotem. Kiedy maszyna wzbiła się ponad budującą się wtedy pierwszą kopalnię Suncor, Clark przeżył ponoć załamanie nerwowe. Kazał natychmiast lądować, wyjechał z Alberty i nigdy tu nie powrócił. Dziś kopalni jest 15. Zajmują zaledwie kilka procent powierzchni, którą rząd prowincji przeznaczył pod naftowe inwestycje. Kanadyjska industrializacja się rozkręca.

Walka o jej powstrzymanie jest pojedynkiem Dawida z Goliatem. Kiedy zajechałem na szare przedmieścia Edmonton pod biuro Greenpeace'u, nie znalazłem nawet szyldu. Gdy na drzwiach parterowego budyneczku za sklepem z balonami dostrzegłem zmytą przez deszcz nalepkę z logo organizacji, na której nie widać już nawet liter, przypomniały mi się flagi Shella, BP i Totala łopoczące dumnie i wysoko obok sztandarów Kanady przed bramami rafinerii. W środku Mike Hudema, jeden z trzech urzędujących tu działaczy, pokazał mi czarną mapę Alberty z plamami krwi w miejscach najbardziej zniszczonych przez naftę. – Nie jesteśmy sami – mówi. – Jest In-



Fot. Jiri Rezac/Polaris/East News

Glina, piasek i ropa – ta klejąca się mieszanka ma uczynić z Kanady drugą Arabię Saudyjską

stytut Polaris z Ottawy, jest Instytut Pembina, są mniejsze organizacje, są Indianie. George Poitras, były wódz Dene z Fort Chipewyan, jeździ do Stanów oraz do Europy i przekonuje, kogo się da, żeby te procesy destrukcyjne zatrzymać, spotyka się nawet z prezesami koncernów. Ale branża jest potężna, prowadzi swoją kampanię ekologiczną, mówi o zalesianiu i odzyskiwaniu wody, choć kanadyjskie ministerstwo środowiska wydało jak do tej pory tylko jeden certyfikat firmie Syncrude potwierdzający pełne przywrócenie naturze mniej niż jednego procenta wyeksploatowanej tundry.

Hudema dostrzega jednak jaskółki nadziei. W sierpniu artykuł krytykujący projekt industrializacji opublikował wpływowy i prorynkowy zazwyczaj magazyn „The Economist". Tygodnik nazywa albertańską ropę „brudną", zauważa, że do wyprodukowania jednej baryłki potrzeba czterech baryłek wody i że 20 procent kanadyjskiego gazu – czyli paliwa czystego – zużywa się do produkcji ropy. Przemysł na piaskach roponośnych jest największym emiterem gazów cieplarnianych w Ameryce Północnej, Kanada nie wywiązuje się ze zobowiązań protokołu z Kioto o ich redukcji, pronaftowa pozycja Ottawy była jedną z przyczyn fiaska szczytu klimatycznego w Kopenhadze.

Północna Alberta jest polem bitwy o znaczeniu globalnym. Jeśli USA uda się do oporu odkręcić kanadyjski kurek, nie tylko zrujnuje to tundrę, ale też na całe dziesięciolecia wyhamuje rozwój technologii energii odnawialnej. To USA są największą gospodarką świata, największym konsumentem energii i potencjalnie najpotężniejszą – naukowo i finansowo – siłą innowacyjną globu. Do jakich efektów może doprowadzić sterowane i dotowane przez Biały Dom rozwijanie nowych technologii, widać na przykładzie przemysłu zbrojeniowego czy informatycznego (Internet wymyślili naukowcy z Pentagonu). Energii Waszyngton modernizować jednak nie chce, tu karty rozdają nafciarze. Ale czy tego chcą, czy nie, era ropy kiedyś się skończy, tak jak skończyła się era tranu. Pytanie tylko, czy wraz z nią nie skończy się nasza cywilizacja. Czy nie doprowadzimy do własnej zagłady, tak jak omal nie wykończyliśmy kaszalotów.

FILM

Dwa wesela i pogrzeb

Im lepszy mają nastrój i im lepiej bawią się twórcy filmowych „Ślubów panieńskich" na planie, tym gorzej bawi się publiczność na widowni

JACEK WAKAR



Fot. Kino Świat

Zblazowanie kontra nienaturalne pobudzenie, czyli Robert Więckiewicz jako Radost i Maciej Stuhr w roli Gustawa

Właściwie trzeba było zachować czujność. Szczególnie że czytałem wypowiedzi Filipa Bajona o tym, jak z poczciwego Fredry zrobił rzecz współczesną, jak to na planie filmu był zakochany (we Fredrze, jak się domyślam), a z aktorskiej gry bił magnetyzm serca. Zapewne Bajon rzeczywiście ma poczucie, że popełnił arcydzieło, ponieważ aż do premiery fama głosiła, że „Śluby..." udały mu się nadzwyczajnie. Znów okazało się jednak, że nieufność popłaca.

Ekranizacja komediowego arcydzieła jest bowiem dziwną gatunkową hybrydą. Bajon, wytrawny macher od kina historycznego (przypomnijcie sobie znakomitego „Magnata"), przestraszył się najwyraźniej, że biorąc Fredrę z dobrodziejstwem inwentarza, sfilmuje nic więcej ponad szkolną lekturę. Umyślił sobie zatem „Śluby..." jako komedię romantyczną, tyle że w dawnym kostiumie i dekoracjach XVIII-wiecznego dworku. Koncept może i nośny, ale boleśnie banalny. Bo o czym w takim razie Bajon chce opowiadać? O tym, że zmieniają się „zewnętrzne okoliczności przyrody", ale uczucia i emocje pozostają wciąż te same? Że miłość zastawia sidła, łącząc ludzi w nieoczekiwane konfiguracje? Eureka! Doprawdy nie trzeba wizyty w kinie, aby o tym wiedzieć.

Za „odkrywczość" interpretacji płaci Bajon na wszystkich polach. Weźmy obsadę. Marta Żmuda-Trzebiatowska gra Klarę, jakby właśnie się urwała z planu „Teraz albo nigdy". Ten sam nienaturalny głos i sztuczne uśmiechy. Anna Cieślak jako Aniela powiela stereotyp trzpiotki, co chwila popatrując na boki rozszerzonymi źrenicami. Borys Szyc czuje się nieswojo w roli Albina, popiskując histerycznie, bo przecie ma być płaksą. Jeden Maciej Stuhr próbuje cieniować postać Gustawa i nie ma kłopotu z fredrowskim wierszem, bo on akurat rozumie, co mówi. Inni natomiast recytują jak szkolną czytankę.

Całość tonie w uśmiechach i żarcikach, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że twórcy filmu nie mają poczucia humoru. Dlatego pokazują, że jesteśmy na planie, bohaterom każą rozmawiać przez komórki, jedna pani drugiej pani pokazuje okładkę kolorowego pisma z jej zdjęciem. Kino współczesne pełną gębą. Kłopot w tym tylko, że od tego manifestowania, jacy to artyści są dowcipni i wyluzowani, widzom po krótkim czasie robi się mdło. Z początku jeszcze „Śluby panieńskie" mogą sprawiać wrażenie odrabianego w pocie czoła zadania z kaligrafii. Po chwili jednak i to pryska. Na koniec zostają tylko dwa ekranowe wesela oraz pogrzeb świetnej w oryginale komedii. I jeszcze niesmak, że pod płaszczem Fredry nabito nas w butelkę. Starego Fredrę zresztą też, bo nie sądzę, aby po doświadczeniu Bajona ktoś chciał wkrótce ekranizować jego sztuki.

●●

„Śluby panieńskie", reż. Filip Bajon, Polska 2010, 100', Kino Świat, premiera 8 października

Jak stracić przyjaciół i zyskać znajomych

Do odważnych świat należy? Raczej do niepoważnych – sugeruje David Fincher w filmie opartym na książce Bena Mezricha „The Accidental Billionaires". To historia założycieli Facebooka i burzliwych początków portalu zwieńczonych kilkoma procesami, ale przede wszystkim znakomicie wyreżyserowana opowieść o przyjaźni, zdradzie, zazdrości i zranionych uczuciach.

Już pierwsza scena, w studenckim pubie, gdzie para kłóci się i rozstaje (genialny słowny ping-pong), wyjaśnia wszystko. U źródeł Facebooka stanęło pragnienie zemsty na byłej dziewczynie, reszta to splot ambicji, przypadku, przekory, szczęścia i paru innych rzeczy. Z niesłychaną werwą i energią Fincher sportretował świat, w którym dokonała się subtelna zmiana: dotąd droga do sukcesu wiodła przez świetne uniwersytety, przynależność do ekskluzywnych klubów czy dobre urodzenie. Dziś wygrywają ci, którzy myślą niekonwencjonalnie, chodzą na skróty i robią to, o czym inni zdążyli dopiero pomyśleć. Chcesz należeć do elity? To ją stwórz – choćby w postaci profilu w portalu, gdzie możesz zapraszać lub odrzucać znajomych. O tym, że szkoda czasu na zbędne zabiegi, wie też Fincher, który nie marnuje ani jednej naszej minuty, nawet banalną scenkę wioślarskich



Fot. Everett/East News

Nim zaczął łączyć, Facebook podzielił paru ludzi – **Eisenberg (Zuckerberg)**

regat zamieniając w reżysersko-operatorski popis.

Mark Zuckerberg w kapitalnym wykonaniu Jessego Eisenberga to impulsywny 19-latek, który z trudem odnajduje się w sztywnych regułach Harvardu. Jeden z tych freaków, którzy wiedzą, jak napisać najbardziej skomplikowany program, ale najbłahsze pogawędki sprawiają im kłopot. Zuckerberg wymyślił Facebooka, bo sam potrzebował go najbardziej?

Scenarzysta Aaron Sorkin, który napisał wszystkie te błyskotliwe dialogi, świetnie rozumie swojego bohatera, bo, jak deklaruje, sam najchętniej siedziałby zamknięty w pokoju, podawał przez drzwi zapisane kartki i odbierał tą drogą jedzenie. Aż strach pomyśleć, jakim milczkiem i odludkiem musi być David Fincher.

MAŁGORZATA SADOWSKA

●●●●●

„The Social Network", reż. David Fincher, USA 2010, 120', UIP, premiera 15 października

Czołganie trabanta

Wysocka przygląda się Niemcom słowami Heinera Müllera

ŁUKASZ DREWNIAK

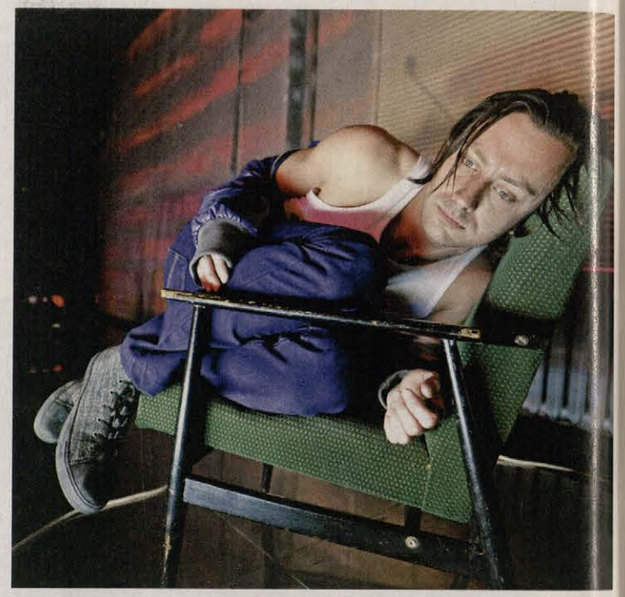
Nowego spektaklu Barbary Wysockiej nie da się zrozumieć bez lekcji historii. Czym była radziecka wojna ojczyźniana i na czym polegał moralny i ideologiczny kac NRD? Przygotowując polską prapremierę „Szosy wołokołamskiej", reżyserka nie chciała nic aranżować pod polskiego odbiorcę. Wysocka przygląda się raczej, jak ta niemiecka historia opowiada się u nas. Tytułowa szosa to miejsce, w którym załamało się niemieckie natarcie na Moskwę. Trupy na poboczu jedynej niezbombardowanej drogi, rozbite czołgi, zima 1941 roku. Adaptując fragmenty powieści Aleksandra Beka, Heiner Müller odwoływał się do tego obrazu, by opisać świadomość obywateli NRD. Jego sztuka składa się z pięciu części pisanych bez podziału na role – ni to dialogów, ni to monologów wewnętrznych. Dwa epizody udają migawki wojenne, a potem przenosimy się do wschodnich Niemiec. Zmienia się perspektywa, ofiary machiny przemocy są teraz również po tej drugiej, niemieckiej stronie, bo skoro komunizm w enerdowskim wydaniu był karą za nierozliczony nazizm, to Niemcy Müllera jak czołgi wrogich armii nacierają na samych siebie. Jak dwaj urzędnicy podczas berlińskich zamieszek po śmierci Stalina w 1953 roku z epizodu trzeciego, jak syn dysydent na ojca komunistę po 1968 roku z części piątej. Ofiara nazizmu, która wspiera obecnie inny totalitarny system, wysyła do więzienia przybranego syna, być może pohitlerowską znajdę, młodego buntownika mówiącego do swojego starego: „Towarzyszu ojcze". Kontrapunktem moralnych zakleszczeń Müllerowskich bohaterów jest scena z dwójką funkcjonariuszy Stasi. Nazywa się ich tu Centaurami, bo są zrośnięci ze swoimi biurkami i nie wiadomo, kto należy do kogo. Zaślubiny funkcji z funkcjonariuszem owocują absurdalną strategią, w której dla dobra państwa trzeba udawać wroga państwa.

We Wrocławiu wszystkie sceny są odgrywane przez trzech aktorów: Adama Cywkę, Rafała Kronenbergera i Adama Szczyszczaja. Z ich pomocą Wysocka sprawdza, co może łączyć pięć opisanych przez Müllera starć nierozumnych postaw i fałszywych idei. Mundury sowieckie zmieniają się niepostrzeżenie w enerdowskie uniformy, emeryt kombatant wojenny zostaje zastąpiony punkowym gitarzystą, aktorzy przylepiają sobie sztuczne wąsy z okularami, jakby w gmachach Stasi pracowały same klony Groucho Marksa. Cały czas dochodzi do przenikania światów. Przestrzeń gry zapełniona przez stoły, krzesła i telewizory z zastygłym obrazem rozstawione w dziwnej konfiguracji może także kojarzyć się z polem bitwy. Nie ma tylko spalonego czołgu, jest trabant z dyskotekową kulą w środku i tajniakiem udającym opozycjonistę. Czołgiem w trabanta! – woła Wysocka. W jej wizji NRD trabant jest jak czołg, odbywa się czołganie trabanta przez historię. A w naszych głowach czołgi pod Moskwą nakładają się na trabanty porzucone na jakiejś węgierskiej szosie przy austriackiej granicy przez uciekających z komunistycznego raju obywateli NRD latem 1989 roku, jeszcze przed upadkiem muru. „Zapomnieć i zapomnieć, i zapomnieć…" – wściekle mantruje niemiecki punkowiec.

„Szosa wołokołamska" to spektakl o człowieku zakleszczonym. Uwięzienie w historii jest tak samo złe jak ucieczka z historii na zawsze. W głębi sceny na wielkim ekranie leci czarno-biały film dokumentalny. Marynarze na trałowcu tasakami kroją na plastry dopiero co złowionego wieloryba. Jest w tym coś z ceremonii, a nawet niezrozumiałego, lecz hipnotyzującego performance'u. Miast pokazywać kroniki wojenne, zapętlać ujęcia zrewoltowanego tłumu na Węgrzech, w Niemczech i Czechach, bo do tych wydarzeń historycznych odwołuje się sztuka Müllera, Wysocka uruchamia kanonadę skojarzeń. Krojenie gigantycznego cielska to nasze operacje na pamięci, zjadanie historii. Czy da się zapomnieć? I po co zapomnieć? Pamiętać, żeby zapomnieć. Zapomnieć, żeby zapamiętać.

●●●●

„Szosa wołokołamska" Heinera Müllera, przekład Mateusz Borowski, Małgorzata Sugiera, reżyseria i scenografia Barbara Wysocka, Teatr Polski we Wrocławiu



Adam Szczyszczaj – 1/3 świetnej aktorskiej obsady **„Szosy wołokołamskiej"**

Metacielę

Witkacy Borczuchem zadręczony

Jarzyna powinien był zdjąć spektakl od razu po próbie generalnej. Dla dobra reżysera i dla dobra teatru. Premiera bowiem jest antyreklamą stylu Rozmaitości, dezawuuje model pracy, w którym to ojciec dyrektor wskazuje repertuarowe kierunki, a młodsi koledzy realizują je niejako w zastępstwie. „Metafizyka dwugłowego cielęcia", jeden z ciekawszych „tropikalnych" utworów Witkacego, wydaje się pasować do kręgu tematycznego, w którym porusza się Borczuch – ośmiokąt miłosny w egzotycznej scenerii Australii i Nowej Gwinei, mordercza choroba, irracjonalne myśli i działania, młodzi kontra starzy, problemy z tożsamością. Żeby ten miszmasz zadziałał jak trzeba, należy znaleźć niewidzialny motorek, zasadę, która wprawi bohaterów w ruch, popchnie ich ku sobie na seks i śmierć. Tymczasem Borczuch poprzestał na zdumieniu obserwacją, że biali w tropikach wariują. Trochę pomęczył się z kompleksem Edypa, trochę podywagował nad kwestią przechodniego ojcostwa. Aktorzy, źle obsadzeni, grają, jakby mieli sztaby ołowiu na nogach i rękach. Janusz Chabior (Gubernator) i Rafał Maćkowiak (Parvis) zwyczajnie się wstydzą, że występują w tym koszmarku. LD

●

„Metafizyka dwugłowego cielęcia" Witkacego, reżyseria Michał Borczuch, scenografia Anna Maria Karczmarska, TR Warszawa

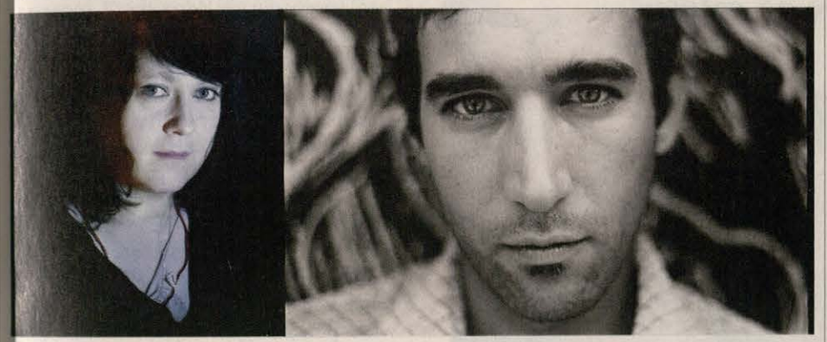


Wszyscy się męczą, głównie aktorzy

Kosmos daleki i bliski

Wszystko jest nowe – śpiewa Antony Hegarty, ale naprawdę nowe rzeczy robi Sufjan Stevens, umykając depresji w cyberprzestrzeń

MARIUSZ HERMA



Antony (po lewicy) jest pogodny jak nigdy, a **Sufjan Stevens** z mroku wywodzi karkołomne dźwięki

Pet Sounds" czy „Revolver"? Dyskusja trwa od 44 lat, ale takie paty służą muzyce. Nierozstrzygnięta pozostała także batalia o tytuł najpiękniejszej płyty 2005 roku, którą stoczyli Sufjan Stevens i Antony Hegarty za pomocą krążków – odpowiednio – „Illinois" i „I Am a Bird Now". Teraz sprowokowali ponowną konfrontację, swoje nowe płyty wydając tego samego dnia: 11 października.

Mając pozycję ulubieńca młodej Ameryki, 35-letni Sufjan Stevens mógł zrobić wszystko, nie wolno mu było tylko zamilknąć. Wystraszył więc swych fanów rok temu, publicznie pytając: „Czy tworzenie muzyki ma jeszcze sens? Po co to robić? Albumy straciły wartość, a mnie interesowały długie formy. Zresztą dziś robi mi się niedobrze na myśl o epickich konceptach. A piosenki? Nie są aby staromodne? Czy w melodyjnej narracji z instrumentalnym akompaniamentem tkwi jeszcze potencjał? Mnie ta formuła przerasta".

Sufjan na szczęście rychło przeprosił się z weną, bo w sierpniu tego roku wydał trwającą o trzy razy za długo EP-kę „All Delighted People" (format EP oznacza zwykle 20–25 minut), a niespełna dwa miesiące później otrzymujemy kolejną godzinę i kwadrans muzyki, przy czym jedną trzecią nowego longplaya Stevensa zajmuje jeden utwór. To tyle o niechęci do wielkich form.

Już od pierwszych sekund „The Age of Adz" wiadomo, że Sufjana zabawa dźwiękami wciąż kręci. Zawsze ciepły i bliski wokal zalał pogłosami, galopującą perkusję przykrył powolnym hiphopowym bitem, a piętrowe orkiestracje i dwupłciowe chórki przepychają się z brzmieniami generowanymi. Strzępy cyfrowych hałasów niczym szarańcza rozsiadły się po całej płycie, a Stevens sięga nawet po ukochany przez widzów MTV i znienawidzony przez resztę świata efekt auto-tune. Żadna nowość nie zagrzewa tu miejsca na dłużej, bo po chwili wypycha ją nowość nowsza, a jednak to wciąż ten sam Stevens, który przez ćwierćgodzinne „Impossible Soul" wiedzie nas lekkimi przeskokami z refrenu w refren. Jak bardzo karkołomnym zadaniem będzie odtworzenie tego materiału na żywo? Obyśmy mieli okazję szybko się o tym przekonać.

Tytuł i oprawa graficzna „The Age of Adz" nawiązują do prac zmarłego w 1997 roku Royala Robertsona. Cierpiący na schizofrenię artysta jako 14-latek miał ujrzeć Boga zasiadającego nie w rydwanie, lecz za sterami pojazdu kosmicznego. Jako samozwańczy prorok ostrzegał przed apokalipsą, której nadejście miała przyspieszyć jego eksżona. Utracona miłość i stracone życie, nieuchronny koniec i bezmiar kosmosu – to tematy jak znalazł dla pogrążonego w duchowej beznadziei Stevensa.

„Wszystko, wszystko jest nowe" – optymistycznie mantruje tymczasem Antony Hegarty na początku czwartego i najbardziej pogodnego albumu Antony and the Johnsons. A jednak wszystko u niego jest po staremu. Syntezator w rzeźkim „I'm in Love", modulowane pianino i otulony elektroniką głos w tytułowym „Swanlights" – zuchwałość tych zabiegów to oglądanie gwiazd przez lornetkę, podczas gdy Sufjan krąży już po orbicie. Antony się nie sili, bo jest mu dobrze. O duchowym odrodzeniu śpiewa w dziękczynnym „Thank You for Your Love", a w „Ghost" przy aranżacyjnym wsparciu Nica Muhly'ego (a wykonawczym London Symphony Orchestra) puszcza zmory przeszłości w niepamięć. Wielkie szczęście Antony wyraża jednak wciąż z tą samą piękną melancholią. O tym, że kiedyś potrafił zaskakiwać, przypomina tylko nieziemski duet z Björk w utworze „Flétta". Błogi wieczór u Antony'ego czy przygoda z Sufjanem? Może jedno i drugie?



●●●●

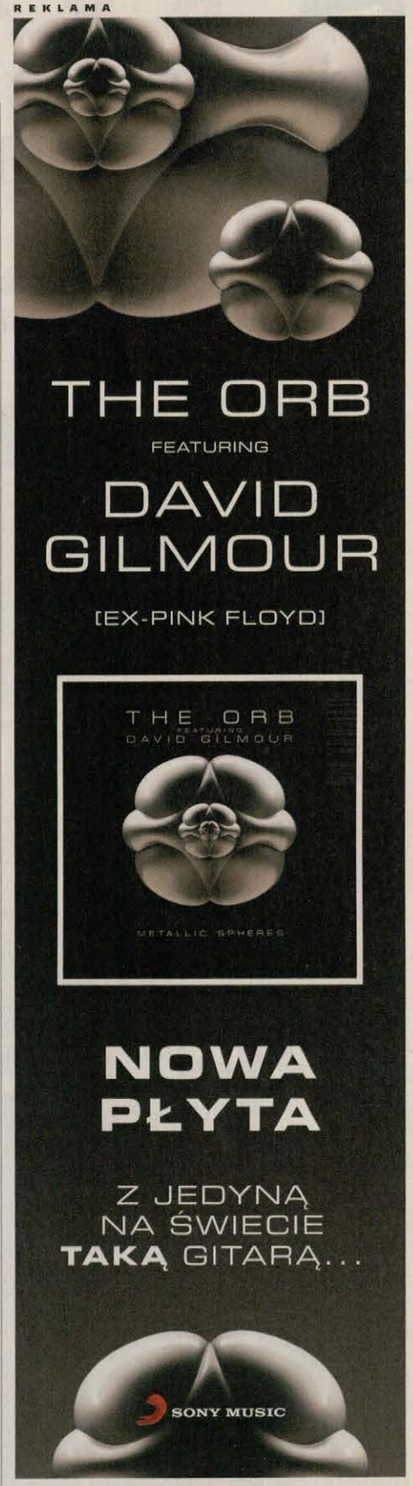
Antony and the Johnsons „Swanlights", Secretly Canadian



●●●●●

Sufjan Stevens „The Age of Adz", Asthmatic Kitty

REKLAMA



empik.com PRZEKRÓJ ROCK
cgm.pl students.pl AUDIO VIDEO WP.PL

ŁADNE WZORY

Artystyczny nocleg

Czyli wybieramy dobrze zaprojektowany odpoczynek i cytujemy klasyka: „Fantazja jest od tego, aby bawić się na całego”

OLA SALWA



Ale kosmos! Tak właśnie wygląda **hall w hotelu** Andel's w Łodzi

Spokojnie, nie sugerujemy wyjazdu do Disney-, Lego- albo innego -landu ani żadnego skomercjalizowanego parku rozrywki. Zamiast tego proponujemy wyprawę do dizajnerskich hoteli w Sopocie, Poznaniu i Łodzi. Nie będzie tam nijakich wnętrz (à la droższe hotele sieciowe) lub kompletnego bezguścia w postaci kwiecistych zasłonek i uszytych z takiego samego materiału kap na łóżko (tanie noclegi), lecz przemyślany, pełen fantazji wystrój. I nie zapłacimy za to bajońskich sum, tylko tyle, co w hotelach o podobnym standardzie. Zaczynamy od północy.

Niedaleko Monciaka i gofrów stoi hotel LALALA. Każdy z siedmiu pokoi zaprojektował inny dizajner. Artystyczny nieład widać już w numeracji pomieszczeń, bo zamiast nudnej kolejności są tu pokoje oznaczone numerami 1600, 38 i 295. I nieskończenie wiele potencjalnych bajek, które możemy opowiedzieć sobie sami przed zaśnięciem. Na przykład za drzwiami pokoju numer 100 jest apartament syrenki: zaokrąglona ściana w kolorze laguny, arabeski plus przywieziona ze sobą wyobraźnia równa się noc na rafie koralowej lub słoneczna wersja „Świtezianki”. Z kolei w pokoju czterdzieści i cztery (czarne ściany, namalowane zwierzęta, wypchany kruk, czerwone poroże wystające ze ściany) czeka mroczniejsza fantazja, a przecież noc dziadów tuż-tuż.

Zupełnie inny rodzaj przeżycia dostarcza wizyta w Blow Up Hall w poznańskim Starym Browarze. Tu wskakujemy w środek interaktywnego dzieła sztuki. Już w hallu wisi ekran, na którym zobaczymy obraz samych siebie podzielonych przez piksele. Dalej sztuka miesza się z technologią: na ścianach wiszą zdjęcia fotografki Vanessy Beecroft, a aby wejść do pokoju, trzeba do niego... zadzwonić z iPhone'a, którego dostaniemy w recepcji. Każdy pokój jest urządzony inaczej, ale wszystkie wyglądają jak pracownie zafascynowanego bryłami dizajnera lub rzeźbiarza. Choć nazwę przybytek otrzymał na cześć filmu Antonioniego („Powiększenie”, czyli „Blow Up”), w korytarzach unosi się raczej duch Buñuela i Lyncha.



Pokojowa biel – jedno z obliczy Blow Up Hall

Na finisz proponujemy łódzki Andel's położony na terenie Manufaktury. Jest on najmniej kameralny, bo ma 278 pokoi, ale nie traci dizajnerskiego charakteru: projektanci połączyli surowy charakter dawnej przędzalni z nowoczesnymi, kolorowymi meblami. Czyli śpimy w wyjątkowo ładnie urządzonej fabryce. Z kolei hall hotelu przypomina scenografię futurystycznego filmu. To co, w drogę? •

Sen jest luksusem

Jeśli chcemy poszaleć, zamiast noclegu w artystycznym pokoju zawsze możemy wybrać nocleg w pokoju drogim. Do wyboru jest zbytek sygnowany na przykład przez Moschino (1 w Mediolanie), Donatellę Versace (2 Australia) albo Armaniego (3 w Dubaju). Oczywiście jeśli umożliwia nam to limit na karcie kredytowej.



fot. Materiały Prasowe (3)

Jeszcze jeden pociąg dzisiaj

My, niepalący, wypraszamy sobie postmodernizm w pociągach!



MICHAŁ WITKOWSKI

Najlepszy felieton, jaki Pilch w życiu napisał, został zainspirowany sprawą tak błahą jak wprowadzenie całkowitego zakazu palenia w pociągach PKP InterCity. „Pociąg do życia wiecznego” był typowym tekstem „obyczajówkowym”. I teraz, gdy ja muszę się zmierzyć z tematem, staje przede mną pytanie: jak pisać o zakazie palenia po Pilchu? Co gorsza, z odwrotnej perspektywy! No, prawie odwrotnej. W każdym razie z perspektywy osoby niepalącej. „Pociąg do życia wiecznego” zaczynał się od realu (zakaz palenia i wkurwienie Pilcha), a kończył na metafizyce (każdy z nas nosi w sobie pestkę śmierci – czy pali, czy biega i wcina witaminki). Pojawiło się tam też cudowne określenie „bierne jedzenie”, na jakie narażony bywa autor w przedziałach dla niepalących. Bierne jedzenie powinno być uznane za szkodliwe. Oj, powinno. Jedzenie w wagonach, w których siedzi się naprzeciwko, a więc starego typu, zmuszających do nie zawsze chcianego kontaktu wzrokowego przez ileś tam godzin, takie jedzenie w polskim PKP jest wyjątkowo niefotogeniczne. Ale jeszcze gorsze jest wchodzenie do kibla, w którym panujące tam zapachy mieszają się ze smrodem niedawnej pojary. Gorsze jest obserwowanie przez okno na stacji dywanu z petów nigdy się niebiodegradujących, który ciągnie się wzdłuż torów. Pety z lat 60., 70., 80., 90... Smród zwietrzałych fajek w wagonach pomieszany z ogólnym brudem i zapachem wilgotnej jesieni zza okien. Człowiek o twarzy zawałowca-onanisty kiepujący peta i zapalający nowego z miną, po której widać, że już go skręca od nadmiaru nikotyny. W pociągu pali się nie z potrzeby, ale z nudów. Od jednego do drugiego nie upływa wystarczająco długi czas, by zdążyło się palaczowi solidnie zachcieć. Prawdziwy głód odczułby dopiero po co najmniej godzinnej przerwie między jedną fajką a drugą. Wiem, co mówię, sam paliłem przez 15 lat. I pamiętam, że i wówczas smród w pociągach mi przeszkadzał, a po każdej podróży w ustach miałem potężny kapeć, bolała mnie głowa, a palce robiły się żółte. Nic jednak gorszego niż smród, jaki przybierają papierosy po kilku latach od rzucenia palenia. Trudno wytrzymać w knajpach, na przystankach autobusowych, wszędzie tam, gdzie w Polsce się pali. Jest to coś wyjątkowo wstrętnego. Osoba paląca może sobie to tylko wyobrazić, jeśli dla przykładu przywoła inne smrody, jakie czuje: palącej się gumy, ciał, śmieci, plastiku, włosów, zgniłych jaj, kupy itd.

Jakkolwiek by było, myślę, że – na zasadzie prostej reakcji na postępującą sterylność życia – już niebawem powstaną knajpy, w których się pali, pije wódę, żre golonkę, przekrzykuje i szczypie w tyłek kelnerki. Powstaną miejsca stylizowane na stare dla stęsknionych starego świata, rodem z kryminalnej sagi o Mocku Krajewskiego. Już powstają, bo czymże innym są warszawskie Zakąski – Przekąski, jeśli nie miejscem jakby wprost wziętym z „Kariery Nikodema Dyzmy”, gdzie ów mógłby spokojnie pójść na śledzia ze znajomą prostytutką, zapalić i napić się wódki. Ludzie od razu w takich miejscach zaczynają się zachowywać spontanicznie, może to smalec i dym tak na nich działa. Mówią głośniej niż w „sterylnych” restauracjach, bo tu jest szynk i wyszynk, a nie żadna sałatka z kiełków na szpitalnym stole pod lampą jarzeniówką. Tu się rechocze. I dobrze. Bo w końcu mamy postmodernizm po to, aby wszystkie kultury z całej historii współistniały ze sobą na pokojowych zasadach. Ale w pociągu pokoju nie będzie. Tam my, niepalący, wypraszamy sobie wszelkie postmodernizmy. Chyba żeby zrobić ostatni, hermetycznie zamknięty wagon dla palaczy. I nazwać go „pociągiem do życia wiecznego”. •

rys. Katarzyna Leszczyc-Sumińska na podstawie zdjęcia Marcina Łobaczewskiego/Newspix.pl

ROMAN KURKIEWICZ

LEWO MYŚLNIE

Ucz się, premierze, ucz...

Z przykrością słuchałem tyrad Donalda Tuska na temat zwalczania dopalaczy



Premier, choć sprawiał wrażenie kogoś, kto odrobił lekcję, to niestety wybrał najgorszego z możliwych (w tej akurat kwestii) nauczyciela: policjantów. Mając za plecami funkcjonariusza policji, opowiadał mądrostki o ściganiu, determinacji i dobrej woli, w które nawet mógłbym uwierzyć, problem w tym, że policja nie ma kompetencji, by wyjaśnić mu zagrożenia, opisać zjawisko, pokazać sensowne i realne rozwiązania. Takie abecadło. Ale przecież i ja nie jestem taką osobą. Dlatego też wypatrywałem, czy za szefem rządu nie stoi pani Kasia Malinowska-Sempruch, szefowa projektu do spraw polityki narkotykowej, ekspertka WHO, zapewne jedna z kilku najbardziej kompetentnych w tych sprawach osób w Polsce... Służę kontaktem. Jako dziennikarz zajmuję się książkami. To polecam panu premierowi dwie: „Odurzonych" wydawnictwa W.A.B. i „Politykę narkotykową. Przewodnik »Krytyki Politycznej«". I zamiast meczu z kolegami z PO – lektura. Dlaczego za karę? A za historię z orlikiem radomskim. Dzisiaj wygląda na to, że został pan Polskę bez boisk, a zostawi pan zaorlikowaną. Ale orliki, jako cenne obiekty, nie są dostępne. Chłopaki w Radomiu, jak chcieli pograć, to weszli przez płot i zostali zgarnięci przez policję. Na ich miejscu poszedłbym po dopalacza i dał komuś w łeb. Dyrektorka szkoły tłumaczyła, że piłkarze niszczą drogą nawierzchnię orlika. A co dopiero z budowanymi molochami w tempie, jakiego nie zna żadna inna budowa służąca dobru publicznemu. Patrząc na budowę Stadionu Narodowego, widzę ruiny Koloseum...

Panie premierze, z przykrością wysłuchałem też opinii o mędrkach dziennikarskich, którzy pana skrytykują za bezkompromisowość w walce ze złem. W tej sprawie może pan znaleźć innych sojuszników niż policja. Konstruktywnie zatem polecam. ●

FOT. Bogdan Krężel

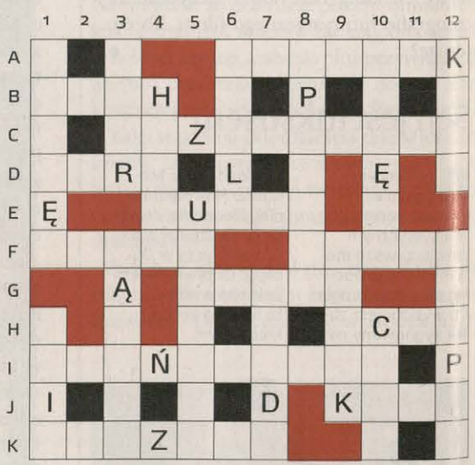
NIE TAK JANEK KOZA



JOLKA NR 41

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

A7 K12 D1 F11 D12 C9 H5 H9 D2 C1 J3 B12 E8 F5 G9 K2 E4 K6 I6 H1 A9 H11 B3



Wyrazy 10-literowe:
- PROCES ROZPUSZCZANIA
- SPRZĄTNIE W OKAMGNIENIU

Wyrazy 7-literowe:
- BOKI ZRYWAĆ Z DOMU
- PIJAWKI DRZEWNE
- NIE DOROŚŁ DO ZJADANIA DZIEWIC
- NA KACZYM NIEBIE

Wyrazy 6-literowe:
- Z ZEJŚCIEM PO ZEJŚCIU
- DAŁ NA CAŁ
- AS RÓŻNYCH ALE
- GAWĘDZIARZ Z O-O-

Wyrazy 5-literowe:
- KRĘTACTWA JAMAJCZYKA
- JEDEN ZBIERA DWÓJKI, DRUGI ZBIERA PIĄTKI
- CZASEM KROWA, CZASEM SŁOŃ
- GĘSTWA NA MLEKU
- ZNACZNIE MNIEJSZY NIŹLI MALI
- WYCIERA ŁZY W DOMINO
- SZEWC MA Z BUTEM
- LGNIE DO WSTYDU

Wyrazy 4-literowe:
- JAK NIE PRZEŻUWA, TO PIWO LUB CIĘŻARÓWA
- ZACZEPLIWA ŚLIWA
- WYPROWADZENIE PROSTEGO W MALINY
- NIĆ 2D
- DOPING DO PIECA
- JUREK ZE ZBIÓREK
- ZIELONE PODNÓŻKI DRIAD
- ROBOTNY CZERNIEC

LAUREACI Z NR. 37

Krzyżówka:
Dagmara Małakowska, Gdańsk; **Małgorzata Piotrowska**, Wrocław; **Emil Przychodzeń**, Warszawa; **Urszula Więckowska**, Wrocław; **Izabela Zmigrodzka-Górny**, Bielsko-Biała

Jolka:
Zofia Istelska, Kraków; **Maria Kuczyńska**, Gryfice; **Jolanta Mazur**, Bogacica; **Jolanta Pawlak**, Łódź; **Katarzyna Polachowska**, Piła

ROZWIĄZANIA Z NR. 39

Krzyżówka: OBSESJA
Poziomo: 1. na paluszki i na nóżki – depilator 7. spodnia część ekranu – pasek 8. tani chwyt – rabat 9. otoczenie generała – otok 10. gra w zielone – kantor 12. węzeł chłonny – tampon 14. oczko pod rzęsą – staw 17. zakład piłkarski – karny 18. człowiek z tytułem – autor 19. para buch – zderzenie; **Pionowo:** 2. szkoła charakteru – pismo 3. kręcą się koło dziewczyny – loki 4. od deski do deski – tartak 5. jeden, gdzie kucharek sześć – robot 6. kundel mechaniczny – motorower 7. 6 na 9 – prostokąt 11. ciężka woda – pomyje 13. szereg wykroczeń – marsz 15. człowiek pracy – tytan 16. wielka improwizacja – jazz

Jolka: DZIELNICA CZERWONYCH JABŁEK (tytuł książki Julii Hoffmann). **Rzędami:** czesław, ławice, wiertło, ssawka, tyniec, defoe, jinks, strefa, ruskie, dionizy, schody, kowadło. **Kolumnami:** deresz, zbicie, skrętosłon, yeti, redyk, włosi, sejf, kwiaciarnia, karzeł, relaks.



KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA

Legendy sowiego królestwa: Strażnicy Ga'Hoole, czyli ostateczny triumf języka angielskiego nad łaciną

Występują:
MŁODY PUCHACZ & STARY PUCHACZ
– krajowi reprezentanci gatunku

MŁODY PUCHACZ:
– Tato, a jak jest puchacz po angielsku?

STARY PUCHACZ (*dumnie*):
– The Eurasian Eagle-owl.

MŁODY PUCHACZ:
– Wow! A po łacinie?

STARY PUCHACZ (*niechętnie*):
– Bubo bubo, synu.

KURTYNA – na złość absolwentom filologii klasycznej – nie zapada.

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA



Trenerowi Fabio Capello na poprawę samopoczucia befsztyk tatarski

Czterdzieści lat temu dostałem wraz z kolegami z mojej klasy zgodę od opiekującego się nami księdza Franciszka Koniecznego, prefekta internatu ojców pijarów w Krakowie, na obejrzenie dogrywki meczu między AS Roma a Górnikiem Zabrze w półfinale Pucharu Zdobywców Pucharów. Minęła 21. Zaczęła obowiązywać cisza nocna. Nie tego dnia. Bramkę dla Włochów strzela Fabio Capello. Wyrównuje Włodzimierz Lubański. Mecz nierozstrzygnięty. Sędzia rzuca monetą... Jan Ciszewski krzyczy do telewizyjnego mikrofonu „...sprawiedliwości stało się zadość, Górnik Zabrze w finale!". Kibicem Górnika pozostałem do dziś.

W zeszłym tygodniu do naszej londyńskiej restauracji przyszedł trener piłkarskiej reprezentacji Anglii Fabio Capello. Przyjmował go mój syn Adam, któremu wielokrotnie opowiadałem minuta po minucie tamten mecz. Teraz mógł o każdej z tych minut posłuchać relacji Capello. Ten pamiętał każdą. Pamiętał podobnie jak ja cały skład tamtego Górnika. Mój syn w zamian na przekąskę zaordynował mu befsztyk tatarski.

PRZEPIS
BEFSZTYK TATARSKI DLA 4 OSÓB

Polędwica wołowa powinna pochodzić z młodego byka, mięso powinno być czerwone, lśniące, niepoprzerastane, o słodkim zapachu.

Jednym z podstawowych czynników smacznego tatara jest użycie bardzo ostrego noża, którym siekamy, a nie miażdżymy nasze składniki, oraz temperatura produktów, która powinna wynosić 4 stopnie Celsjusza. Mięso 280 g siekamy w poprzek włókien (raz w jedną, raz w drugą stronę, na krzyż), aż uzyskamy jednolitą masę, drobną kosteczkę; dodajemy do mięsa 1–2 łyżki oliwy z oliwek. Cebulę około 80 g, ogórki kiszone 80 g, kapary około 8 szt., anchois (3 małe fileciki) kroimy w bardzo drobną kostkę.

Wszystkie składniki wkładamy do miski, dodajemy 6 żółtek, przyprawiamy solą, pieprzem i energicznie mieszamy do uzyskania jednolitej masy (w żadnym przypadku nie dodajemy maggi). Gotowe.

Kiedy otwieraliśmy restaurację U Kucharzy z szefem kuchni Robertem Kondzielą (twórcą powyższego przepisu), ustaliliśmy, że mięso do każdego tatara będzie siekane czy – jak kto woli – skrobane. Kucharze się buntowali, mówiąc, że to będzie długo trwało... Trwa.

Restauracja ma cztery lata, w tym czasie usiekaliśmy 180 tysięcy tatarów. Stadion w Strasburgu ma pojemność 30 tysięcy (6 stadionów). Dzięki Bogu trwa...

Program Adama Gesslera „Wściekłe gary" oglądajcie w sobotę w TVP1 o godzinie 17.20

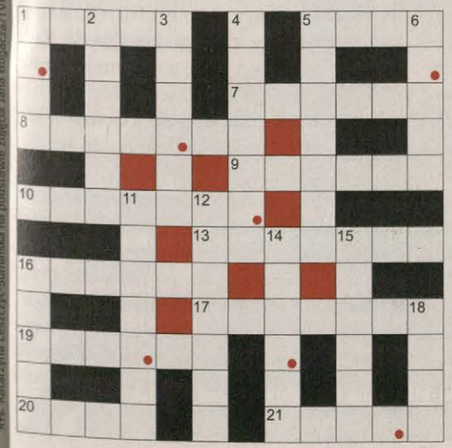
MYŚLNIK KRZYSZTOF BILICA

Pedant stawia kropkę na końcu alfabetu – nad zet.

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

KRZYŻÓWKA NR 41

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



fot. Katarzyna Leszczyc-Sumińska na podstawie zdjęcia Jana Bogacza/TVP/East News, Istock

POZIOMO:
1. MÓWIĄ NA NIEGO
5. MILCZY, TWARDZIEL
7. PANIE PILOCIE, RURA W SAMOLOCIE
8. TO NIE JA BYŁAM EWĄ
9. WYDAWANIE PIENIĘDZY
10. JEJ MECA
13. SERYJNY MORDERCA
16. FIGURA LOTOSU
17. FIOLETOWA KROWA
19. SILNA KOBIETO
20. PUSZCZA BĄKA
21. GŁOŚNIEJ OD BOMB

PIONOWO:
1. GRUBAS SIĘ Z NIM ZMIEŚCI
2. LEŻY NA POWĄZKACH
3. DAŁ NAM PRZYKŁAD, JAK ZWYCIĘŻAĆ MAMY
4. MAŁA MOSKWA
5. MIĘDZY PIERWSZĄ A DRUGĄ
6. KOŃ REPUBLIKI
11. SŁODKA I WIOTKA
12. ŻYWNOŚĆ ZA WODĘ
14. DOM ZŁY
15. PORANNA PAMIĄTKA
16. KOLARZE GO KRĘCĄ
18. SŁYNIE Z NIEPRZYWIDYWALNYCH REAKCJI



Nagrodą w tym tygodniu jest książka **Amosa Oza „Spokój doskonały" (Świat Książki).**

Wygraj jedną z 10 książek Amosa Oza „Spokój doskonały" (Świat Książki)
Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ. HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI **na numer 7243**. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój", ul. Nowogrodzka 47 A, 00–695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 41" lub „krzyżówka 41".

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 18 października 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



Kto zechce, wyliczy łatwo, że ja i moja matka rówieśnikami wprawdzie nie jesteśmy, ale też różnica wieku pomiędzy nami za duża nie jest; jest, szczerze mówiąc, na granicy patologii

2 PAŹDZIERNIKA

Matka kończy dziś 76 lat. Nie sądzę, by było gdzieś wyjaśnienie takiej sprawy; ani w historiach liczb, ani w księgach cyfr, ani w wielotomowych rozprawach o czasie nie jest dostatecznie wytłumaczone, dlaczego ziemski pobyt wpierw się wlecze, potem idzie, potem toczy, potem biegnie, przyspiesza, a na koniec leci, jakby go coś opętało; człowiek ani za własnym wiekiem, ani za dniem dzisiejszym nie może nadążyć. Wychodzą uczone prace tłumaczące rozmaite „fenomeny pamięci wieku dojrzałego", sam miałem niedawno w ręku potężną rozprawę dokumentnie wyjaśniającą, dlaczego z czasem czas biegnie szybciej, niestety, rozdziału zawierającego wskazówki, skąd wziąć czas na przeczytanie analizy tego przyspieszenia, nie było; o próbach sprostania reszcie – szkoda gadać.

Mnie zresztą ani w głowie przy matczynych urodzinach mierzyć się z jakimiś zagadnieniami „wieku dojrzałego", idzie raczej o zdumienie. Kto wie, ten wie, a kto zechce, wyliczy łatwo, że ja i moja matka rówieśnikami wprawdzie nie jesteśmy, ale też różnica wieku pomiędzy nami za duża nie jest, jest minimalna, szczerze mówiąc – na granicy patologii. Wynikają stąd niekiedy nietypowe dla relacji matka–dziecko wspólnoty. Na przykład wspólne zdumienie, że dla obojga zaczął się czas jubileuszy. Przecież poważne Geburtstagi to była domena ludzi dojrzałych, pięćdziesiątki, sześćdziesiątki, siedemdziesiątki obchodził dziadek, babka, biskup Wantuła, nawet ojciec, ale matka? Ale ja?

Znacie to zdumienie i doskonale wiecie, że nie tylko nie ma na nie wytłumaczenia, ale też nie ma sposobu, by je przyjąć. Wanda z Czyżów Pilchowa kończy dziś 76 lat i robi to wrażenie jakiegoś urojenia, a przecież żadnym urojeniem nie jest – jest absolutną fikcją. Żadnego „wierzyć się nie chce", tu nie ma w co wierzyć.

Matka najzwyczajniej w świecie jest dalej młodą, atrakcyjną osobą, od lat wprawdzie z niejasnych powodów na emeryturze; dalej zapracowana, dalej nie ma chwili, dalej od roboty ledwo żyje – to akurat najmniejsza dziwota, ewangelicy z natury bez roboty ledwo żyją. Coś tam oczywiście szwankuje, ciśnienia trzeba pilnować, ręce bolą – ma się rozumieć tylko w nocy, jak żadnych prac nie ma; rano wstaje, bierze się do roboty, po bólu.

3 PAŹDZIERNIKA

Teraz, owszem, trud wzmożony, bo dwa – jak to w Wiśle mówią – „bestyjskie" psy na głowie. Odnotowuję ten fakt, ponieważ, po pierwsze, początek kynologicznego zamętu – i to na tle religijnym – już na tych kartach odnotowałem, po drugie, historia domu na Parteczniku jest też historią kolejnych pokoleń psów tam żyjących, tam uwielbianych, tam rozpieszczanych, do granic rozwydrzanych. Zawsze były to owczarki, ściśle mówiąc: owczarki w pewnym sensie, owczarki niekoniecznie stuprocentowe, w najgorszym razie ćwierćowczarki, ale owczarki. Elementy rasowości – tak jest, niepełne – ale i w swej niepełności jakoś szlachetne i nietypowe, na przykład do dziś w Wiśle wspominany jest pewien nasz pies, którego uszy skłaniały się ku sobie i tworzyły na łbie rodzaj szpiczastego – jak na wieży – zadaszenia.

Opatrznie czy też nieopatrznie – nie ma to już najmniejszego znaczenia – wzięte z cieszyńskiego schroniska kundle są, delikatnie mówiąc, nieco inne. Nie chodzi o wyznanie ani nawet o urodę – idzie o siłę, przebiegłość i ruchliwość. Powiedzieć, że te psy mają ADHD, to nic nie powiedzieć, one mają tę przypadłość w stężeniu milionkrotnym: dla nich zrobić podkop pod płotem, rozmontować żelazne ogrodzenie, przetoczyć z jakichś powodów przeszkadzającą im stertę kamieni – to pikuś. Matula gania za nimi po ogrodzie, bezradnie wygraża pourywanymi smyczami i kolejnych strat wypatruje, i mądrość i dostojeństwo dawnych owczarków wspomina.

– Biały wrócił do domu i wyglądał jak świnia, drugi nie wiadomo gdzie polazł i co zeżarł, nasze stare psy przy tych okazach to byli pełni godności nobliści! – mówi przez telefon; w głosie skarga, irytacja i miłość bezgraniczna.

4 PAŹDZIERNIKA

Rok temu, gdy skończyła 75 lat, zrobiliśmy w Wiśle małą uroczystość i jeśli coś faktycznie doskwiera, a nawet druzgocze, to fakt, że rok minął. Jak by nie patrzeć, jak by nie liczyć, czym by się nie podpierać, jak by w Boga wierzyć albo jak by w niego nie wierzyć – rok minął jak mniejsza o to co.

5 PAŹDZIERNIKA

Dla rozweselenia serca opowiem o perypetii – o pewnym aspekcie perypetii – jaką jest posiadanie młodziutkiej, pełnej uroku i długo, a w zasadzie wiecznie zachowującej dziewczęcy urok i urodę matki. Sytuacja ta – w moim przekonaniu – na rozmaitych elementach mojej duchowości odcisnęła się w sposób kluczowy.

Gdy się urodziłem, matka moja była piękną siedemnastolatką i potem latami i dziesięcioleciami nic się nie zmieniało. Ja rosłem, ona nie. Mnie przybywało lat – jej w ogóle. Ja się starzałem, matula w żadnym wypadku. Najprzód wszyscy uważali, że jest absolutnie niemożliwe, by góra dwudziestoletnia dziewczyna była matką tak dużego chłopca jak ja; potem wszyscy byli święcie przekonani, że jestem jej młodszym bratem, potem okazywało się zupełnie, ale to zupełnie wykluczone, by tak młoda i tak piękna kobieta była matką takiego krasego byka, „co najwyżej jest pani jego młodszą siostrą"! I nie trochę młodszą, ale grubo, a nawet bardzo grubo młodszą siostrą!

Matka moja na okrągło i przy każdej okazji wysłuchiwała tego rodzaju zapewnień i, ma się rozumieć, była przeszczęśliwa. Trudno się jej dziwić – w końcu nie puste i daremne komplementy to były, a czysta, lita prawda. Rada była i ja byłem rad, choć z czasem jęły mnie nawiedzać pewne wątpliwości. Nie gryzłem się tym dniami i nocami, ale z wolna wzbierało we mnie przeświadczenie, że matula niekiedy lubi nie być moją matulą, że ożywia ją to bardzo, że mało co sprawia jej większą przyjemność niż – ma się rozumieć – żartobliwy domysł, że nie jestem jej synem.

Tu się zatrzymuję, bo, po pierwsze, progi podświadomości za wysokie, a po drugie, sytuacja się zmieniła: matula od pewnego czasu – jak ją kto zapyta – lubi się do mnie przyznawać. Nawet jak kto wątpi, przekonuje go z wyrozumieniem i bywa to nieraz iście macierzyńskie wyrozumienie. •

Piękno nie jest doskonałe

Fotografia mody bywa dokumentem epoki. Corinne Day sfotografowała dużo więcej niż ubrania – sportretowała surowy początek lat 90.

KUBA DĄBROWSKI

Wiosna 1990 roku, Corinne Day ma 28 lat i przygodę modelki za sobą. Po kilku latach nomadyzmu właśnie sprowadziła się do rodzinnego Londynu. Z powodu niewielkiego wzrostu (168 centymetrów) dziewczyna nie zrobiła zawrotnej kariery na wybiegu, robiono jej głównie proste zdjęcia do katalogów. Teraz nie ma pracy, ląduje na zasiłku. Interesuje się fotografią. Jej pasja rozkwitła podczas zawodowego przystanku w Mediolanie. – Tworzyliśmy bandę atrakcyjnych młodych ludzi, w większości modeli. Mieszkaliśmy na kupie w obskurnym mieszkanku, żyjąc od pierwszego do pierwszego, a po podłodze walały się lakierowane magazyny prezentujące ekskluzywny styl życia, na który nie mieliśmy najmniejszych szans. Co gorsza, często sami występowaliśmy w tych magazynach – wspomina Day.



Sama fotografuje na przekór. Prosto, z naturalnym światłem, bez upiększeń i udziwnień. Modele są znudzeni i palą papierosy, jak w życiu. Fotografka uważa, że piękno polega na niedoskonałości.

Za pośrednictwem łańcuszka przyjaciół jej zdjęcia trafiają do redakcji „The Face", magazynu przebijającego się na masowy rynek, ale ciągle działającego trochę jak punkowy fanzin. Idee Day jak ulał pasują do wykluwającej się estetyki pisma, redaktorzy proponują jej współpracę, ale nie są w stanie zapewnić honorarium i produkcyjnej pomocy. Day jest skazana na początkujące, budujące swoje portfolio modelki. W zasadzie dziewczyny, które dopiero chcą zostać modelkami. W katalogu agencji Storm trafia na nieostry polaroid 16-latki z Croydon. To Kate Moss. – Była piękna, a jednocześnie wyglądała jak dziewczyna z sąsiedztwa. Poza tym miała dokładnie tyle wzrostu, ile ja. Pierwsza sesja odbywa się w ogródku babci Day, druga na plaży Camber Sands. Używają do nich ubrań z second-handów i pchlich targów. Moss nie ma makijażu i nie umie jeszcze profesjonalnie pozować. Śmieje się, mruży oczy, robi głupie miny. Z magnetofonu lecą piosenki The Stone Roses i Nirvany. Efekt pracy trafia na okładkę lipcowego numeru „The Face". Dla obu to pierwsza poważna publikacja.

Mimo różnicy wieku Day i Moss zostają przyjaciółkami. W Soho wynajmują mieszkanie. O tym, co w następnych latach dzieje się z modelką, wszyscy wiedzą. Fotografka natomiast staje w awangardzie związanej z grunge'em naturalistycznej rewolucji w świecie mody. Surowe, nieretuszowane zdjęcia udaje jej się przemycić nawet na łamy „Vogue'a".

27 sierpnia 2010 roku w wieku 48 lat Corinne Day umiera na raka mózgu. •

RAZ JESZCZE

Z ŻYCIA KOTOZAURÓW ok. 250 MLN LAT TEMU, OKOLICE KIELC



„Zaczynałem jako sprzedawca jeansów”

Nie planowałem, że zostanę modelem. A jednak.
Propozycja pracy pojawiła się niespodziewanie.
Pierwsze zdjęcia, pierwsze pokazy.
Myślałem, że to niedostępny wielki świat. Teraz to mój świat.
Wielki, ale jednak dostępny. Wystarczyło szczęście i odwaga.
Najtrudniejszy był pierwszy krok.

Tobias Sorensen, Topmodel

BEAUTIFUL STORY

RESERVED

www.reserved.com/beautifulstory


PORTA DRZWI
Wypróbuj szybki i bezpieczny serwis – pierwsze tak rewolucyjne rozwiązanie przy zakupie drzwi
Porta KMI Poland Sp. z o.o. należy do GRUPY BALTIS
ePORTA.com.pl
szybkie zakupy
FIRMOWY SALON INTERNETOWY
interaktywny serwis 24h | wizualizacja drzwi 3D | konfigurator cen online
multimedialna mapa autoryzowanych punktów dystrybucji | fachowa porada specjalisty